Artur Chojecki

Żywot średniego człowieka

~~Rozdział I~~

~~Rodzina, dzieciństwo, tata zabalowany.~~

Przedmowa

Zwalanie winy z siebie na drugiego jest stare jak świat, a raczej jak Adam i Ewa. — „Niewiasta, którąś mi dał za towarzyszkę, dała mi z drzewa i jadłem" tłumaczył się naiwnie praojciec wszystkich pantoflarzy. A ileż to razy słyszymy: „Josiu, nie ciągnij kota za ogon! — To mnie Zosia namówiła, proszę mamy", albo: „Iksiński, przestań hałasować, bo wyleciesz z klasy! — To nie ja, panie profesorze, to Igrekowicz".

Toteż, jeśli Opinia zwróci się do mnie z wyrzutem: „Chojecki, po co piszesz pamiętniki, przecież nie jesteś starszym człowiekiem, kogo to wszystko obchodzi, kto to będzie czytać?" — będę miał doskonałą wymówkę: Proszę Pani Opinii, ja nie chciałem, to mnie Michalski namówił." A że ten Michalski, to nie byle jaki Michalski ale sam pomysłowy pan Stanisław Michalski, ostatnio dyrektor Funduszu Kultury Narodowej, więc będę miał mocno zabezpieczone tyły.

On to bowiem, uważając, że jak ów Odyseusz, co to:

Sita różnych miast widział, poznał tylu ludów
Zwyczaje... (tłum. Lucjana Siemieńskiego)

(N.B. petitem)

tak i ja, com z niejednego pieca chleb jadał, bywał pod wozem i na wozie (częściej pod wozem...), będę mógł ze swych wspomnień coś ciekawego dla ogółu wyciągnąć, że w wielu takich rzeczy, które mi się wydają błahe i pozbawione, będą może dla przyszłych pokoleń żywą ilustracją minionej epoki, że wreszcie nie ma takiego tumana, który by się czasem nie zdobył na trafną obserwację, stosowne na coś nie przydał it.d.

Ulegnięcie temu naciskowi; „czym zawinił, trudno dociec", jak śpiewał morawskowski „Stary Kapral", a raczej niech dociekają czytelnicy. Starałem się sprawy ściśle osobiste o ile możności pomijać, a przynajmniej sprowadzać do minimum i, w myśl rady pana Stanisława, pisać o ludziach i rzeczach, które widziałem. Oczywiście w pierwszym rozdziale ten element osobisty będzie się wyraźniej ujawniał; im dalej, tym będzie malał na rzecz możliwie obiektywnego opisu i oceny zdarzeń i ludzi. Nie zamierzałem tu dać ~~Zamierzeniem moim nie było dać tu~~ jakiejś „wie romancée" Arthura Chojeckiego, ale obraz czasów, w jakich mu żyć wypadło. Mogłem wiele rzeczy pominąć, ale niczego nie dodałem.

Dixi et salvavi animam meam!

~~Et nunc~~ A teraz:

ne scribam in vanum,
duc Dei Mater manum.

By rzecz nie szła na bezdroża,
Prowadź pióro, Matko Boża!

A. C.

Warszawa 16. VIII. 1943 r.

Rozdział I

Rodzina, dzieciństwo, lata szkolne.

Rodzina Chojeckich herbu Lubicz, gęsto na Mazowszu i Podlasiu rozsiadła, należy do tej średniej szlachty, tak licznej w całej Polsce, która w ciągu tych dziejów stanowiła najważniejszą warstwę społeczną, rzec by można, firmissimum Reipublicae fundamentum na epoce ludu wiejskiego założoną.

Ród Chojeckich nie wydał ani świętych, ani bohaterów, ani geniuszów; w dziejach ojczyzny Chojeccy nie odgrywali ról pierwszoplanowych, historia nie opromieniła tego nazwiska jakąś aureolą chwały, do zaszczytów się nie pięli: nie majdujemy wśród nich senatorów, wojewodów, czy hetmanów. Ale za to nie było też zdrajców, łotrów, sprzedawczyków, infamisów. Typowe średniaki, na ogół poczciwe i pożyteczne.

Na powierzchni tej bezimiennej masy wyłania się w XVII w. postać Wielebnego O. Chrystyna Chojeckiego (+ 1678), zakonnika reguły Św. Franciszka de Observantia (Reformaty). Odznaczał się on wielką gorliwością w pełnieniu obowiązków swego powołania i życiem ascetycznym. Dwukrotnie obrany prowincjałem małopolskim, w klasztorze lwowskim świątobliwego życia dokonał.

W w. XVIII Karol Lubicz Chojecki, konfederat barski, opisał swe przygody i niewolę moskiewską w książeczce p.t. „Pamięć dzieł polskich, podróż i niepomyślny sukces Polaków", wydanej w Warszawie w r. 1789. W tej samej epoce Józef, Jan, Kazimierz Chojecki (+ 1808), dziedzic na Choi i Rząśnie, miecznik łukowski, posłuje z ziemi liwskiej na sejm w 1752 r., w r. 1764, jako poseł lubelski, podpisuje elekcję Stanisława Augusta, później bierze udział w konfederacji barskiej.

Do większej fortuny i znaczenia dorasta ukraińska gałąź naszej rodziny. Historia zanotowała nazwiska Franciszka Kazimierza Chojeckiego (+ 1779), chorążego kijowskiego i posła na sejm z województwa kijowskiego oraz jego synów Hilarego i Jana Nepomucena (1748-1817). Ten ostatni, posłując na sejm ustawodawczy z województwa kijowskiego, zyskał sobie sławę jednego z najgorliwszych wolenników nowej konstytucji.

Wrzeście w XIX w. dość znacznym cieszył się rozgłosem Edmund Chojecki (1822-1899) brat przyrodni mojego dziadka, literat, publicysta i polityk, ale o tym ~~wspomnę~~ jeszcze wspomnę później.

Nie robiłem poszukiwań archiwalnych do drzewa genealogicznego i nie wiem, jak daleko wstecz można by dzieje mojej rodziny prześledzić. Wiem tylko, że na przełomie wieków XVIII i XIX zanotowano nazwisko mego prapradziadka Franciszka Chojeckiego „dziedzica wsi Kuligowa" i brata jego, Adama, sędziego Trybunału Warszawskiego. Nazwisko to widać ~~musiało~~ było ono „dziedzictwo", skoro syn Franciszka, Andrzej-i Barbary z Gleinków, a mój pradziad, Ksawery Chojecki, musi chodzić dzierżawami, co mu jednak wyszło na dobre, bo się dorobił znacznego majątku. Tak więc, jako 25-letni młodzieniec, żeniąc się z 16-letnią Marianną Łaską, córką Karola Łaskiego, stolnikowicza Tukowskiego i Teofili z Moczulskich, jest jeszcze tylko „possesorem" (dzierżawcą) Woli Skromowskiej w pow. kubartowskim, w dziesięć lat później, ~~pozbierając~~ prowadząc do ołtarza Karolinę Taszycką, jest już dzierżawcą Klucza Wiskowskiego w pow. radzyńskim, za trzecią żoną, Teofilą Wyrzykowską, bierze niebrzydki jak na owe czasy posag złp. 60.000, a gdy wrzeście w 1837r., ~~już~~ jako stateczny prawie 50-letni potrójny wdowiec, staje na ślubnym kobiercu z Elżbietą Baniewicką, jest już ~~dziedzicem~~ właścicielem dóbr Gródek i Motorzew w pow. sokołowskim i radcą gubernialnym podlaskim.

Malowniczo nad wysokim brzegiem Buga panujący Gródek z odwiecznymi lipami, wznoszącymi jakby ołtarz ku domu, z dużym sadem, w dobrej ~~przeniczej~~ pszennej glebie położony, był wymarzoną siedzibą dla stanowiącego się pradziadka. Poprzedni właściciele, Załuscy, zapatrzeni widocznie na Puławy, ozdobili rezydencję oficyną z kolumnami w pseudoklasycznym stylu i lodownią, wzorowaną na Świątyni Sybilli. Sam dom mieszkalny, nic nie udający, ~~wysoki~~ dzikim winem obrośnięty, z wysokim, gontami krytym, dachem, był zwykłym wiejskim szlacheckim dworem, obliczonym bardziej na wygody niż na estetykę i właśnie dlatego ujmującym ~~owal~~ pięknością rzeczy prostych a celowych. Mój pradziad widocznie doskonale się w nim czuł, bo go nie oddawał ani przerabiał, a jako dobry gospodarz więcej dbał o budynki folwarczne niż o własne mieszkanie. Do dziś dnia w tamtych stronach krąży legenda o sąsiedzie, który, wybrawszy się do pana Ksawerego w odwiedziny, kazał woźnicy zajechać nie przed dwór ale przed nowo wybudowaną i znacznie okazalej wyglądającą oficynę.

Z pierwszego małżeństwa p. Ksawery miał dwóch synów: Adama-Ksawerego-Artura trojga imion i Władysława oraz córkę Celinę, późniejszą Iżykowiczową; z drugiej żony wspomnianego już Edmunda-Franciszka-Maurycego, z trzeciej małżonki i z czwartej już się potomstwa nie doczekał. O wychowanie dzieci wiele dbał p. Ksawery i dał im, jakie w owym czasie mógł, najlepsze. Najstarszy Artur, mój dziadek, ukończył w r. 1830 Liceum Warszawskie. Mam właśnie przed sobą ciekawy dokument, w którym rektor i profesorowie tej szkoły stwierdzają

w języku łacińskim, że ~~Artur Ch~~ „invenis" Artur Chojecki, poczyniwszy we wszystkich wykładanych tam naukach „progressus sufficientes", uznany został za zdolnego do studiów akademickich. Wśród podpisanych widzimy m.i. rektora Lindego, Wacława Aleksandra Maciejowskiego, profesora łaciny i greki i Mikołaja Chopina, profesora języka francuskiego i literatury. Jednakże z tej racji do studiów akademickich mój dziadek nie skorzystał i wolał od razu osiąść na stałe w Gródku, gdzie prowadził żywot pocciwy, spokojny i niepozorny, zostawiwszy po sobie pamięć dobrego i rzetelnego człowieka, mitego zarządcy, ale nietrzeźwego gospodarza, który zebraną przez ojca swego fortunę nie tylko uszczuplić ale zgoła do ruiny doprowadzić potrafił.

Przeciwnie brat jego, Edmund, miał zupełnie inne usposobienie. Posiadł po temperament, który ~~już jako niespełna piętnastoletni~~ już niespełna piętnastoletniemu chłopcu karał wykradać się ze stancji uczniowskiej w Warszawie na maskarady. Oto jakimi słowy strofował go wtedy ~~surowy~~ strofowany ojciec:

„Bardzo się zmartwiłem o awanturach jakie ty porobiłeś na Pensyi i żeś zasłużył na karę .... czy młody chłopiec po kilka dni powinien się absentować z pensyi ..... czy ty w domu powinieneś się być znajdował na reducie, to nie dla ciebie jeszcze miejsce .... czyś nie ~~lepiej~~ lepiej zbywający czas poświęcić ~~muzyce~~ udoskonaleniu się w muzyce ..... dopóki się tych nie pozbędziesz wad, jakoto: zarozumienia, uporu, nieuległości, lenistwa – nigdy nie wyjdziesz na człowieka takiego, któreby by zyskał powszechną opinią."

Mimo te wady (a może dzięki nim) Edmund wcześnie rozpoczął żywot samodzielny i dość hałasu na świecie narobił. Już w r. 1841, a więc jako 19-letni młodzieniec współpracuje w „Gazecie Warszawskiej" i przez kilka miesięcy redaguje jej dodatek literacki „Echo" (E. Cho.), gdzie drukuje m.i. urywek „Kartofli" Michiewicza. Przez pewien czas pełni obowiązki sekretarza teatrów warszawskich, co mu daje sposobność romansowania z aktorkami. Wyjeżdża niebawem za granicę, aby nigdy już do Polski nie wrócić. Widzimy go to w Paryżu, to w Pradze, gdzie w r. 1848 bierze udział w Zjeździe Słowiańskim, V to w Egipcie ~~gdzie poznaje Saglady~~ gdzie poznaje wzlędy chedywa, to we Włoszech, gdzie się zbliża z ks. Napoleonem (Plon-Plon), stryjecznym bratem przyszłego cesarza Napoleona III, to w Szwajcarii. ~~Biorę udział~~ Po wybuchu wojny krymskiej w r. 1854 wstępuje jako ochotnik do armii Omera Paszy, a w r. 1856, już jako sekretarz ks. Napoleona, towarzyszy mu w podróży do Islandii. Zasłynął jako ostre pióro polemiczne i jako autor „Alkhadara", a po najrozmaitszych przygodach, które by mogły dać doskonały materiał do jakiejś „vie romancée" osiadł na stałe w Paryżu, gdzie pozostał w rozrachunku i w pierze, jako Charles Edmond pisał wiernie powieści francuskie i wreszcie dzięki stosunkom z Napoleonidami dostał sznekurę

V) to znów w Paryżu, gdzie współpracuje w założonej przez Michiewicza „Tribune des Peuples"

w Bibliotece Senatu, gdzie, jako główny bibliotekarz, grzebił swego pomocnika, Ismaela Franc'a. Życiorys Edmunda Chojeckiego umieściłem w „Słowniku Biograficznym".

Peregrynacje i kurzliwy żywot Edmunda niemało się przyczyniły do nadwerężenia majątku Artura, który musiał nieraz pokrywać długi i zabezpieczania młodszego brata. Nie córka Ludwika i Emilii z Tarczyckich z Jadwigą Trąbicką, która, choć z uposażenia pochodziła, ale przy działach majątkowych została przez rodzeństwo pokrzywdzona i mało co mężowi w wianie przyniosła. Z małżeństwa tego urodzili dwoje dzieci: Tadeusza-Andrzeja-Eugeniusza-Ludwika, mojego ojca i Marię, późniejszą Brudzyńską, której się dostał Gródek i która już, wiadomo, przy tym ogromnym majątku utrzymać się nie mogła.

Ojciec mój, choć go na technika chciano wykierować, czuł jednak dziedziczny pociąg do ziemi i, nie mając już własnej, postanowił wzorem swego dziadka Kasztelana dzierżawami się dorabiać. Za namową dziadka Kurzyna z Ukrainy, p. Piotra Chojeckiego, przeniósł się w tamte strony i w Żytomierzu poznał się z przyszłą swoją żoną, panną Marią Iwanowską, córką miejscowego adwokata Ignacego Iwanowskiego i Bronisławy z Janowskich, współwłaścicielki folwarku Niedrieliszcze pod Żytomierzem. Dobra, miła, ładna, wykształcona, mówiąca po francusku, angielsku i niemiecku, bardzo lubiąca trochę na fortepianie i — co również nie było bez znaczenia — dość posażna panna nie była obojętna na konkury przystojnego i pełnego werwy młodzieńca, który umiał i zgrabny wierszyk okolicznościowy sklecić i piosenkę sam sobie akompaniując zanucić i karykaturę narysować i hasać na balu do upadłego. Te starania poparł swym autorytetem p. Piotr, który po staroświecku, nieźle ortograficznie napisanym listem, polecał swego „unicka Tad-sia" pannie Marii i jej matce, bo p. mecenas Iwanowski i jego pierwsza małżonka już nie żyli.

Z tego małżeństwa, w którym, jak to często w Polsce bywa, ziemiaństwo skojarzyło się z palestrą, przyszedłem na świat w domu mojej babki Iwanowskiej w Żytomierzu dn. 25. VI. 1880 r., a 13. VI veteris stili, t. zn. w dzień Św. Antoniego Padewskiego, uroczyście w Żytomierzu odpustem i jarmarkiem obchodzony. V Rodzice zamieszkali najprzód w Wólszce na Ukrainie, potem pod Równem w Kołodence, którą ojciec dzierżawił od ks. Lubomirskich. Tu stawiając pierwsze kroki, upadłem na twarz i zdrapałem sobie chrząstkę w nosie, co mię zeszpeciło na całe życie.

Tak się rozpoczęło moje dzieciństwo sielskie, anielskie. Inne wspomnienia mam mniej przykre. Pamiętam piękną aleję lipową, prowadzącą do zarośniętego krakami jeżynami i śliwami gaju, który mi się wówczas wydawał jakimś zaczarowanym ogrodem. Tuż za nim był lasek z krzewowym wzgórkiem, które świeciło z daleka białością nagiego zbocza. Tam się chodziło na przechadzki i urządzało majówki.

V Pradziad mój miał dwa imiona, dziadek trzy

a ojciec aż czworo, z czym miał później w życiu wiele kłopotu przy różnych sprawach urzędowych. Nie chcąc mnie na podobne ambarasy narażać, dano mi jedno tylko imię, celtyckiego Artura, na pamiątkę dziadka. Chrzcił mnie ówczesny rektor seminarium ks. Karol Niedziałkowski, późniejszy biskup Łucko-żytomierski, autor kilku o swoim czasie głośnych książek i „Słownika duchowieństwa polskiego", „Nie tędy droga, bracia ze Francji", „Podróż do Ziemi Świętej". Ja później sam na bierzmowaniu wybrałem sobie za patrona, tak w Żytomierzu ulubionego, Św. Antoniego Padewskiego.

Nie mając rodzeństwa znalazłem najmilszych towarzyszy wśród psów i koni domowych i ukochanie tych zwierząt pozostało mi na całe życie. Wcześnie zacząłem jeździć konno na kucyku u towarzyszki matki lub ojca albo obojga razem. I dziś jeszcze, gdy mam po temu okazję, chętnie konia dosiadam. Wcześnie też nauczyłem się czytać. Dostałem do zabawy alfabet ruchomy, złożony z kwadracików lekturowych, i w ten sposób, układając wyrazy z ruchomych liter, dowiedziałem do czytania umiejętności czytania, niemal niepostrzeżenie bez żadnego wysiłku. Równie gładko poszło z pierwszymi elementami rachunku i pisania dzięki jakiemuś widać wrodzonemu talentowi pedagogicznemu mojej matki, której też zawdzięczam podstawy wychowania religijnego. Oboje moi rodzice byli religijni, każde na swój sposób, i to niewątpliwie sprawiło, że przez całe życie, nawet w czasach studenckich, kiedy się „postępowo" a potem i „socjalistycznie" batiaszeniłem, choć praktyk religijnych czasem się bardzo zaniedbywało, to nigdy przeciw z Kościołem katolickim nie byłem w zatargu. Ta zasługa Rodziców, którą dziś dopiero w całej pełni ocenić mogę, chciałbym tu podkreślić i w ten sposób im podziękować za ów skarb duchowy z domu wyniesiony.

Na mszę jeździło się bądź do kaplicy w Równem, gdzie nowy kościół się dopiero budował, bądź do Tajkur. Obydwie te drogi Tacą się u mnie ze wspomnieniami strachu, którego doznawałem na pewnych ich odcinkach. W Tajkurach, na czterech rogach majątku, stały cztery słupy murowane z kryjami i legenda głosiła, że w jednym z nich miał być zamurowany życiem Tatar, który porwał przed laty pannę z tajkurskiego dworu. A w koło takiego słupa się przejeżdżało, więc wyobraźnia dziecinna malowała przerażający obraz męki zamurowanego... W Równem znów przejeżdżało się obok więzienia i zawsze myślałem sobie, co by to było, gdyby tak różni rozbójnicy wytamowany kraty rzucili się na nas. Dopiero w znacznie późniejszym wieku uświadomiłem sobie, że mniej się bać należy nieszczęśników „gnijących na słomie więziennej" niż zbójów i łotrów na wolności chodzących. Z Równego również zostało mi w pamięci, za mostem wśród moczarów jakby na wyspie stojący, na wzgórzu zniszczony, pałac ks. Lubomirskich, w którym mieściła się poczta. Jeszcze wówczas musiały być resztki dawnej wspaniałości, której obecnie, kilkadziesiąt po wielu, wielu latach znów Równe odbudowało, zaledwie dostrzegalne pozostały ślady.

Jadąc w zasięgu w odwiedziny rodzice zwykle brali mnie ze sobą. Bywaliśmy w Horodyszczach (cukrownia „Żytyń"), gdzie administratorem był p. Szuch z Warszawy, ojciec dwóch chłopców w moim wieku, w Oleksinie (cukrownia „Szpanów") u dyrektorstwa Mistagiewiczów, w Gródku u Wysockich, w Basowym Kącie u Rejsów, wszystko w najbliższej okolicy Równego. Z dalszych wycieczek wspomnę Wołkodawy, majątek Dzieduszyckich, dzierżawiony przez p. Małyszewicza Cholewickiego z Galicji. Wspólność nazwiska i herbu sprawiała, że mój ojciec z p. Maksymem poczuwali się do jakiegoś pokrewieństwa, choć wątpię, czy umieli je wykazać z rodowodów. Został mi ów Kurzyn w pamięci, jako obszarowy

Dziś jeszcze za najbardziej udany dzień Boski nie wiem inni później [illegible] ale [illegible]

potężnym wzrostem i odpowiednią tuszą, a bardzo donośnym sposobem kichania, (6
co mnie bardzo cieszyło. Później dowiedziałem się, że P. Maksymiliana
dokonał pięknej pielgrzymki, że powoził podobno piękną z Krakowa do Rzymu.*)
Nie pamiętam szczegółów tej pielgrzymki, ale słyszę, że się gazety o niej rozpisywały.

Wyraz „gazety" nasuwa mi wspomnienie o „Stolicy", które rodzice prenumerowali, głównie dla drukującego się w niej powieściowego „Ogniem i Mieczem". Podziwiało się natychmiast każdy odcinek i gorąco potem komentowało. Byłem oczywiście za mały, aby w tym brać udział, ale com się nasłuchał, tom się nasłuchał i kiedy się później wreszcie do „Trylogii" dorwałem, to wszystko spotykałem dawno już znajome postacie. Oprócz „Trylogii" drugim źródłem pierwszych wiadomości z historii polskiej były dla mnie „24 Obrazki z dziejów Polski" Ancyca; jeszcze dziś mam w oczach Kazimierza strzelającego zza zasieki do Szwedów i Chmielnickiego, na klęczkach przed Janem Kazimierzem siedzącym na białym koniu. Koń miał piękną kokardę u nasady ogona, co mnie zawsze zachwycało.

Kołodenka nie była dobrym interesem. Wszelkiemi u tej dzierżawy resztą swych pieniędzy i posagu żony, ojciec musiał zrezygnować z własnego gospodarstwa i objąć administrację jakiegoś majątku na Podlasiu. Widocznie ciągnęło go w rodzinne strony. Matka dostała posadę nauczycielki u pp. Pruszyńskich w Korościatynie w powiecie różańskim, gdzie była dziewczynka o rok ode mnie starsza i gdzie zgodzono się na to, abym ja przy matce się chował. Zarówno matka z p. Pruszyńską, jak i ja ze swoją różańską, Wawrzynką, szybkośmy się zaprzyjaźniły i współzawodniczyliśmy we wszelkich naukach, jakich nam moja matka udzielała. Musiała mieć wrodzone zdolności pedagogiczne i dużo zasób wiedzy; nauczyliśmy się przy niej nie tylko religii, polskiego, rachunków, ale i francuskiego i niemieckiego a nawet, co było dość nierzadkie w ówczesnym kształceniu domowym, i początków nauk przyrodniczych według francuskich podręczników Paula Berta. Do historii polskiej używaliśmy Zdanowicza. Zapewne obecnie mamy inne i może lepsze podręczniki, ale dla mnie przeszłość Polski tak się skojarzyła z historią Zdanowicza, jego tablicami chronologicznymi i kolorowymi obrazkami, że dziś jeszcze nie mogę sobie wyobrazić wojewody bez kontusza i długich żółtych butów, a, spotykając obecnie wojewodów w garniturach marynarkowych, nie mogę ich brać całkiem na serio. Matka moja lepiej pomagała sobie Bobrzyńskim, którego dwa tomy „Dziejów Polski" ukazały się niedawno były się ukazały. W rezultacie z „Obrazków" Ancyca, z historii Zdanowicza i z Bobrzyńskiego zaczęłem kompilować jakiś streszczenie popularne dziejów Polski. Najgorzej było z początkiem. Długo się namyślałem i męczyłem jak rozpocząć swoje dzieło, aż wreszcie zacząłem je słowami: „Było na świecie plemię Słowian..."; dalej już gorzko gładko. Skwapiłem się więc na sobie słuszność przysłowia, że „dimidium facti qui bene cepit habet". Matka była dość dumna z tej mojej elukubracji, bo kiedy przyjechał do Korościatyna luminar okolicy, warszatek szlachty, p. Stecki, to kazała mi pokazać mu swoją pisaninę, a on ją pochwalił. Zdaje się jednak, że mimo tej pochwały nie doprowadziłem pracy do końca, a zawsze w zeszłach i później historia była moją najsłabszą stroną.

*) O Maksymilianie Chojeckim wspomina w swych pamiętnikach T.T. Jeż (Od Kołłątaja do Lelewela t. II str. 478–479), z którym miał sekwestr w Gwoździcu w Lubelskiem na tle ugłosowania się Galicji do powstania.

V Jakże to śpiewa o tym ulana piosenka:
I nikt nie pozna, że ma [illegible]
Obadwaj [illegible]

Z tej epoki została mi w pamięci pierwsza podróż do Warszawy: zdarzenie niełada dla dziecka w moim wieku. P. Pruszyńska potrzebowała dłuższej kuracji, opieka mojej matki była przy tym niezbędna, a że dzieci samych zostawić nie było można, więc Warszynka i ja skorzystaliśmy na tym. Stanęliśmy w hotelu Saskim, który od tego czasu nic się nie zmienił. Na długim asfaltowanym przestworzu podwórza bawiliśmy się z małymi Wróblami, synami kupca kolonialnego z sąsiedztwa. Dość szybko nauczyłem się orientowania się po Warszawie i umiałem sam trafić do Ogrodu Zoologicznego na Bagatelli, będącego dla mnie największą atrakcją Warszawy. Z kościołów odwiedzaliśmy przeważnie najbliższy Karmelitów, gdzie silne wrażenie od marmurowej rzeźby Chrystusa umarłego, wzbił na mnie posąg metalowy Chrystusa w bocznej prawej nawie ze względu na ~~piękne~~ piękne kolory jego nat. Dziś te barwy ~~mocno przybladły i oblazły~~, ale ~~wtedy~~ wtedy jeszcze świeże i bardzo mi się podobały. ~~Byłem~~ Żywo mam również w pamięci pierwszą bytność w teatrze: zaprowadzono mnie do Teatru Letniego w Ogrodzie Saskim, gdzie dawano balety: „W Indiach" i „Wesele w Ojcowie" i jakąś jednoaktówkę. Później byłem jeszcze na komedii, w której obok najlepszych ówczesnych aktorów: Frankowskiego, Wolskiego i Szymanowskiego występował i Żółkowski.

Kiedy Warszynki odwieziono do Jarosławca, gdzie w klasztorze SS. Niepokalanek wychowały się panienki z domów obywatelskich, matka moja ze swoją siostrą i ze mną przeniosła się do Nozdrzec w pow. hajsyńskim na Podolu do pp. Woroniczów. P. Woronicowa, siostra p. Pruszyńskiej, była bardzo zacną i miłą, niestety słabego zdrowia osobą. Jak to t. zw. „guwernantek" rzadko kiedy bywa do pozazdroszczenia, ~~jakże~~ ~~wiele~~ jak wiele o tym mówi popularne przekleństwo: „obyś cudze dzieci uczył!". Matka szczęśliwie trafiła w obydwóch razach do domów, gdzie ją bardzo szanowano i serdecznie traktowano. Szczególnie z p. Woronicową matka zawarła tak ścisłą przyjaźń, że ~~się~~ się zżyły i pokochały, jak i między siostrami rzadko się zdarza. Dzieci pp. Woronicowie mieli troje: nazwisko mojej matki być młodszy ode mnie o dwa lata, Józio, z którym się bardzo zaprzyjaźniłem. Został on później księdzem, ~~był gdzieś~~ ~~na~~ w czasie przewrotu bolszewickiego był gdzieś na Wołyniu proboszczem i został prawdopodobnie zamordowany, bo ślad po nim zaginął.

Czy to na Wołyniu, czy na Podolu, wszędzie miałem do czynienia z ludem ruskim, czyli, jak się dziś mówi, „ukraińskim", toteż naturalnym biegiem rzeczy nauczyłem się jego ~~mowy i mó~~ języka i mówiłem „po chłopsku" prawie równie swobodnie jak i po polsku. Przez myśl mi nie przychodziło, że ci chłopi, ta służba ~~folwarczna~~ domowa czy folwarczna, są innej ~~—~~ ode mnie narodowości i dziś jeszcze, mimo rozwój nacjonalizmu ukraińskiego, idącego wyłącznie w parze z nienawiścią do Polski, nie mogę patrzeć na Rusinów inaczej niż na rodaków. Mimo wszystkie błędy z jednej i z drugiej strony popełniane, mimo urazy ~~zbrodnie, mimo wpływy~~ ~~—~~ zbrodnicze wpływy niemieckie, contra spem speravi, ufam, że dojdzie wreszcie kiedyś między nami do zgody, jeśli już nie pod hasłem „gente Ruthenus natione Polonus", to pod naszym: „wolni z wolnymi, równi z równymi". Jeśli w takiej Szwajcarii dzisiaj obok siebie w zgodzie mogą żyć trzy (a z retoromańskim nawet cztery) języki i dwa wyznania religijne, to dlaczegóżby to nie miało być możliwe i na naszej ziemi. Nie piszę tu rozprawy politycznej i nie ~~mam~~ zamierzam

„neutralizować kwestii ukraińskiej", ale sądzę, że Polska musi ją rozwiązać ku zadowoleniu obydwóch tych plemion słowiańskich tak sobie bliskich a tak, niestety, ze sobą pokłóconych, bo inaczej nie może być mowy o sile i trwałości naszego państwa.

Jak od chłopów po ruski, tak od matki, p. Woronieckiej i sprowadzanych do Nosowiec bon Francurek * mnie samo ostuchanie się uczyliśmy się mówić po francusku. Toteż posługiwaliśmy się tym językiem na równi z polskim, o czystości w zakresie słownictwa dość ograniczonym, ale wystarczającym do utrzymania mi w późniejszym wieku niezłego opanowania francuszczyzny. Więcej trudności sprawiał mi niemiecki, do którego całe życie czułem abominację, a później rosyjski, którego musiałem się nauczyć przygotowując się do gimnazjum żytomierskiego. Zdecydowano, że nie przechodząc przez klasę wstępną [illegible] zdawał odrazu do pierwszej. Egzamin ten powiódł się: po wakacjach 1890 r. matka odwiozła mię do Żytomierza, gdzie po długich wakacjach, na jakiej stancji mię umieścić, oddała mię pod opiekę babci Iwanowskiej. Niemiernie mnie to ucieszyło, bo bałem się pobytu wśród obcych ludzi wśród nieznajomych chłopaków, którzy by z pewnością mi dokuczali. U babki zaś byłem ukochanym, jedynym, rozpieszczonym wnuczkiem, do którego cały tryb życia musiał się zastosować.

W Żytomierzu u babki bywałem przedtem już nieraz, ale dopiero teraz miałem tam spędzić całe dziesięć lat z przerwami na wakacje i święta. Nie wiem, jak obecnie wygląda Żytomierz, czy rządy bolszewickie bardzo się na nim odbiły, ale wtedy w ostatnich latach XIX w. było to raczej sielankowe miasto. Poza śródmieściem prawdziwie żydowskim, gdzie były skupiska jedno- i dwupiętrowych domów, było ono rozrzucone wśród ogrodów na dużej przestrzeni wśród ogrodów, w których wielcy tonęły prawie parterowe, często drewniane domy. Prostą [illegible] do jednej z głównych ulic, Berdyczowskiej, szły aleje topolowe, wtedy niesłusznie „bulwarami", ku rzece i spadały ku niej stromym zboczem. Ta rzeka, Teterów, była jednym z uroków miasta. Płynęła głębokim jarem w obramowaniu skał granitowych, fantastycznie ugrupowanych. Jedna z nich, wznosząca wysoko nad wodą, nosiła nazwę „głowy Cracklego" i niezawodnie przypominała łysą czaszkę nieznanego wołyńskiego. Pływanie łódkami wśród tych skał i kąpiel w bystrej i czystej wodzie Teterowa należą do najmilszych wspomnień z moich czasów szkolnych. Później w życiu kąpałem się w różnych rzekach, jeziorach i morzach, ale takiej rzeczki, jaką mi dawał Teterów, nie doznawałem już nigdy. Dziś jeszcze, gdy zamknę oczy, mogę sobie wyobrazić i przeżyć nurt wody i miękkość piaszczystej jej fal ogrzanych w słońcu i [illegible] jej zapach z ziół nadbrzeżnych pochodzący, jakiemu podobnego nigdzie na świecie nie ma...

Żytomierz w owym czasie miał około 80 tysięcy mieszkańców, w tym znaczną część Polaków. Już przed rozbiorami Żytomierz był znacznym miastem, jako stolica województwa Kijowskiego po połowie Andruszowskim; pod panowaniem rosyjskim został głównym miastem guberni wołyńskiej. Był on również siedzibą biskupa diecezji łucko-żytomierskiej. Kolej żelazna nie tknęła jeszcze Żytomierza w świadomości, dopiero później rozwinęło najpierw wąskotorówkę a potem i normalną kolej do odległego o 44 wiorsty Berdyczowa, do którego za moich szkolnych czasów jeździło się jeszcze dyliżansem. Takie wehikuły chodziły również do Kijowa. [illegible]

(do str. 8)

Było tu prawie jak na wsi. Zarazem najbardziej mię wzruszał i zachwycał początek wiosny: zwarcie nieśmiałe nabrzmiewanie pąków na krzakach, złociste prześwitywanie szarej zeszłorocznej trawy młodą zielenią, pierwsze wystrzelanie z ziemi pędów, a potym coraz w żywszym tempie rozwijanie się kwiatów: Koron cesarskich (fritillaria imperialis), szafirków (muscari racemosum), tulipanów, hiacyntów i tych romantycznych serduszek biskupich (dielytra spectabilis), które są dla mnie zarazem najmilszym symbolem wiosny. Później, gdy już zakwitną kasztany, bzy i piwonie, głogi, róże i akacje, gdy się wreszcie wiosna, mówiąc gwarą dziecięcą: ustabilizuje, nie ma ona już dla mnie tego uroku, co w swym pierwszym okresie, gdy jest jeszcze „in statu nascendi" i gdy dosłownie widzę „jak trawa rośnie".

i po polsku, drugie żydowskie, każde miało swoich zwolenników i obydwa robiły dobre interesy. Warto opisać taki antyczny pojazd, którego dzisiejszym potomkiem jest autobus. W ogromnym pudle na wysokich kołach były trzy klasy, pierwszą stanowiła część umieszczona tuż za przednimi kołami, wchodziło się do niej z dwóch stron z boku jak do karety i mieściło się w niej sześć osób; do drugiej, gdzie było miejsce, jeśli się nie myliły, dziesięć i gdzie się siedziało bokiem do kierunku jazdy, wchodziło się drzwiami od tyłu; trzecia na umieszczeniu, tuż za kozłem woźnicy, zasłonięta czymś w rodzaju daszka, mogła przyjąć zaledwie cztery pasażerów mniej dbałych o wygody niż o świeże powietrze, które w ~~przeciwieństwie~~ przeciwieństwie pierwszych dwóch klasach szczelnie zamkniętych okien było bardzo wątpliwej czystości. Wchłonięty, zaprzężony w siódemkę koni, pokrzykiwaniu woźnicy i klaskaniem z bata, kołysząc się, dudniąc szybami, grzmiąc i trzeszcząc po wybrukowanym bruku, wytaczał się z podwórka i runął ulicą Berdyczowską przez drewniany most na Teterowie na wzgórze wiodącą do Berdyczowa. Odległość wynosiła 44 wiorsty, ale czasem trzeba było zjeżdżać z wschodzonej do niepoznania szosy na tak zwane „objazdki", z których grzęznąc w błocie dyliżans mógł się wygramolić, co podróż przedłużało. Po drodze zmieniało się konie, co dawało pasażerom możność wyprostowania nóg i ~~pokrzepienia~~ ogrzania się herbatą na stacji pocztowej.

Przejeżdżając przez Berdyczów mijało się pałace Radziwiłłów i Tyszkiewiczów, mocno pozbawione i jakby zharmonizowane z niechlujnym wyglądem zażydrzonego miasta, wraz ze skromnego kościoła parafialnego, w którym to Balzac wziął ślub z p. Hańską. Drugi monumentalny kościół nie leżał po drodze, ale w ~~[illegible]~~ śródmieściu. Był to kościół pokarmelicki, fundowany przez Jana na Tyszkiewicza, wojewodę Kijowskiego, w stylu barokowym z amboną w kształcie łodzi i piękną kopułą, która dominowała nad miastem. W głównym ołtarzu był cudowny stojący obraz Matki Boskiej Berdyczowskiej, do której w wiele lat później napisał wiersz „Inwokacji". Obraz cudowny był czczony nie tylko przez ludność katolicką ale i przez prawosławnych a nawet i żydów, którzy się gnieździli i wokół klasztoru i w samych murach poklasztornych i niewątpliwie ciągnęli zyski z pielgrzymów gromadnie na odpusty przybywających. Klasztor miał charakter obronny i jego mury, schodząc ku bagnistej rzeczce „[illegible]", imponowały ogromem.

Z Berdyczowa była już tylko godzina jazdy pociągiem do Korzatyna, stacji węzłowej Kolei Południowo-Zachodniej, skąd rozchodziły się szlaki do Kijowa, Brześcia, Humania i Odessy. Przy względnie małej szybkości pociągów a wielkich odległościach do pokonania podróże w tych stronach trwały długo, toteż Koleje dbały o wygody pasażerów w wagonach i na dworcach kolejowych, które były zresztą i restauracjami i hotelami i salonami i w których czekało się ~~bez przykrości~~ na pociąg bez przykrości po kilka godzin a czasem przez noc całą. Tak były urządzone dworce w Brześciu i Żmerynce, ale Korzatyn przewyższał je wszystkie, jeśli nie ogromem, to pięknością architektury. Wielka okrągła sala restauracyjna, nakryta kopułą, była naprawdę nie tylko ~~imponująca~~ efektowna ale i estetyczna. W porze obiadowej, kiedy z czterech stron przybyłe pociągi wyrzygiwały podróżnych, można tam było niemal zawsze spotkać znajome twarze.

Żytomierz stał na uboczu od tego ruchu kolejowego, od wielkiego świata i jego zamętu i był zacisznym miastem emerytów i ludzi spokój miłujących. Polaków było tam sporo i w samym mieście i w okolicy, gdzie nie tylko ziemiaństwo było prawie polskie, ale były też całe wsie, zamieszkałe przez drobną szlachtę i

X O tym wielkim świecie mówiła mu tylko nasza Kijowska-Brzeska, wszedł której z jednej strony biegła linia kolejowa Kijowska, a z drugiej — indyjska, łącząca królestwo Wielkiej Brytanii z cesarstwem indyjskim poprzez kontynent europejski. Po założeniu Kolei [illegible] [illegible] [illegible]

wtrącian po[illegible]. B[illegible] dwa kościoły: p[illegible]alny a z[illegible] Karolowa, i [illegible]arafialny „mieszczański" [illegible] się [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] w gmachu [illegible] klasztoru bernardyńskiego; do pierwszego [illegible] należały prawdziwie niższe warstwy miasta i wsi, do drugiego – elita miejscowa. Panowie w niedziele po sumie ustawiali się szpalerem przy wyjściu i odprawiali „Przegląd Katolicki" wychodzących pań i panien. My, młodzież gimnazjalna, niciśmy swoją mszę osobno o 9 rano, ale starsze [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

źródło lektury znalazłem w naszej nerwiańskiej bibliotece konspiracyjnej, której jednym z założycieli był przedtem mój wuj, Kazimierz Iwanowski, i do której, dorosłszy, wąjc się, dopiero do szóstej klasy, zostałem dopuszczony. Była też zresztą z tej biblioteki i zakonspirowana „Korporacja", ale poza przeczytaniem skradzionych mi braćmi w niej książek.

Oprócz książek polskich i francuskich czytałem i rosyjskie z biblioteki gimnazjalnej, zawdzięczam jej zapoznanie się z nieśmiertelnym Pickwickiem, którego dopiero znacznie później miałem sposobność przeczytać po polsku i po angielsku.

Nasze gimnazjum było najliczniejszym w Rosji, o czym uczyła z dumą wspominał dyrektor podczas [illegible] t.zw. „uroczystego aktu" t.zw. dorocznego zawodowania, połączonego z wręczeniem nagród celującym nerwiom. Polaków i Żydów, czyli Rusinów, było w nim [illegible] a jakieś 10% Żydów. Później wraz z postępującym rozpowszechnianiem się oświaty [illegible] z warstw niższych stopniowo zmieniał też stosunek na uczelnię Polaków, którzy [illegible] i rekrutowali ze sfery rzemieślniczej. W mojej jednak klasie jeszcze Polacy przeważali liczebnie nad Rosjanami. Nacisku rusyfikacyjnego nie odczuwaliśmy w takim stopniu jak młodzież w Królestwie: ocenzurowano w obrębie gimnazjum [illegible] byliśmy obowiązani rozmawiać po rosyjsku, ale tego nikt nie przestrzegał i nie pamiętam, aby kto został za to ukarany.

Zawód nauczycielski uczyła gromadzi różnych gatunków: uczelejeńców, a z biegiem czasu pogłębia ich działalność. Obserwacje przez kilka godzin dziennie z diabelsko przebiegłymi wyrostkami wyrabiają u nawet najbardziej podniosłe nastrojonych pedagogach bądź nadmierną surowość dla podtrzymania autorytetu i umożliwienia jako tako nauki, bądź pobłażliwe patrzenie na wszystko przez palce i [illegible] band małpoludów, od czasu do czasu, gdy dalsze tolerowanie rzeczy [illegible] groziłoby jakimś grubszym skandalem. Wiem coś o tym z własnego doświadczenia, gdyż byłem przez lat kilka nauczycielem w szkołach średnich w Warszawie i „mówię, bom znalazły i sam pełen winy". Ale takiej galerii dziwaków jak w gimnazjum żydowskim, to chyba nigdzie nie było. Arytmetykę dawał Teselski, przed którego tubalnym głosem malcy drżeli ze strachu i zapominali języka w gębie. Do rosyjskiego był w klasach niższych Cedrowski, [illegible] [illegible] [illegible] ogolony z bokobrodami, wyglądający na jakiegoś dyplomatę z pierwszej połowy XIX w. wymagał od nas zakazu „polonizmy" w wypracowaniach, w starszych klasach literatury rosyjskiej dawał Wesin, drepczący stale na katedrze i mruczący coś niezrozumiałego pod nosem. Nie mógł nas oczywiście zachęcić do studiowania arcydzieł tej literatury i raczej ją nam obrzydzał. Zabawny był Senftleben, niegdyś jak powiadają podoficer, a może i oficer pruski, który w niższych klasach dawał łacinę, a oprócz tego ćwiczył nas w [illegible] „gimnastyce wojskowej", czyli po prostu—musztrze. Upatrował on z bardziej do tego nadających się uczniów t.zw. „złotą rotę", z którą odprawiał czasu jakieś ćwiczenia specjalne. W czasie lekcji wydawał głosy do klasy, w której jakiś kloś z jego kolegów wbijał do głów sztubackich elementy, dajmy na to, geografii czy algebry i wywoływał uczestników swojej wzorowej roty. Było to bardzo wygodne dla tych, którzy chcieli w ten sposób uchylić się z klasy i uniknąć ewentualnej dwójki. Później w starszych klasach takim pretekstem do opuszczania lekcji były „obserwacje meteorologiczne", kilka razy dziennie dokonywane.

uchodził za wielkiego amatora piwa i opowiadano o niezwykłych ilościach jego trunku, jakie mógł uchłonąć. Przeciwieństwem rubasznego, wesołego i otwartego Senftlebena był wytworny gentleman Bracki, fizyk. Był raz w życiu w Paryżu i podobno chętnie opowiadał, jak się tam „u nas w Paryżu" żyje. Był wielkim higienistą i lubił się swoimi wiadomościami z tej dziedziny popisywać. Wystarczało też potem lekcji fizyki zadać mu jakieś pytanie z zakresu medycyny, aby rozpoczął długi wykład na temat tej lub owej choroby, jej leczenia i sposobu jej uniknięcia, zapominając o prawie Boyle'a i Mariotte'a czy też o załamywaniu się światła w pryzmacie i tak cała lekcja przechodziła ku uciesze publicznych wyrostków. Francuskiego dawał Szwajcar, Huguenin, tłumacząc zasady gramatyki kiepskim rosyjskim językiem. O rozmówieniu po francusku nie było mowy nikomu się nie śniło: jedyna rozmowa była: „Wiktor Wiktorowicz, permettez-moi de sortir" — „Allez et revenez vite!". Przekonywany się, że znam francuski z domu i że niczego więcej w szkole się nie nauczę, p. Huguenin pytał mnie raz na kwartał dla zadośćuczynienia formalności i przestał mi zadawać pytania nigdzie się nie interesować, co ja robię podczas jego lekcji. Pomiędzy nauczycielami, z którymi miałem lekcje, byli i tacy, którzy przestawali. Łacinę dawał nam Suszycki, wysoki i gruby, zwany „puszka" (armata), gdy zeszła karykaturom do głowy, to widziano jego przyjście okrzykami „wierùt, wierùt" co znaczyło, że niby wiozą tę armatę. Hałaśliwie i niespokojnie było na jego lekcjach i dziś dopiero, że nas pewien tej trochy Tacity nauczył. Drugim grubasem był inspektor Zielewiecki, „samowar" - w przeciwieństwie do Suszyckiego sam jego widok sprowadzał ciszę. Niektórych nauczycieli do dziś dnia żywo wspominam: do takich należał geograf Jarocki, promieniujący dobrocią i pobłażaniem, historyk Latoszyński, podobno pochodzenia polskiego, którego wykłady, to trudno je inaczej nazywać, porywały jasnością i wytwornością stylu. Podczas jego lekcji panowała taka uroczą cisza, że z rana pewnego muchę wybiegła spod szafy, posiedziała chwilkę na środku pokoju i spokojnie poszła sobie dalej. To wydarzenie długo potem wspominaliśmy chwaląc lekcje Latoszyńskiego. Dodać jeszcze należy, że historię w urzędowym podręczniku historii były jakieś niepochlebne wzmianki o Polakach, jakieś przekręcenie faktów na naszą niekorzyść, to profesor wykreślał te ustępy i dawał nam własną interpretację wypadków. Wreszcie wspomnę tu jeszcze nauczyciela matematyki i fizyki, Bielerskiego, nie, żeby się odznaczał jakimiś dziwactwami, czy też był wyjątkowo sympatyczny, nie, ale dlatego, że był dobrym pedagogiem i że jeśli, co umiem z tej dziedziny, to jemu zawdzięczam. Osobną wzmiankę należy poświęcić księżom prefektom, czyli jak się u nas mówiło: Kapelanom, ks. Michałowi Russieckiemu, a później ks. Bolesławowi Rowińskiemu. Lekcje odbywały się z Nauki religii odbywała się z podręczników rosyjskich i zawsze w języku rosyjskim, ale oczywiście ani księża profesorowie, ani my tego nie przestrzegali. Rola ich była bardzo trudna, bo z jednej strony trzeba było mieć czegoś zmuszać nauczyć, a z drugiej strony nie mogli złym okiem na [illegible]

z klasy do klasy i stawiać ~~ich~~ Polaków w położeniu gorszym wobec Rosjan. Toteż płatna z religii była normalnym stopniem, czwórka czymś niemiernie nadto, a o niższych stopniach mowy się nie stępzało. W niedzielę, jak już wyżej wspominałem, chodziliśmy do kościoła na „uczniowską mszę", do której usługiwali również uczniowie: dwóch starszych i dwóch ~~małców~~ młodszych, z góry wyznaczonych. Przed ~~ukończeniem~~ naukę i po ~~ukończeniu~~ nauce odmawiano w każdej klasie krótkie modlitewki po rosyjsku, oprócz tego przed ~~nauką~~ lekcjami wszystkimi, przedtem modlitwy w cerkwi gimnazjalnej. Uważając uroczyście, że to ogłoszenie Katechizmu, wprowadzono dla uczniów później również wspólną modlitwę po lekcjach w sali gimnastycznej.

Na zakończenie muszę jeszcze wspomnieć o dyrektorze, którym za moich czasów był Piotr, syn Apollona, Sidorow. Był to młody jeszcze człowiek, z pisklą blond brodą, elegancki i wykształcony, autor gramatyki łacińskiej, ściągnięty ~~przez~~ przysłany z Petersburga na odpowiedzialne stanowisko dyrektora „najwyższego gimnazjum w Imperium". Plotka twierdziła, że zawdzięczał on ten swój awans niedzielnemu sznurowi Aleksandra III, do którego był wtedy bardzo podobny. W mojej klasie dawał greki i był ~~przez cały mój pobyt w gimnazjum~~ jej „gospodarzem" tej klasy. Obowiązki dyrektora nie pozwalały mu poświęcać zbyt dużo czasu i energii uczniom naszym stanowczo grzechów, ale wiele jego lekcji zawsze zajmujące i, jak się to dziś mówi: ogólnokształcące. Od czasu do czasu pod jego przewodem urządzaliśmy wycieczki do fabryk w okolicy Żytomierza, ~~przeważnie~~ np. do cukrowni w Iwankowie i do huty żelaznej w Deneszach. A innym znów razem zrobiliśmy razem piękny spacer na nartach po zamarzniętym Teterowie. Mówiono o nim, że zaczął się pozyskać zaufanie i sympatię uczniów dla całej szlacheckich, ale nie wiem, ile w tym było prawdy.

Raz na rok urządzaliśmy tradycyjną majówkę do lasu podmiejskiego. Szczęśliwy był w swoim żywiole! Od rana ćwiczył nas, ustawiał ~~klasami~~, ~~wiązanki~~ to czwórkami, to parami, każda klasa ze swoim sztandarem, oprócz którego był jeszcze wielki ciemno szafirowy ~~sztandar~~ jedwabny sztandar ogólny, wreszcie Szczęśliwy dosiadał białego rumaka, wypożyczonego od straży ogniowej i przy dźwiękach orkiestry ruszaliśmy przez miasto, most na Teterowie, rzeczką bardzo szeroką do lasu, gdzie się kończył szyk wojskowy a zaczynało się jedzenie: picie. ~~Z nami~~ Dążyli ze nami z miasta nie tylko rodzice i wychowawcy w dobrej ~~woli~~ wypchanych dorożkach, ale i cukiernicy z ciastkami, lodami i napojami chłodzącymi. Trwały te zabawy i przekąski do zmroku, po czym, znów w ordynku wojskowym, wracało się do miasta, gdzie przed gimnazjum następowało rozejście się do domów.

Poza szkołą bratem lekcje francuskiego, niemieckiego i gry na fortepianie. Tę ostatnią ~~z~~ rychło zarzuciłem, gdyż bolesnemi gam i wprawek mordęgi mnie niewymownie. Z niemieckim byłem zawsze na bakier: nauczyciele starzy i młodzi napróżno się wysilali, aby mnie czegoś nauczyć; dopiero gdy nastał pocieszny Richter, organista miejscowej „Kirchy", to swoją dobrodusznością dobrym humorem i niewyczerpaną cierpliwością zdołał jakoś mój [illegible] to

tego języka zniemczyć. Miał piękną rycerską brodę Barbarossy i liczną rodzinę: słyszę mój nauczyciel, jak się zabrać do kapryśnego malca; barbiśmy się raczej nie odbywali systematyczne lekcje, ale metoda, którą już zalecał Puszkin w „Onieginie" (учиться его всему шутя) okazała się dobrą i jeśli dzisiaj coś niecoś niemczyzny posiadam, to zawdzięczam to poczciwemu Richterowi. Z francuszczyzną było całkiem inaczej. Znajomość jej przyszła mi niemal niepostrzeżenie i od dziecka mówiłem tym językiem chodziło więc tylko o pogłębienie i usystematyzowanie wiadomości i zapoznanie z literaturą. Zaproszono do tego Francuzkę, która w swoim czasie wychowała panny żyłomierskie, zaczęła z moją matką, w mowie Gallów wyleciała, a której należy się tu osobne wspomnienie. Przyjechawszy z dalekiej Bretanii przed wielu wielu laty z dalekiej Bretanii p. Journau wyszła tu za mąż za p. Ziemiańskiego, który jako emigrant długo we Francji przebywał, matematyka i swedenborgianina, który jako emigrant długo we Francji przebywał i tam się widocznie we Francuzkach rozmiłował. Mimo długiego pobytu na Wołyniu p. Ziemiańska do końca życia nie nauczyła się żadnego z języków krajowych, znała zaledwie kilka wyrazów polskich, kilka rosyjskich, co jej poważało przy akompaniamencie obfitej mimiki porozumiewać się ze służącą. Opowiadano liczne facecje o różnych nieporozumieniach, które p. Ziemiańską na tle lingwistycznym spotykały. Tak więc kiedyś syn jej, odbywający właśnie służbę wojskową, przysłał ordynansa do niej po pas i czapkę, które był u matki zostawił. „Deńszczyk" gruchnął salutuje p. Ziemiańską i powiada: „Barin prosił kusziak i szapkę". Barin, prosił szapku ... to zupełnie zrozumiała, ale „kusziak" zrozumiała podobnie do „kuszat'" „Barynia dajtie kusziak i szapku" „Barin prosił kusziak i szapku", „Barin", „prosił", „szapku" — to rozumiała, ale „kusziak"? Aha! To znaczy przecie znaczy „jeść" (kuszat'). Przynosi mu więc żądaną czapkę i stawia przed nim miskę jakiejś jadła. Żołnierz zjadł ze smakiem, wytarł rękawem usta i mówi: „a teper' barynia dajtie jeszcze kusziak". Zdziwiona apetytem deńszczyka, p. Ziemiańska przynosi mu drugą porcję, która podziałała łagodniej w burzliwym brzuchu żołdata, i ten mocno już najedzony chciałby wrócić do swego pana, ale musi nie przecie spełnić polecenie i przynieść nie tylko czapkę ale i pas, więc stojąc na baczność jeszcze raz powtarza: „jeszcze kusziak!". Taka żarłoczność zirytowała wreszcie p. Ziemiańską i wyleciała na Boga ducha winnego żołnierza krzykiem: „Ah mais non! tu as déjà assez mangé, va-t'en! Pošla won!". Tak więc biedny ordynans poszedł bez pasa.

P. Ziemiańska mimo swego białoruskiego pochodzenia była republikanką, rasistką i deistką z końca XVIII w. zabłąkaną do wieku XIX. O księżach nie wyrażała się inaczej jak: „ces messieurs" (ci panowie).

Toteż nawzajem księża żydowscy jej nie lubili i ~~nie~~ zwracali uwagę mojej babki, że lekcje francuskiego mogą ujemnie oddziałać na moją religijność. Jednakowoż babka czuła słabość do p. Ziemięckiej, z którą się od tak dawna znały, oczywiście ~~nie~~ żadnej propagandy antyklerykalnej ~~nie~~ u siebie w domu by nie znosiła, a z drugiej strony dla mnie p. Ziemięcka była śmieszną figurą, której na serio brać nie mogłem i, co za tym idzie, nie ~~mogłem~~ przejmowałem się jej zapalczywością na Kościół i księży. Zresztą i ten jej ~~radykalizm~~ czerwony radykalizm przykazł mocno pod koniec życia i wiem, że ~~umarła~~ przed śmiercią pogodziła się z Bogiem. ~~Poczciwe~~ Poczciwe było kobiecisko mimo śmiesznych i fałszywych teorji, zdaje się zdolności pedagogicznych wiele nie miała, jak to dziś z odległości oceniam, lekcje jej były szablonowe i (tak) suche jak jej mała zawiedła osóbka, ale traktowała swój zawód poważnie i ~~[illegible]~~, jako wzór czasownika I koniugacji, zawsze powtarzała po gramatyce przykładowe „aimer" (kochać), dawała zawsze swoim uczniom do odmieniania: „penser" (myśleć)! Wreszcie pomagała angielskiego nauczycielka się od p. Finkelsteina, Żyda - poliglotę, którego brat, artysta w Paryżu, zostawał jako jean Finot redaktor Revue des Revues.

Francuski i niemiecki to były nauki obowiązkowe; sam też paliłem się do chemii, z którą się zapoznałem z popularnego podręcznika Roscoe'go. Ku zmartwieniu babki robiłem różne doświadczenia, grożące pożarem i ~~zatruwające~~ zatruwające powietrze. Później przyszła fara doświadczeń fizycznych, głównie z dziedziny elektryczności: konstruowałem elektrofory, które się trzepało lisim ogonem, kulki lejdejskie, elementy różnego typu itp. ~~Budowałem~~ Pomagali mi w tym koledzy, z którymi w tym czasie najbliżej żyłem: Aleksander Starodwiecki, zwany pospolicie Szurka, i Staś Jankowski. Ze Starodwieckim, choć Rosjaninem, najbardziej się zaprzyjaźniłem, łączyły nas wspólne upodobania, i kultura z domu wyniesiona. Rewolucja bolszewicka wymiotła go z Wołynia aż do Belgii, gdzie się ożenił i osiadł, biedując na jakiejś posadce w jakiejś fabryce chemicznej. Jeszcze w pierwszym roku ~~po~~ ostatniej (czy aby ostatniej?) wojny w 1939 r. miałem od niego list, obecnie nie wiem ~~czy~~ nawet, czy jeszcze żyje! Oprócz wspomnianych utrzymywałem bliższe stosunki z Edmundem De Mezerem, ~~Bohdanem Kuszelanem z Gdańska~~, Władysławem Kowieniechinc, Michałem Jankowskim i Bohdanem Kuszelanem; tylko z tym ostatnim zetknąłem się w późniejszych latach, dał mi na pamiątkę swoją książkę ~~angielską~~ w języku angielskim: „One crouded hour", w której opisał burzliwe dzieje swego żywota, dodając do „Warheit" wiele z „Dichtung"...

Z kolegami Rosjanami i Żydami stosunki były na ogół poprawne, sporów i antagonizmów narodowych nie było, ale nie było też i bliższego współżycia. My Polacy mieliśmy zawsze swoje odrębne sanktuaria, do których nie dopuszczaliśmy obcych. Nie mówię już o miarkach konspiracyjnych, ale po prostu Polacy nie bywali u domach rosyjskich a Rosjanie u polskich. Wyjątkiem był wspomniany Szurka Starodwiecki, który się z Polakami zaprzyjaźnił i bywał przyjmowany u domach polskich.

Antysemityzmu wyrozumowanego nie było, ale był instynktowny.

Nie mógłbym sobie wyobrazić, że Polak może się ożenić z Żydówką, albo Polka wyjść za mąż za Żyda. Dopiero później zobaczyłem, że w Królestwie takie wypadki się zdarzają i zawsze mi to bardzo raziło. Koledzy Żydzi z gimnazjum mówili poprawnie po rosyjsku i starali się ~~[illegible]~~ upodobniać do Rosjan, po polsku albo nie mówili wcale, albo zaledwie kilka słów w przeciwieństwie do swych rodziców, którzy uprawiając rzemiosło i handel rozmawiali z klientami Polakami po polsku. Sprawa Dreyfusa była odczynnikiem, który wyraźnie Żydów odseparował od chrześcijan i pamiętam na pewnych lekcjach dyskusje na ten temat.

Wakacje spędzałem częściowo u ojca, który wtedy w Warszawie zamieszkał, częściowo we wspomnianych już Nosowicach u matki zamężnej w pp. Woronicrów. Później Woronicrowie i matka przenieśli się do Żytomierza, a Babka zjechała do Nosowic, gdzie pasierb jej a mój wuj Kazimierz Iwanowski został administratorem nie tylko samego folwarku Nosowice, ale i pozostałych folwarków: Łozowej i Trubeżki. Tak więc dwór Nosowiecki stał się dla mnie jakby rodzinnym domem, z którym mię łączą najmilsze wspomnienia. Sam dwór na wielką skalę zabudowany, ~~opatrzony w wieżyczki~~ zaciszem, aż wielkim podjazdem kolumnowym, z oranżerią (w której była śpiżarnia) z kapliczką (takiż) z ~~sala balowa~~ wielką salą balową, i tarasem na kolumnach, wraz całkiem pałacowe zaciszne. Dość duży park spadał stromo ku stawowi, gdzie nie było ryb, ale za to piękne rechocące żaby. Były, jak to zawsze na wsi, różne kundysy, były i charty do polowania na zające, były konie wierzchowe, bidki, linijki, bryczki, stowarzyszenie sad z doskonałymi owocami, melony i kawony z inspektu albo z „bazta-nów", słowem raj ziemski. Najbliższym miastem był, ~~Hajsyn, dokąd się jeździło na pocztę i po zakupy odległy o 12 wiorst, powiatowy~~ Hajsyn, odległy o 12 wiorst, dokąd się jeździło na pocztę i po zakupy. Kościół parafialny był w Kuniu, własności Edwardostwa Jaroszyńskich. P. Jaroszyński wyróżniał się wśród okolicznego ziemiaństwa wysoką kulturą i głęboką pobożnością, dzięki czemu kościół kuniański miał w nim nie tylko formalnego kolatora ale i prawdziwego opiekuna. ~~Był to~~ Był to kościół po-kapucyński, o wspaniałych ołtarzach, ~~dawny~~ typowych dla świątyń pod ten zakon ułożonych. Za mej pamięci był tam proboszczem O. Mariusz Klepacki, Kapucyn, przysłany do Kuni po zamknięciu klasztoru w Winnicy. ~~Piękna postać~~ Dobry, łagodny, wyrozumiały na słabości ludzkie, a przy tym ~~głęboko religijny~~ ponad poziom kapucyński wykształcony, ten kapłan cieszył się ogólnym poważaniem i sympatią. Zawsze otoczony ptakami, kotami, kurami, kaczkami i gołębiami, miłością swoją dla zwierząt ~~naśladował~~ przypominał Św. Franciszka z Assyżu, którego habit nosił. Służyłem mu do Mszy Św. w niedzielę wraz z Jóźkiem Woronicrem i ułajemniczałem się w piękności liturgii katolickiej. On to mnie przygotowywał do pierwszej Komunii Św. i jego wpływ i wspomnienie o nim dodatnie zostawiły ślady na mojej duszy.

Polityka agrarna Rosji w stosunku do Polaków zamieszkałych na Litwie i Rusi, czyli jak to się oficjalnie nazywało w kraju Północno-Zachodnim i Południowo-Zachodnim, sprawiała, że ~~stan posia~~ majątki polskie stopniowo topniały i dwory polskie stawały się coraz rzadsze. W sąsiedztwie jeździło się zatem po kilkanaście a czasem i po kilkadziesiąt wiorst. Taka jazda szczególnie nocą, po doskonałej twardej drodze podolskiej miała dużo uroku. Obok dworów ośrodkami polskości były cukrownie, gdzie technikami i ~~ob~~ urzędnikami bywali zwykle Polacy. Nosowce dostarczały buraków do Sitkowiec odległych o 5 wiorst. Administratorem cukrowni był p. Jan Jakovica ~~ojciec licznej rodziny~~, zbierał stare obrazy i inne antyki, które sprzedał później ~~Galerii~~ Miejskiemu Muzeum Sztuk Pięknych we Lwowie. P. Jakovica był ojcem licznej rodziny, panny były ładne, dom gościnny, stąd tam bale na św. Jana, ale i bez okazji imieninowych ciągle się tam ~~mnóstwo~~ zwykle gościło. Równie liczną i gościnną była rodzina dyrektorostwa Ostrowskich, z te dwa domy najczęściej odwiedzałem i po dziś dzień z tymi rodzinami życzliwe utrzymuję stosunki. Z Sitkowiec również pochodził, głośny później Walery Sławek, syn pomocnika dyrektora, ~~którego później pisarczyka~~ o którym później piłsudczycy rozpuścili plotkę, jakoby był nieprawym synem ks. Czetwertyńskiego z pobliskiego Dazrowa. W paradoksalnych umysłach tych naszych smutnej pamięci wtedy, pseudo-socjalistów i pseudo ~~bykałatorów~~ [działaczy], uchodziło [bowiem] za większy rezerwat być nieprawym synem księcia niż legalnym [skromnego technika] synem ~~ojca... zabieraliśmy się z Sławkiem w~~ Spotykałem się później ze Sławkiem za czasów studenckich, ~~ale zawsze odstręczał mnie od niego a go~~ w Warszawie, ale do większego zbliżenia między nami nigdy nie doszło, a po zamachu majowym 1926r. drogi nasze ostatecznie się rozeszły. ~~Fakt, że jakoby był on jednym z niewielu piłsudczyków, którzy się majątku nie dorobili~~ ~~Fakt, że to, że się jak tylko innych piłsudczyków nie dorobił majątku~~ To, że się nie dorobił majątku na majętności z „Dziadkiem", jak tylu innych piłsudczyków, i tragiczny jego koniec świadczą, że był to w gruncie rzeczy człowiek. No, ale ~~to~~ trochę za mało, aby zgodzić Polskę! ~~Już nawet Pryszt był od niego uczciwszy!~~

Drugą część wakacji spędzałem u ojca, który wreszcie z gospodarza ~~prowincji~~ na roli zamieszkał w Warszawie i pracował w Tow. Ubezp. „Prezorność". Poznałem tam Kolegę ojca z „Prezorności" Stanisława Korfowskiego, autora kilku dramatów wierszowanych, grywanych w Warszawie. Utrzymanych [w] ludowym stylu były świetne sztuki z dziejów cyrkowych „Taboryci" i odczytał je nam z rękopisu. Widziałem je później, wystawione na scenie teatru „Rozmaitości" ~~w~~ z Bolesławem Leszczyńskim w roli głównej. ~~Ale poziom, nawet~~ ~~mimo to~~ wspaniała gra ratowała słabą sztukę, ale dłużej na afiszu utrzymać jej nie mogła. Teatr był wówczas moją pasją i pozostał nią jeszcze przez długie lata, [tak] że podczas pobytów w Warszawie co niedziela zabieram z ojcem, bądź do Rozmaitości, bądź do Opery, a wtedy do Teatru Letniego w Ogrodzie Saskim, bądź do jednego z teatrzyków ogródkowych, których jeszcze kilka było w Warszawie. ~~Z~~ Pamiętam też Klemensa Junosza (Stanisławskiego); pamiętam, że ~~często~~ byliśmy z ojcem i z nim na kolacji w jakiejś restauracji; ~~[illegible]~~ robił wrażenie poczciwego, dobrodusznego i wesołego człowieka, który umiał rozmawiać i żartować ze szlubakami i wtedy tak wyglądał, jak sobie go wyobrażałem, czytając w Tygodniku „Bajdy", „Czarnoksiężnika" i różne nowelki.

do str. 17

Sitkowce należały do ordynacji Teplicko-Sitkowieckiej, będącej wspaniałym majątkiem ogromnych niegdyś dóbr Potockich. Obecny ordynat, hr. Franciszek Potocki, mieszkał w Pescarze, skąd po katastrofie bolszewickiej przeniósł się do Warszawy, gdzie w niepodległej Polsce objął stanowisko dyrektora departamentu wyznań religijnych w Ministerstwie Wyznań i Oświaty. W Kunce, leżącej na polskiej drodze do pareszczonej Kamy, będącej własnością hr. Dzieduszyckiego, dziedziczki Zahrzewscy, w Kuźmińcach siostrzeńcy Bonieccy, w Charzewicach i Stepankach Jełowieccy, ~~dobrej Narajówce w Zaborzu~~ dalej, w Narajówce, ~~Malowieniczy~~ komandor Malkowski, Melleniusski, ~~odmawia~~ który, w odwiedziny ~~do szpitala~~ przyjechał ~~z Lokajem~~ z ~~wizytą~~ Iskajem, ~~wdaje się~~ Francuzem, co ~~wielkie~~ zaraz sprawiło (zaszczepionym sąsiadom) ~~wielki~~ kłopot, ~~[redacted]~~ w Odajpolu (siostrzeńcy ~~Podgórscy~~ Zapolscy a w Ferdynandówce Podgórscy. Dalej, ~~we~~ w powiecie Słowiańskim guberni Kijowskiej, ~~miał majątek~~ Szapiejewki, przyjaciel mego ojca, hr. Stanisław Tyszkiewicz, ~~pochodzący~~ ~~z Chojechy~~ (primo voto z Chojecky Zenaty), wielki meloman i amator fotografii. ~~Przyjaciel Bujwida, bywał u Bujwida, tam bywał z ojcem i przyjaciółmi ~~[illegible]~~ i profesorami, z którymi jadł [illegible]~~. Wszystko to dziś nie istnieje, zniszczone przemysłem bolszewickim, ~~[illegible]~~ cienka warstwa ~~[illegible]~~ polskiej, nie mającej korzeni w ludzie, szlachty, na miejscu polskich majątków powstały „kołchozy" i „sowchozy", ale czy ludność ~~[illegible]~~ rdzenna, czy Rusini, Małorusini, czy Ukraińcy, na takiej ruinie co wykaże – dziwna natura!

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

(Do str. 17.)

Utkwił mi również w pamięci ciekawy obrazek z tych czasów, który warto zachować dla potomności. Znajomym ojca z Podlasia był unicki ksiądz Skalski, który po kasacie unii dostał się na jakąś posadę w Warszawie, czy nie na Kolei Wiedeńskiej, ~~która~~ tym nieocenionym przytułku różnych rozbitków życiowych. W dni pozszednie pan Skalski chodził do biura, a w niedzielę ksiądz Skalski odprawiał Mszę Św. Na takie nabożeństwo zaprowadził mię kiedyś ojciec. W ciepłym warszawskim saloniku zamknięto okiennice, z komody wyciągnięto szaty liturgiczne, samą komodę przybrano na ołtarz, pozapalano świece, i w takim katakumbowym iście nastroju, ~~potem~~ ~~odpiero~~ w obecności najbliższej rodziny i nas zaproszonych, ks. Skalski intonował: Hospody pomyłuj! Sprawiło to na mnie wielkie wrażenie i przypomniało naocznie o prześladowaniu unii, o którym tylko słyszałem różne opowieści.

Dzisiaj ojciec pomaleńku Płock, do którego jeździli statkiem z Krakowa. Ten ostatni nacisnął na mnie wielkie i nie przemijające wrażenie. Już w samym fakcie wyjazdu „za granicę" było wiele emocji. Już na stacji w Szczakowej wszystko było takie inne, innymi wagonami się jechało, a Kraków wydał mi się jakimś zaczarowanym miastem z bajki. ~~Opuścić Kraków, od dawna będący już stary~~ wszystko mi zachwycało i mówiło o wielkiej przeszłości narodu. Z nabożeństwem chodziłem po rynku, gdzie umurowana ~~w bruk~~ w bruk kaplica macierzyła miejsce, gdzie przysiągł Kościuszko, słuchałem z rozrzewnieniem ~~hejnału~~ ~~wygrywanego hejnału~~ ~~co godzinnego~~ hejnału z wieży Mariackiej i bicia zegara dzwonów. Nie czuło się tu niewoli jak w Warszawie, ale i nie czuło protestu, Polska tu ~~spała~~ drzemała, śniąc jakiś czarowny sen; dopiero później musiałem się pokonać o sprawiedliwości tej austryjackiej magii. Na razie przybysze z „Rosji" oddychali tu nawrostka wolności, która im uderzała do głowy mocniej niż wino w Hawełki.

Oprócz odmiennego ~~nastroju politycznego~~ od Warszawy klimatu politycznego Kraków dawał już przedsmak gór, które w dniu pogodny widziało się ~~na horyzoncie~~ z kopca Kościuszki na horyzoncie. Monotonia niziny polskiej zaczęła mnie nudzić, brzydota okolicy podwarszawskiej irytowała, tolet falistość gruntu zaczynająca się na południe od Krakowa była dla mnie prawdziwym wytchnieniem. A już zetknięcie się z Pieninami w Szczawnicy i z Tatrami w Zakopanem był to taki cud, że nawet późniejsze zwiedzanie Alp nie zdołało go przyćmić.

W czerwcu 1898r. zdałem maturę otrzymując zwykłym „medal złoty" — „za szczególne postępy w greckim i matematyce". ~~Za~~ Z tą grecką to była istna plaga, bo moja w tej dziedzinie wiedza nigdy nie przekraczała poziomu przeciętności, ale dawał nam greckiego przeciw sam dyrektor, który był zwykłym „gospodarzem" (wychowawcą) naszej klasy przez cały pięć lat, więc nie wypadało napisać inaczej. Dyrektorowi tę zawdzięczamy istną powódź medali: 8 złotych i 5 srebrnych na około 80 matur.

W tym roku na skutek wizyty cesarza Mikołaja II w Warszawie została zebrana znaczna suma pieniędzy, zdaje się pięćset milion rubli, dla uczczenia tego wydarzenia, a cesarz „miłościwie" przeznaczył tę sumę na założenie Politechniki w Warszawie. Ojciec technika zawsze bardzo imponowała, inżynierowie robili wtedy „bajeczne kariery", skłonił mię ~~więc~~ zatem do ustąpienia do ~~woli~~ mającej się otworzyć uczelni, z którą Królestwo Polskie tracyło wiele różowych nadziei. Mnie pociągał raczej Uniwersytet Kijowski, dokąd kierowała się większość moich Kolegów, ale musiałem ~~wolę~~ ojcu ustąpić. ~~W pociągu~~ Po wakacjach miałem więc udać się do Warszawy i poddać się tam egzaminom konkursowemu upoważniającemu do ustąpienia na Politechnikę. Tymczasem zafundowałem sobie (długą) ~~krótką~~ podróż studencką uniwersytecką: białą z szafirowym otokiem i ~~pojechałem~~ z dumną miną (na wycieczkę do Nosowic. pojechałem)

Podlasie z rodzinnym ojca Grodkiem, Częstochowę,

Jakież było to gimnazjum żytomierskie i jak dzisiaj, z perspektywy tylu lat, mógłbym ocenić jego wartość? Zwykły to ale niezmiernie błąd: uogólnianie własnych doświadczeń; sądząc zatem po sobie i najbliżej mi znanych kolegach, powiem, że nie zamęczając nas zbytnio dało nam pewien solidny podkład wiedzy w ograniczonym zakresie w myśl zdrowej zasady: non multa sed multum. W gimnazjach dzisiejszych uczą więcej, może i lepiej, ale umiemniej umieją. Ja osobiście wyniosłem nieźłą znajomość łaciny, matematyki i fizyki i z tym dawałem sobie jakoś w życiu rady. Nauka nas, jak pamiętam, nie zamęczała, warunki życia mieliśmy dobre, niemal wiejskie, żadnych specjalnych sportów nie uprawialiśmy, ale ślizgawka w zimie a w lecie dalekie spacerki za miasto i pływanie łódkami po Teterowie były jak równowartnikiem, a może i lepsze były dla zdrowia.

Oprócz wyżej kontyngentu lekarzy, prawników, nauczycieli itd., na ogół poważnych i pożytecznych ludzi, z gimnazjum żytomierskiego wyszło za morze czasów kilku ludzi, którzy zaszli potem na szerszym świecie: Kazimierz Stołyhwo, profesor antropologii na Uniw. Jagiellońskim, Eugeniusz Frankowski, prof. etnologii na Uniw. Poznańskim (ten co prawda tylko skończył ~~nauki w Żyto~~ szkoły w Żytomierzu, a pochodził z Siedlec), Józef Turczyński, znany wirtuoz fortepianowy, bracia Wiślicscy: Władysław - poeta i Aleksander - muzyk, Jan Stemborn, przedwcześnie zmarły dyplomata i literat i Jan Tokarzewski - Karaszewicz z Podola rodem, który, ~~odwracając~~ odwróciwszy stare hasło, stał się „gente polonus - natione ruthenus“ ożenił się z Ukrainką i został ambasadorem rządu Petlury w Konstantynopolu, a potem ~~klepał~~ klepał biedę w Paryżu. ~~Ta metamorfoza była dla mnie niezrozumiała i idealnych pobudek~~ Mimo odmiennych poglądów ta metamorfoza wynikła z idealnych pobudek i potępić jej nie można

Z Żytomierza wyszli i bracia Jednejewiczowie, którzy tak smutną po sobie pamięć w Polsce zostawili. Na szczęście nie miałem ich osobiście za czasów gimnazjalnych, a później w Warszawie tak odmiennymi chodziliśmy drogami, że nie miałem okazji z nimi się zetknąć.

Rozdział II

Czasy studenckie

Zamianie czapki uczniowskiej na studencką towarzyszy uczucie, które Anglicy * nazywają „puchnięciem głowy", na skutek czego każda czapka wydaje się za ciasną. Młodzieniec, który jeszcze w ostatniej klasie gimnazjum skrobał sobie ~~już~~ na policzkach i podbródku jakieś niewidoczne gołym okiem puszki, zaczyna ~~się~~ się naprawdę puszczać ~~już~~ na twarzy ~~jakąś~~ męska roślinność; ~~młodszych~~ młodszych od siebie o rok chłopców, którzy jeszcze kilka miesięcy temu uważał za kolegów, obecnie traktuje on z pobłażliwym lekceważeniem, zwraca coraz baczniejszą uwagę na osoby płci odmiennej, nabiera pewności siebie, czasem zasługującej na miano „tupetu" i bywa niemiły w rodzinie, która przez jakieś dziwne zaślepienie nie dostrzega metamorfozy szkolaka w dorosłego człowieka, o czym świadczy przecież „matura" – świadectwo dojrzałości!

Przechodziłem i ja te objawy, ale w bardzo łagodnym stopniu i moje tegoroczne wakacje nie różniły się prawie niczym od dawniejszych. Tak samo jeździłem konno po folwarkach i polach pomagając ekonomom liczyć kopy pszenicy, tak samo jeździłem po pocztę do Hajsyna, a w niedzielę służyłem do Mszy O. Mariuszowi. Nie przejmowałem się myślą, że mnie czeka konkurs ~~owy~~ egzamin do politechniki, bo wiedziałem, że w razie niepowodzenia zostanę automatycznie przyjęty na uniwersytet. Używałem tedy beztrosko wsi i dostatniego życia. ~~Nowości~~ Stosunek z ludnością wiejską był poprawny, choć z każdym rokiem dawna „patriarchalność" zanikała. W Nowocach pod tym względem nie było ani gorzej ani lepiej niż w sąsiednich znanych mi dworach. Nowoprzybyły przychodził ~~się~~ z całym ceremoniałem wiejskim pokłonić się „panu", odbierali życzenia tego dnia ze skromnym datkiem pieniężnym i całowali przez chustę w przedpokoju. Chorzy przychodzili po porady i lekarstwa: najwyższym powodzeniem cieszyła się nalewka ~~bardzo~~ mocna i gorzka na jakimś korzeniu „kałgan": ~~to~~ to podobno syberyjski specyfik od cholery, ale stosowany z powodzeniem we wszelkich bólach żołądka tak pospolitych na wsi w sezonie ogórków. Oprócz tego: olej rycynowy, chinina, ~~[illegible]~~ werwena a jedyna i wazelina na reumatyzm – oto był cały repertuar apteki domowej. Do żniw, które należało odbyć w szybkim tempie, aby się ~~[illegible]~~ ziarno nie wysypywało, zwoływano ludność wiejską ~~[illegible]~~ przez „heroldów", obdarzonych ~~[illegible]~~ donośnym głosem parobków, którzy z wieczora zachęcali chłopów do stawienia się do pracy na danym polu, omawiając zarobek o jej warunkach t.j. o ilości kopiejek od zżętej kopy, bo praca była na akord. W różne półświątki, w które obfituje Kalendarz prawosławny, nie można było pracować za pieniądze, uważało się zatem t.zw. „tłoky". Było to coś w rodzaju zabawy towarzyskiej, połączonej ze żniwami

Przywiózł się na pole wódki, jakieś gościńce dla dziewcząt, urządzano jakąś loterię, ~~przy~~ kapela wiejska przegrywała i między jednym tańcem a drugim coś niecoś przemicy się zebrało. Tak samo z muzyką i tradycyjnymi śpiewami obchodziło się zaraz dożynki.

Pięknie wyglądały na ścierni dorodne piętnastki, których nikt u nas z niemiecha „mendlami" nie nazywał; ~~budowało~~ układało się je ~~trudy~~ odwiecznym fasonem czworokątnym ~~snopami~~ kłosami do środka a z wierzchu nakrywało czapą z rozczepierzonego snopa. Z gęstości kóp na polu wprawne oko gospodarza oceniało urodzaj. Na ten temat kursował w tym czasie u okolicy żart o tak fenomenalnym urodzaju u pewnego ziemianina, że nie mógł on zmieścić kóp na własnym polu i musiał wydzierżawić w tym celu pole od sąsiada. Już przy mnie zanikły ~~tłoki~~ kłoki i ~~ścięcie~~ ścięcie sierpem przez tłumy kobiet; zjawiły się najpierw zwykłe żniwiarki, machające niby wiatrakowymi skrzydłami, a potem żniwiarki-wiązałki. Nie jestem ~~kwadratowy temperamentu~~ chwalca, wiec nie żałuję tych ~~ze~~ dawnych malowniczych ale uciążliwych sposobów zbierania zboża ~~(...)~~ i witam z uznaniem wszelki wynalazek, który zaoszczędza ludziom potu i zmęczenia. A zresztą i widok żnących żniwiarek-wiązałek ma także dużo malowniczości, ~~wzięcia~~.

Wreszcie następował ostatni akt — młócka. Odczyszczone, wyświeżone i wyremontowane ~~z~~ lokomobila i młocarnia jechały na miejsce, gdzie się młócenie miało odbywać. Jeżeli zważymy, że trzeba było przy tym przejechać czasem kilka jarów mniej lub więcej stromych i kilka mostków czy ~~tak~~ grobelek mniej lub więcej zdezelowanych, to zrozumiemy, że ~~tego~~ ten dzień był dla gospodarza niczym decydująca ~~bitwa~~ bitwa dla Napoleona ~~Napoleona~~. Mogło to być ~~Austerlitz~~ Marengo czy Austerlitz, ale nie było Waterloo! Wszystkie chyba konie i woły folwarczne, w przemyślny jakiś sposób zaprzęgane do tych dwóch pojazdów, smagane batami, podniecane krzykami, jakoś mogły je uciągnąć pod górę. Sam gospodarz, jak wódz naczelny, dawał dyspozycje, które zdenerwowani ekonomowie, ustając się na zgonionych wierzchowcach, starali się, ~~wykonać~~ ~~na gościńcu przy odpowiedniej~~ ~~wykonywać przebiegi~~ przy odpowiedniej dozie ~~Tajania~~ bacznego i obrazowego tajania, wytłumaczyć parobkom. Ci wreszcie ~~bezpośredni~~ ~~wykonawcy pobudzając ~~ruganie~~" i bicie~~ zwracali się bezpośrednio do ~~ko~~ wołów i koni i za pomocą podwojonego „rugania" i bicia usiłowali wreszcie od tych pocieszych stworzeń wykrzesać zkomplikowanego taktycznego planu, polegającego na przeniesieniu machin na miejsce przeznaczenia.

Szlubak jest istotą u życiu towarzyskim zaledwie tolerowaną — student całkiem równouprawnioną. Miałem i na sobie tego doświadczyć, biorąc odtąd czynny udział u rozmaitych wieczorkach, balach, teatrach amatorskich i polowaniach, którymi urozmaicano sobie u tych stronach życie. Warto zostawić dla potomności opis takiej ~~zabawy tanecznej~~ ~~tanecznej na~~ wiejskiej zabawy tanecznej, bo i pod tym względem obyczaje szybko się zmieniają.

Do małych wieczorków wystarcała najczęściej jakaś kapela wiejska, ale na wyższe uroczystości sprowadzano orkiestrę jakiegoś słynnego w okolicy Herszka z Niemirowa czy z samej Winnicy. Tańce zaczynały się wcześnie koło 8-ej wieczorem a trwały, mało powiedzieć „do rana", ale do zupełnego już dnia. ~~Tańczono~~ Zaczynano bal zwykle polonezem, po którym szły walce, mazury, kontredanse, polki i kotyliony. Innych tańców na ogół nie tańczono. Różne pas-de-quatre'y, pas-d'Espagne, węgierki itp. były efemerydami, do których zaledwie kilka par można było zwerbować, ~~i były rzadko popisami~~ czasem w trakcie mazura z figurami znajdowali się amatorzy oberka czy krakowiaka, ale to były tylko nieliczne rodzynki w cieście. A ciasto stanowiły jak już mówiłem: mazur, kontredans i walc. Każdy z tych tańców był oczywiście „z figurami" i trwał nieskończenie długo.

Dzisiejsze tańce, owe tanga, bluesy, skimmy i foxtrotty mają wybitnie charakter egoizmu à deux. Partner z partnerką, nie dbając o ~~na~~ resztę tancerzy, ~~przeciskają~~ ściskają się, ocierają się o siebie i ledwo, ledwo przesuwają się z miejsca na miejsce, całkiem co prawda zbytecznie, bo ten cały „taniec" mogliby z równym skutkiem wykonywać, nie ruszając się z miejsca, a nawet w zgoła innej pozycji niż stojącej. Natomiast w czasach, które opisuję, tańce ~~—~~ były wybitnie społeczne, skąd też ogromna w nich rolę odgrywał aranżer czyli wodzirej, prowadzący tańce. ~~Do mazura stawał~~ On to ustalał porządek tańców, on układał figury, dobierał pary, konferował z orkiestrą w sprawie repertuaru i t.p. Do mazura stawały wszystkie pary, najczęściej od początku balu już ze sobą zmówione, tancerzy przez chwilę, po czym wodzirej je numerował i komenderował: Pierwsza para, mazur! ~~Pierwsza para tańczy,~~ Dalej następowała komenda: Pani wybiera pana, a pan wybiera parę! Z jednej pary powstawały dwie pary, z dwóch cztery, z czterech osiem i tu już wodzirej mógł dać upust swej fantazji, zarządzając przeróżne ~~tańce~~ ~~tańce dla wzmożenia tańczących~~ a jednak zawsze nowe figury. Do ulubionych należała t.zw. figura „macrymonchia", vel „krakowska".

w której panowie, zostawiając na chwilę ~~panie~~ tancerki na obwodzie koła tanecznego, tworzyli koło. Z ośmiu kolejnych tak panów co drugi, ~~obracał się ku pośladkom~~ mocno trzymany za ręce przez sąsiadów, obracał się ku pośladkom i spotykał stopami z przeciwległym tancerzem. W ten sposób tworzył się ~~leżący wirujący~~ poziomy krzyż wirujący ~~poczęty~~ najpierw z nieparzystych, a potem z parzystych uczestników koła. Dla każdej ~~pary~~ pierwotnie zanumerowanej pary, wzięli rozmnożonej, jak to już mówiłem, przez wybieranie do ~~ośmiu~~ dwóch, ośmiu czy nawet ośmiu, trzeba było jakąś inną figurę wymyślić, toteż ~~figurująca~~ wodzireja nie była sztuczna. Się padła ~~kolejna~~ dama: zwodzonego! ~~Kobieta~~ mogła dawać upust swej przewrotności, wabiąc to tego to owego i ~~po sekundzie~~ mucając go ciosem już po sekundzie, aby złościć drugiego i trzeciego. W „odbijanym" natomiast wyrażała się ~~męska~~ walka mężczyzn o kobietę, każdy się starał nie dopuścić do oddania tancerki, tylko zahaczyć z nią tanicę tradycyjnym ~~zaborczością~~ hołubcem i zakręceniem w kółko.

Podobnież tańczyło się kontredansa, w którym po „odrobieniu" klasycznych pięciu figur i szóstej galopady, następowały przeróżne: „ronds", „chaînes", „corbeilles" i tp., jakieś: „kółka" „krzyżyki", „węże", które się niekiedy przerywały wspólnie kręcone i pokoje domu. Nie oszczędzano i walca, którego też ozdabiano figurami. Kolacja stanowiła ~~odpoczynek~~ odpoczynek dla nóg, raczej natomiast pracowały szczęki, a co się przy tym nagadano, naśmiano, nadowcipkowano! Przy głównym stole, gdzie siedzieli starsi, było gwarniej, ale co za gwar, co za wesołość panowały przy bocznych stołach - oficynach! Bodaj to młodość, incunda inventus; nie potrzeba nam było tej żywiołowej radości podnieca wódka, jak się to teraz, niestety, często praktykuje wśród młodzieży. Wódkę piło się zazwyczaj przy osobnym stoliku z przekąskami, jeden, dwa, czasem trzy kieliszki, ale w czasie kolacji podawano tylko piwo i jakieś lekkie wino. Toteż rzadko kiedy dochodziło do jakiegoś „zalania się", czy do jakiejś pijackiej awantury.

Po kolacji tańce z nową energią trwały do rana i kończyły się „białym mazurem", który trwał jeszcze godzinami domu, kiedy słońce już wysoko było na niebie. Jeszcze jakiś bawacz w fiflonkach, jakiś ~~czasem~~ do tego jakiś bigos, i ledwo żywe bractwo rozjeżdżało się do domów albo szło spać do gościnnych pokojów ~~dworu~~, do ~~jakiejś~~ ~~oficyny~~ ad hoc przygotowanych oficyn, czy wreszcie do stodoły.

Ale i najdłuższe wakacje kończą się wreszcie, a nie ma rady trzeba jechać do Warszawy na ów konkursowy egzamin. ~~Politechnika~~ Świeżo założona politechnika mieściła się tymczasowo w gmachu dawnej fabryki tytoniu „Union" przy ul. Marszałkowskiej, ~~a dokładnie~~ na rogu ul. Hożej w jednopiętrowym domu, dziś jeszcze istniejącym, mieściły się laboratoria chemiczne. Egzaminy zarówno pisemne jak i ustne poszły mi dość łatwo ~~i nie napotkałem prawie~~ i zapisałem się na wydział mechaniczny, z którego po kilku tygodniach przeniosłem się na chemiczny, dokąd mnie ciągnęły moje, ze szkoły jeszcze wyniesione, upodobania. Chemii nieorganicznej dawał prof. Dewad, organicznej — Wagner, podobno sława w swoim zakresie, ocznością poznać się na tym nie mogłem, podziwiałem za to jego potężną tuszę, hubalny głos i pewność siebie. Żartowano sobie z kolegami wracając o nim anegdoty. Krystalografię ~~wykładał~~ sam dyrektor — Łagorio, wytworny dziedzic, botanikę — Palladin o typowym wyglądzie rosyjskiego profesora-liberała. Polaków profesorów było zaledwie kilku: fizyk Wiktor Biernacki, podobno bardzo zdolny i rokujący wielkie nadzieje, które jednak nie bardzo się ziściły. Wykładał niby to o nich wprost usypiał monotonnym głosem.

i rokujący wielkie nadzieje, których jednak jakoś ziścić nie zdołał.

Technologii chemicznej dawał stary józef Jerzy Boguski, architekturę — Tołwiński, geometrię wykreślną — Głass, kreślenia — Okolski. × Wśród asystentów i laborantów: ~~tu~~ poznałem Tadeusza Miłobędzkiego, który mnie ułajemniczał w arkana ~~chemii~~ analizy chemicznej, ~~a~~ i Kazimierza Stanisławskiego ~~również chemika~~. Obaj w niepodległej Polsce objęli katedry uniwersyteckie.

Z kolegów ~~zbliżyłem~~ zaprzyjaźniłem się z Antonim Makowieckim, ~~z którym tworzyliśmy~~ podchorążym, który zwolnił później znaczną karierę w cukrownictwie, z Andrzejem Kozińskim, Stefanem Maychą i Edwardem Zienkowskim, autorami popularnych podręczników szkolnych z fizyki i chemii i Janem Grabowskim, mniej zasłużonym w swoim zawodzie, ale słynnym jako autor doskonałych powieści dla dzieci.

Z liczby kolegów, z którymi się zbliżyłem, muszę przede wszystkim wymienić Antoniego Makowieckiego, podlaka, ~~który~~ który jakiś czas mieszkał ze mną w Warszawie, a którego ja znów odwiedzałem bywając w jego rodzinnej Kochanówce na Podlasiu, bądź już jako dyrektora cukrowni w Wierzchosławicach na Pomorzu. Zrobił on wielką karierę w cukrownictwie i ostatnio był dyrektorem największej cukrowni w Polsce (chyba też na świecie nawet) w Chełmży na Pomorzu. Dalej nazwiska ~~mi się~~ Ludwika Kozińskiego, Stefana Maychy i Franciszka Zienkowskiego,

wzięli zbójarzone, jako autorów popularnych podręczników szkolnych fizyki i chemii. Z Kozińskim Tacą mnie jeszcze później wspomniana współnych wycieczek ze granicą. Wróciła tu się zaprzyjaźniłem z Janem Grabowskim, który zdobył ostrogi nie na polu chemii lecz jako autor doskonałych powieści dla dzieci. Oprócz tego przyjaźniłem się jeszcze z Leopoldem Makarskim, Henrykiem Temkiewiczem, Najwierszej obrony [illegible] Z innych [illegible] Kazimierzem Bzikiem, późniejszym cukrownikiem, Henrykiem Zaprzedzkim, który po ukończeniu chemii wstąpił na prawo i zrobił karierę urzędniczą w Polsce niepodległej, wreszcie z najstarszym z nich, Antonim Ponikowskim, późniejszym ministrem oświecenia i premierem w Pradze Polskim. Ten ostatni był pomysłodawcą mojej grupy w „Zjednoczeniu", zrzeszeniu studentów Politechniki, założonym na wzór istniejących przy Uniwersytecie: „Bratniej Pomocy" i „Spójni". Pierwsza miała charakter bardziej „narodowy" – druga bardziej „postępowy"; nasze „Zjednoczenie" Tacą wszystkich Polaków bez względu na ich poglądy polityczne. Jednakowoż, czyto ze względu na sympatie ideowe, czy z innych jakichś powodów, więcej towarzystwa miewaliśmy w „Spójni" i prowadziliśmy z nią wspólną kuchnię, gdzie za bardzo tanie pieniądze można było dostać ucztę nie byle obiad.

Oprócz „Zjednoczenia" mieliśmy jeszcze towarzystwo śpiewacze, „Pieśń", konkurujące z uniwersytecką „dirą". Prowadził ją chór Zgierzyński Noskowski, ale ćwiczył nas głównie Klerkowicz a później Konopasek. Noskowski był od „wielkiego dzwonu": on to dyrygował naszymi [illegible] koncertami publicznymi, na których występowaliśmy w ujmujących frakach, jako że studentom nie wolno było pokazywać się w mundurach na polskich imprezach publicznych. I w „Zjednoczeniu" i w „Pieśni" Antoni Ponikowski grał czynny udział, już wtedy cieszył się wielkim powodzeniem wśród młodzieży i darem organizacyjnym.

Nauka w Politechnice nie absorbowała nas całkowicie, inne nasze zainteresowania znajdowały ujście w wykładach t.zw. „latającego uniwersytetu" z którego powstały później naprzód „Towarzystwo Kursów Naukowych" a wreszcie „Wolna Wszechnica Polska". Wykładali tu po mieszkaniach prywatnych, coraz to gdzie indziej, najwybitniejsi uczeni warszawscy, którzy mogliby być ozdobą każdego uniwersytetu. Szczególnym powodzeniem cieszyły się wykłady [illegible] historii Niemca Mahrburga. Wielu słynnych profesorów, ale [illegible] nauko który mógłby dorównać Mahrburgowi pod względem doskonałej budowy wykładu, jasności i wyrazistości [illegible]

z Henrykiem Temkiewiczem, matrymu chemikiem, ale [illegible] później [illegible] ekonomistą,

Jego to ogłoszony a nieskończony artykuł w „Poradniku dla Samouków" skłonił mnie do ~~rozpoczęcia~~ studiowania filozofii i psychologii. W „Poradniku dla Samouków", tym nieocenionym wydawnictwie, które obok „uniwersytetu latającego" było takoż wraz z „Uniwersytetem Ludowym" były doskonałą namiastką ~~uniwersytetu~~ prawdziwego uniwersytetu, zetknąłem się po raz pierwszy z nazwiskiem jego redaktora, p. Stanisława Michalskiego, którego miałem zaszczyt poznać dopiero później, a ponoć później ubliżyć się z nim i zaprzyjaźnić.

Ogólna politechnizacja i samokształcenie się ~~mas~~ miały wpływ wywrzeć na nas teatr, gdzie królowała potoczyzna, wyjęta z innych dziedzin życia społecznego. Trudno sobie dziś wyobrazić, jak dawniej ~~wielką~~ rolę odgrywał w Polsce w owych czasach teatr, gdzie grywano ciągiem „Mazepę", ~~ale~~ ~~dramat~~ „tragedyę w 5 aktach p. J. S." (bo nazwisko Słowackiego było wtedy jeszcze pod cenzurą rosyjską), gdzie całą obfitość przyjmowano ~~zgromadzenie się na scenie~~ w „Hrabinie" Moniuszki ziarnem się na scenie aktora w mundurze ~~wojska~~ polskim, gdzie można było zobaczyć żupany i kontusze w „Zemście" Fredry... I aktorzy, widząc się, rozumieli swoje posłannictwo, ~~a teatr w~~ tłoczy publiczność darzyła ich ~~sympatią~~ ~~i uznaniem~~ ~~o polskim dziejopisie aktorze nam~~ ~~wrogu~~ ~~słusznym uznaniem~~ zasłużonym uznaniem i sympatią i zapisała w życiorysach pamięci takich nazwisk jak Bolesława Leszczyńskiego, wielkiego tragika, ~~wspaniałej postaci aktorskiego piętna~~ obdarzonego szlachetną męską urodą i wspaniałym głosem, doskonałego „Otella", „króla Leara", „Wojewody" i „Cześnika", Wincentego Rapackiego, Mieczysława Frenkla, który objął berło śmiechu po Alojzym Żółkowskim i wspomnę tu tylko najsławniejszych. Obok teatru „Rozmaitości", którego zespół przenosił się na lato do „Teatru letniego" w Ogrodzie Saskim, ~~dwa razy w sezonie~~ wielkim powodzeniem cieszyła się ~~Polska~~ opera, gdzie ogniła się miejscowych sprawiano ~~wydarzenia~~ głośnych śpiewaków zagranicznych. Pamiętam, że kiedyś w „Aidzie" występował tu jeszcze Caruso, już ogromnie sławą najlepszego tenora, i Krusceńska, której to była ~~po~~ w Warszawie debiut. Od razu porwała publiczność i wraża ją później grywać jako „Halkę" i „Hrabinę" – najlepsze jakie kiedykolwiek w życiu widziałem i słyszałem. ~~Wracać do mody często słuchanej opery~~ Opera stała zresztą wysoko i chętnie na nią uczęszczałem na „galerię", ~~a nie~~ trzecego piętra, a często i na „parter" owego piętra, gdzie z bocznych miejsc nie ~~się~~ scenę nie widziało. Z innych śpiewaków wspomnę ~~mimo~~ Aleksandra Bandrowskiego, niezapomnianego „Tannhäusera" i „Lohengrina", który rozmiłowany we włoskim „bel canto" Warszawę nawracał na surową wagnerowską modę.

Dużą rolę w kształtowaniu naszych umysłów odgrywała prasa, szczególnie różne tygodniki społeczne, w których mimo trudności cenzuralnych zdołali publicyści umieli ~~między wierszami~~ pisać między wierszami i wpływać na opinię. Założony przez Jana Popławskiego, narodowy organ „Głos", doskonale redagowany wówczas przez Zygmunta Wasilewskiego, ~~w~~ z końcem r. 1899 przeszedł na własność Jana Władysława Dawida i zmienił barwę z biało-czerwonej na czysto czerwoną... Wychodził jeszcze „Przegląd Tygodniowy" Adama Wiślickiego, pozytywistyczno-liberalny, ale górowała nad nim „Prawda" Aleksandra Świętochowskiego, której redaktor w swych świetnych felietonach jako „Poseł Prawdy" walczył ze wszelkim wstecznictwem czytelnik z tym, co za wstecznictwo uważał. Później mieć powstało „Ogniwo" o zaprzeszku masońskim; Ludwik Krzywicki, Stanisław Posner i Stanisław Stempowski nadawali mu swoisty kierunek. W Petersburgu wychodził „Kraj" pod redakcją Erazma Piltza. Był to ~~czy~~ organ ugodowców, ale dzięki lżejszym warunkom cenzuralnym, mógł on pisać śmielej i wyraźniej od bardziej skrępowanych pism warszawskich, toteż czytywano go zawsze z uwagą mimo jego kierunku politycznego. Pionierką antysemityzmu w formie dość hałaśliwej i prymitywnej była „Rola" Jana Jeleńskiego, zdaje się, że ani Polacy ani Żydzi nie ~~brali jej~~ traktowali jej zbyt poważnie. Z pism otwarcie wychodziła jeszcze „Biesiada Literacka" Warszawa Malarewskiego ~~i tygodnik~~ ~~illustrowany~~ o poziomie bardzo popularnym i „Tygodnik Illustrowany", redagowany przez Józefa Wolffa, a wydawany przez firmę „Gebethner i Wolff", która, rozpoczynając mocnym tłumaczeń, mogła sobie pozwolić na dobór przeważających sił literackich. Przez pewien czas ~~bardzo~~ ~~się~~ próbował z nim rywalizować „Wędrowiec", ale długo się nie utrzymał. Doskonale redagowana ~~przez~~ przez Adama Mahrburga a potem przez Mariana Massonińsa, „Książka" dawała recenzje z nowych książek i pozwalała orientować się o ruchu wydawniczym we wszystkich jego dziedzinach. Wreszcie na oddalonym z kolei miejscu, choć dla jego wartości pierwsze by mu się należało, wspomnę tu o „Wszechświecie", poświęconym naukom przyrodniczym. Redagował go Bronisław Znatowicz, wybitny chemik, który, nie mając do rozporządzenia ani katedry uniwersyteckiej ani odpowiedniego laboratorium, a zajmując skromne stanowisko kierownika „Inspekcji Garncarskiej" magistratu m. Warszawy, ~~pod~~ zdołał i pracować naukowo, i kreować zapał do nauki wśród młodzieży, i ~~[illegible]~~ zajmować się „Wszechświatem"

Dbał przy tym o poprawną polszczyznę u artystów przyrodników, wierny tradycjom Świadectwa, z którymi był związany. Toteż do jego podtym względem wymagań musieli się dostosowywać i uczeni starszej generacji i młodzi adiunkci, jak zoolog Jan Tur, Jan Sosnowski, geolog Jan Lewiński, krystalograf Zygmunt Weyberg i inni, dla których terminowanie w „Uniwersytecie" było doskonałą szkołą języka. Za pośrednictwem Kazimiera Słotwiny zbliżył się z tą całą paczką, a z p. Bronisławem Zwatowiczem łączyły mię oprócz tego stosunki rodzinne, gdyż brat jego Edmund, chemik-cukrownik, był ożeniony z moją ciotką z domu Wyleżyńską.

Poza operą rozkoszowaliśmy się doskonałymi koncertami symfonicznymi w świeżo wybudowanej „Filharmonii". Dziś gdy to piszę (w 1943 r.), obydwa te gmachy legły w gruzach. ~~Mieszkałem~~ ~~[illegible]~~ ~~razem z kolegami w trzypiętrowym murowanym domu~~ ~~który przeciwległ~~

Mieszkałem razem z kolegami: z Kazimierzem Skałbą, kolegą gimnazjalnym z Żytomierza, ~~[illegible]~~ późniejszym profesorem antropologii i Adamem Czarkowskim, wówczas studiującym przyrodę, który miał ~~później~~ następnie zerwać dla humanistyki. Prócz tego mieszkali z nami przejściowo wspomniani już wyżej: Antoni Malczewski i Andrzej Koziński, a co się przewinęło przez nasze mieszkanie ~~później~~ kolegów na tym lub innym polu ustalonych — trudno dzisiaj wyliczyć. Pamiętam, u nas bywał Kazimierz Błeszyński, przyrodnik i literat, Konrad Krzyżanowski, przedwcześnie zmarły malarz, doskonały portrecista, Franciszek Dolecki, późniejszy wiceminister przemysłu i handlu, od dyskusji znało jak u nich a często od śniechu i wrzawy dom się trząsł w posadach. Pasjonowała nas wtedy młoda ~~poezja~~ literatura i sztuka, u modnie brzmi Przybyszewski, „Chimera", wydawał Miriam, a ukazał się jakiś, im bardziej brzmiał „Laurowy i ciemny", tym więcej miał ~~powodzenia~~ uznania. Mimowoli i ja ~~ulegałem tej atmosferze~~ przesiąkałem tą atmosferą „sztuki dla sztuki", w której ~~współgrał~~ jednym wspólnym kultem obejmowano Villiers de l'Isle Adam'a, Strindberga, Ropsa, Hokusaja i Przybyszewskiego. To rozsiewanie miłośnicy ~~było nader widoczne~~ ~~zgorszeni widzowie~~ Dogadzało ~~mocno~~ nad ~~ich~~ rozsądnie, gdzie odzywało ja od innych mniej nieśmiertelnych zainteresowań politycznych. Na swoje dobro muszę tu zaznaczyć, że mój instynkt, nawet nie narodowy lecz ~~antypolityczny~~ poetycki, pozwolił mi z całej tej mgławicy, zwanej „Młodą Polską", wyróżnić i ocenić wybitny talent Kasprowicza, który wówczas ~~wydał~~ ~~[illegible]~~ był wydał potężne hymny p.t. „Ginącemu Światu". Dużo się od tego czasu zmieniło i na świecie i w moich upodobaniach literackich, ale Kasprowiczowi pozostałem wierny. Nałogowość do wyszukiwania zalet odnosiłem się z rezerwą: podziwiałem piękne fragmenty, ale ~~[illegible]~~ wiele rzeczy mnie ~~raziło~~ a szczególnie jego niedbały, ~~[illegible]~~ ~~rdzenny~~ niegramatyczności, z Tetmajera najwyżej cenię i cenię „Na skalnym Podhalu", a z innych poetów tej burzliwej epoki — Lucjana Rydla i to nie jako pisarza dramatów, lecz jako liryka pur sang, dziś mało czytanego, ~~ale którego~~ (~~[illegible]~~ ~~dzisiaj o~~ ~~[illegible]~~ ~~czytuje się~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]

Poza literaturą zająłem się już wtedy interesować polszczyzną od strony językowej. W gimnazjum żytomierskim polskiego nas nie uczono, pierwszych wiadomości systematycznych z tej dziedziny zaczerpnąłem z gramatyki szkolnej Malinowskiego, następnie zapoznałem się z Gramatyką A.A. Krysińskiego a potem z samym jej autorem. Mały człowieczek z bródką był wielkim uczonym, który się marnował na posadzie nauczyciela (!) francuskiego!) w jednym z gimnazjów warszawskich. Później powołano Krysińskiego na Katedrę języka polskiego we Lwowie a wreszcie do odnowionego uniwersytetu warszawskiego. Dostałem od niego autora jego rozprawę „O bezrozsądnym rozróżnianiu końcówek „-ym" i „-em" w deklinacji przymiotników i zaimków" i zapoznałem się z zasadami jego [illegible], której pozostałem wierny aż do ostatecznego uchwalenia i zatwierdzenia zasad pisowni w r. 1936. Nigdy nie mogłem zrozumieć przywiązania niektórych osób do tego rozróżniania: „dobrym ojcem" a „dobrzem dzieckiem", nie mającego uzasadnienia ani w historii języka ani w żywej mowie, a przecież są nawet na pozór oświeceni ludzie, którzy ten nonsens językowy podnoszą do godności jakiejś świętości narodowej, której tykać nie wolno. A jeśli się trafiają nawet pisarze, którzy z uporem maniaków trzymają się tego „rozróżniania", dziś jasne, pomimo wprowadzenia nowej pisowni, to już nie wiem, nad czym bardziej ubolewać należy: nad ich nieuctwem językowym, czy nad ich narcholstwem.

Ale nie wybiegajmy naprzód! opisujemy tu koniec XIX w., „fin de siècle", jak się tę epokę określało, a rok 1936 daleko jeszcze przed nami.

Te moje zainteresowania językowe nie zatrzymały się bynajmniej na pisowni, ale popchnęły mnie dalej. Do towarzystwa psychologii, filozofii i literatury przyłączyło jeszcze językoznawstwo. A tu do tego jeszcze chemia czysta i techniczna oraz botanika, słowem * narodowy polski bigos! Stawałem się tym prawdziwym dyletantem i coraz bardziej problematyczną w zdawaniu mi się moją przyszłość, jako inżyniera-chemika specjalisty. Ale skończyć politechnikę postanowiłem, a później zobaczymy, co z tego będzie!

Z początkiem roku 1899 zaczęły dochodzić do Warszawy odgłosy wrzenia studenckiego w Rosji. Domagano się tam różnych ~~praw dla wyższych uczelni, autonomii, reformy systemu nauczania, ba, nawet wyboru profesorów przez studentów. W tych "postępowych" czy "liberalnych"~~ czy "postępowych" reform, autonomii dla wyższych uczelni, nowego systemu nauczania, ba, nawet wyboru profesorów przez studentów. Były w tym, jak to zawsze bywa, rzeczy słuszne i uczciwe, na ogół jednak ruch był sympatyczny i chodziło o to, czy mamy go tu poprzeć, ewentualnie przyłączyć się do zamierzonego strajku. Sądziliśmy, że się uda przy tej okazji ~~wpoić~~ wpoić żądanie wprowadzenia języka polskiego do ~~uniwersytetów~~ wyższych uczelni warszawskich. Opinia studencka w Warszawie była podzielona. Jedni mniemali, że nie należy się solidaryzować z rudymi młodzieńcami rosyjskimi, przeciwnie – zaakcentować swoją odrębność, nie brać w nich udziału. Było to i moje zapatrywanie, któremu dałem wyraz na jednym z wieców, mówiąc, że „nie nas nie obchodzą jakieś zaburzenia na Korei", co mi przez pewien czas zyskało przezwisko „Koreańczyka". Inni znów twierdzili, że, idąc razem z młodzieżą rosyjską, wywalczymy wspólnie pożądane reformy i wspólnie z nimi kompleć będziemy a może i preferencyjny jakieś ulgi językowe dla siebie. Wiece, niezbyt burzliwe odbywały się w największej kreślarni, prowadzonych na nich, z racji tubalnego głosu, kolegę Stasia Trojanowski. Ostatecznie ~~większość~~ okazało się, że większość jest za poparciem studentów rosyjskich i zdecydowano przystąpić do strajku ogólno-uniwersyteckiego. Hasło strajkowania, czyli manifestowania powstrzymaniem się od pracy, było zawsze w Polsce popularne, toteż z entuzjazmem godnym lepszej sprawy przystąpiliśmy chodzić na wykłady i do laboratoriów. Władze zareagowały na to, zamykając uczelnie i nakazując studentom wyjazd z Warszawy a nawet z Królestwa. Ja wybrałem sobie Żytomierz na miejsce „wygnania". Ale jakże tu jechać, kiedy miałem właśnie bilet na jubileuszowe przedstawienie „Hakli" z Kruszelnicką w roli tytułowej!

Wytłumaczyłem jakoś [illegible] „rewirowemu", który przyrzekł mnie wypuścić natychmiast z Warszawy, że mam [illegible] niezmiernie ważne sprawy do załatwienia i wypuszczono zwłoki do następnego rana. Pojechałem natychmiast w asyście policji na dworzec „Terespolski" (dzisiejszy „Wschodni") i tłukłem się niewygodnym pociągiem o kilkanaście godzin dłużej, ale za to postawiłem na swoim i mogłem jeszcze raz obejrzeć Kruszelnicką!

W Żytomierzu spędziłem u babki kilka tygodni przymusowych wakacji z meldowaniem się co pewien czas na policji, aż wreszcie, gdy uznano uprzedzenia, powróciłem do Warszawy.

W lecie 1900 r. wyruszyliśmy z ojcem na parotygodniową wycieczkę za granicę, tym razem za „prawdziwą granicę" czyli do „prawdziwej zagranicy", a nie do innego zaboru. Przejechaliśmy Berlin, Monachium, Zurych, Rapperswyl, Bazyleję, Neuchâtel, Paryż, gdzieśmy się najdłużej zatrzymali, i w powrotnej drodze do kraju — Wiedeń. Zbyt znany to szlak turystyczny, abym miał go tu opisywać. Wspomnę tylko, że największe na mnie wrażenie zrobiła Szwajcaria, jej ziemia i ludzie, jej klimat w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego wyrazu. Już po przejechaniu w pobliżu jeziora Bodeńskiego z Lindau do Romanshorn uderza dzienna zmiana atmosfery: zdawałoby się, to samo jezioro, te same góry dokoła, podobni (na pozór...) ludzie, mówiący podobnym językiem.... a jednak oddycha się tu swobodniej, w powietrzu krążą jakieś sympatyczne fluidy, dusza czuje spokój a myśli dostrajają się do wspanialej natury. Zamiast wrzaskliwej komendy — miły uśmiech i uprzedzająca grzeczność, zamiast sztywnych kanciastych ruchów i trzaskania obcasami — uprzejmy ukłon bez cienia uniżoności, zamiast suchej formalistyki — pewna poufałość nie pozbawiona wdzięku. To pierwsze wrażenie, które odniósł ze Szwajcarii, pogłębiło się tylko przy bliższym jej poznaniu i zawsze ze smutkiem myślałem sobie, u innym niż Bohdan Zaleski sensie: u nas inaczej, inaczej, inaczej....

Nie mogę się tu powstrzymać od przytoczenia anegdoty, doskonale charakteryzującej trzy [illegible] narody. W wagonie drugiej klasy konduktor widzi, że jakiś pasażer oparł zakurzone stopy na przeciwległej ławce. Jeśli rzecz dzieje się w Niemczech, konduktor (dzika prowincja) każe mu zapłacić 10 marek kary, we Francji konduktor przechodzi obojętnie [illegible] dalej [illegible], a w Szwajcarii wyrzeka z kieszeni starą gazetę i podściela pod zakurzone buty.

Po pierwszym chaosie różnorodnych wrażeń: Notre Dame i Montmartre, grób Napoleona i Komedia Francuska, Luwr i métro, łuk Tryumfalny i Wieża Eiffla, Paryż pozostawił mi wspomnienie ogromu i ładu, czy też ładu w ogromie. Porównywając później Paryż z innymi miastami, doszedłem do innego jeszcze określenia: Berlin jest dużym, potwornie dużym, „kolosalnym" miastem, Londyn [illegible] olbrzymim skupieniem [illegible] małych miast, a tylko Paryż jest naprawdę wielkim miastem. Jest miastem wspaniałym o starej kulturze a tętniącym pełnią młodego życia. Jest stolicą świata. Równy mu jest tylko Rzym, Roma Aeterna, a nawet go przewyższa, gdyż jest stolicą świata religijną.

Dziadek Edmund Chojecki, Charles Edmond, już wtedy nie żył, odwiedziliśmy więc tylko jego córkę, panią Bureau, ową Marynię, o której dziadek ~~Edmund~~ w listach do rodziny niewiele wspominał. Była to już siwowłosa ~~starsza~~ dystyngowana starsza pani, zupełnie już sfrancuziała. Udzieliło mi się pewne rodzinne ~~podobieństwo~~ podobieństwo jej do babki Jadwigi Chojeckiej, matki ojca, z którą pani Bureau od czasu do czasu korespondowała. Była to jedyna więź, cienka nitka, łącząca ją z Polską.

Popruszaliśmy na tej jednej wizycie, tym bardziej że i czasu mieliśmy niewiele a Paryż przedstawiał wiele ciekawszych atrakcji. Dużo też czasu ~~zajęło~~ się, raczej na pokonywanie ogromnych przestrzeni tego miasta. Naszej warszawie wydawały jeszcze wtedy tramwaje konne, którymi się jeździło wolno i spokojnie: ciap-ciap, ciap-ciap i ~~bez gorączki~~ wszędzie się na czas przybywało. Tutaj obok równie idyllicznych omnibusów konnych – najprzyjemniej się nimi jeździło na „impériale" czyli ~~na platformie~~ na dachu – były tramwaje o przeróżnej trakcji: parowe, pneumatyczne i elektryczne, oraz pierwsze linie kolei podziemnej, popularnie zwanej „métro" (skrót z „chemin de fer métropolitain). Aby nie tracić czasu w Paryżu, trzeba było doskonale się orientować w tych wszystkich środkach komunikacyjnych, a tej umiejętności trudno w kilka dni nabyć.

Po Paryżu Wiedeń nie mógł mi już bardzo zaimponować, choć niewątpliwie ujmował pięknym rozplanowaniem, wspaniałością kościołów i pałaców, i jakąś pogodą mieszkańców. W porównaniu z dorobkiewiczem, Berlinem, wyglądał jak prawdziwy arystokrata. W Wiedniu poczułem wreszcie bliskość kraju, ~~gdy~~ kiedy w sklepie przemówiono do nas po polsku. Tym ambasadorem polskości w stolicy rakuskiej był oczywiście galicyjski żydek.

Studia moje techniczne toczyły się dalej bez szczególnych przygód, ale i bez entuzjazmu. Jako specjalność obrałem cukrownictwo i słuchałem wykładów chemii węglowodanów Isajewa, przerabiając odpowiednie ćwiczenia w jego laboratorium. ~~Nie było to już przygodny~~ Ale pracę dyplomową, nie wiem już ~~czemu~~, robiłem u prof. Sotoniny. Tak dalece mi to wszystko wyleciało z pamięci, że nie potrafię dokładnie powiedzieć, na czym ta praca polegała. Wiem, że chodziło o jakieś manipulacje z trój-metyl-aminem; w pewnym stadium pracy miałem do czynienia z bromkiem cyjanu i omal się nie zatrułem. Laboratoria nie mieściły się już w przygodnym lokalu na rogu Hożej, ale w nowym wspaniałym gmachu, zbudowanym przez architekta Rogóyskiego przy ul. Polnej. Główny zresztą gmach i gmach frycki były dziełem arch. Schillera. Wszystko to dziś ponuro czerniejące lub doszczętnie przez barbarzyńców z bliskiego Zachodu.

Tak czy owak dobrnąłem jakoś do końca, ale przed uzyskaniem dyplomu musiałem odbyć praktyki ~~cukrownicze~~ w cukrowni. Dwie kampanie cukrownicze: w Uzinie pod Białą Cerkwią i w znajomych Sitkowcach zdecydowały o moim losie. Nie będę technikiem! Póki trwa uciążliwa praca przy przeróbce buraków, dwanaście godzin na dobę od północy do południa lub odwrotnie, nie ma się czasu myśleć o niczym, ale po skończonej kampanii, doceniając nieby remontu, a w gruncie rzeczy ważniejsze od remontu fabrycznych, ~~—~~ — ma się go aż za dużo. Aby wytrzymać w tych

Warszawie

Dostr. 31

Tymczasem zaczynało się coś psuć w państwie rosyjskim. Wojna japońska, rozpoczęta pod lekceważącym hasłem: zanucimy czapkami wroga, skończyła się porażką, a wybuch i przebieg t.zw. rewolucji rosyjskiej (1904–1905) potwierdził mniemanie o kruchości fundamentów państwa carów. „Koło na glinianych nogach", sypało się coraz częściej. Polska na rewolucję rosyjskiej zyskała niemało: ukaz tolerancyjny pozwolił 200 tysiącom unitów przejść na katolicyzm, gminy zaczęły przywracać urzędowanie w języku polskim, a ~~strajk szkolny doprowadził~~ na skutek strajku szkolnego pozwolono na zakładanie szkół prywatnych z językiem [illegible], z tym zastrzeżeniem, że język rosyjski, historia i geografia Rosji muszą być wykładane po rosyjsku. Wreszcie 30.X.1905 car ogłosił manifest, nadający konstytucję i wolność obywatelską. Ale nie uprzedzajmy wypadków!

miałem do wyboru albo wczesny ożenek, albo wódkę i karty, albo wszystko to razem. Wybrałem jednak inną ewentualność: postanowiłem pojechać do Krakowa na uniwersytet. Pociągało mię językoznawstwo i filozofia, nęciła mnie atmosfera krakowska, a że miałem po dziadku Edwardzie Janowskim parę tysięcy rubli mogłem sobie na to pozwolić. Zwróciłem się listownie do prof. Jana Łosia w Krakowie z prośbą o wskazówki co do przyszłych studiów, a ten bardzo uprzejmie mi odpisał i poradził, abym po przyjeździe do Krakowa zgłosił się do jego stryjecznego, Józefa Ujejskiego, który się mną zajmie. Przyjechawszy tedy na wiosnę 1905r. do Krakowa poznałem się z Ujejskim, późniejszym profesorem i rektorem Uniwersytetu Warszawskiego i z nim razem ~~ułożyliśmy plan~~ dokonaliśmy wyboru wykładów na semestr letni roku szkolnego 1904/5. Mam właśnie przed sobą „index lectionum" z którego widzę, że zapisany byłem w tym semestrze na następujące wykłady: X. Pawlicki: Logika i dialektyka, Heinrich: Filozofia empiriokrytycyzmu i Konwersatorium psychologiczne, Rozwadowski: Porównawcza fonetyka języków indoeuropejskich, Maślakowski: Grosownia i deklinacja sanskrycka i objaśnianie tekstów sanskryckich, Łoś: Fonetyka języka polskiego, Fonetyka języka staropolskiego i Seminarium słowiańskie, Zdziechowski: Idee przewodnie literatury wieku XIX i Kopera: Krótki zarys historii sztuki wieków średnich. Oto jaką masę wiedzy chciał zdobyć w kilka miesięcy zachłanny młodzieniec!

Z drugiej strony zrozumiałem, że trzeba ograniczać swoje zapędy chcąc się czegoś nauczyć, że przecież zamierzam co najmniej cztery lata poświęcić studiom uniwersyteckim i że wszystkiego przecież w ~~jeden~~ jeden rok nie ogarnę.

Studiowanie wykładów w języku polskim było dla mnie objawieniem. Uświadomiłem sobie, jaką przeszkodą w nauce stanowi obcy, choćby nawet dobrze znany, język. A cóż dopiero język obcy ~~na obcym nauczania~~ w szkołach średnich i niższych!

~~Profesorowie krakowscy w ogóle stanowili tego~~ Zespół profesorów krakowskich stał wtedy na wysokim poziomie, Kraków bowiem i Lwów, jedyne ~~polskie~~ dwa polskie uniwersytety, zbierały najwybitniejsze siły naukowe ze trzech zaborów. ~~Obok wymienionych X. Pawlickiego i poznańskiego K. Morawskiego~~ Obok wymienionych X. Stefana Pawlickiego – filozofa oraz poznańskiego, Karasmina Morawskiego, ~~profesora~~ historyka literatury łacińskiej, wykładali tu ~~Marian Zdziechowski wiśniowianin, Marian Zdziechowski, historyk literatury i filozof, Bronisław Władysław Natanson i wołyniak~~ między innymi ~~wiśniowianie~~ przybyłe z Białej Rusi: Marian Zdziechowski – filozof i historyk literatury i Napoleon Cybulski – medyk; wołyniacy: Jan Łoś – językoznawca i Władysław Natanson – fizyk oraz wołyniak Maurycy Rudzki, ~~geograf~~ astronom i geofizyk. ~~Nie wiem~~ Wiśniowianie, ale chyba nieznaczna, stanowili galicjanie. Zawsze oprócz treści wykładu zwracałem uwagę na jego formę. Pod tym względem spotkał mnie pewien zawód. Wyobraziłem sobie, że każdy wykład musi mieć doskonałą budowę i piękny styl dobrze opracowanego odczytu, nie zdając sobie sprawy ~~między~~

~~między~~ z równicy zachodzącej między tymi dwoma rodzajami wykłady, a zresztą byłem zepsuty przez Marburga. Na dość jednostajnym tle ~~profesji uniwersyteckich~~ wyróżniały się ~~pełne~~ ~~wady~~ profesji uniwersyteckich wyróżniały wykłady fizyki doświadczalnej Augusta Witkowskiego, pełne wady i wdzięku; doskonale zbudowane wykłady fizyki teoretycznej Władysława Natansona; wytworne causeries o literaturze polskiej Stanisława Tarnowskiego, i wreszcie porywające zapałem, jakimś wewnętrznym ogniem rozświecone i ogrzane, wykłady filozoficzno-literackie Mariana Zdziechowskiego. Obdzwały się one po południu i „cały Kraków" na nie uczęszczał.

Z bliższych mi profesorów, Łoś wykładał poprawnie i sumiennie, Rozwadowski sprawiał wrażenie znudzonego i sceptycznie nastrojonego co do potrzeby i skuteczności swoich wykładów. Wysoki, wytworny dżentelmen w wysokim sztywnym kołnierzyku, podtrzymującym ~~mocno~~ wielką mądrą głowę o doskonale wygolonej czaszce, siadał najczęściej bokiem na fotelu, mówił dość cicho, jakby obojętny na to, czy go kto słyszy i rozumie, czasem wstawał pisał na tablicy i znów siadał zapadając chwilami w zamyślenie. Wiedzieliśmy jednak wszyscy, że mamy przed sobą wielkiego uczonego i chwytaliśmy łapczywie na okruchy wiedzy spadające z jego ust. Ksiądz profesor Pawlicki miło gawędził o Arystotelesie i Kancie, chciałby był na seminariach, gdzie można z nim było podyskutować i zawsze się czegoś dowiedzieć ~~de omnibus re scibili~~. ~~a nawet~~ Straszewski, niestety przez niektórych lekceważony, był dobrym pedagogiem, szczególnie dla początkujących, a jego seminaria były bardzo pożyteczne. Pamiętam, że kiedyś wygłosił cykl ~~wykładów~~ referatów ~~publicznych~~ ~~pod~~, zebrał je potem i miał je wydać w książce pod tytułem: „W poszukiwaniu za prawdą" jak ~~głosił~~ rozpowiadał wydrukowany prospekt. Z pewną tremą zwróciłem mu ówczas uwagę na germanizm w tytule, który w poprawnej polszczyźnie powinien był brzmieć: „W poszukiwaniu prawdy". Straszewski nie tylko się nie obraził, ale bardzo mi podziękował, tytuł poprawił i odtąd bardziśmy się zbliżyli. Wreszcie młody ~~jeszcze Heinrich~~ docent jeszcze Heinrich, fizyk, psycholog i filozof w jednej osobie, reprezentował nowe prądy w filozofii i cieszył się popularnością wśród młodzieży postępowej, która go przeciwstawiała tamtym dwom konserwatystom. Wykładał ~~on~~ psychologię doświadczalną a poza tym zaznajamiał nas z Machem, Avenariusem i Cornéliusem, którzy pozytywizm doprowadzali do tego punktu, gdzie graniczył on z solipsyzmem i nonsensem.

~~Hoffmann~~

Był on smakoszem, lubił dobre obiadki w domach arystokratycznych i można go było spotkać w cukierni Maurizia na A-B, gdzie kupował jakieś specjalne cukierki

Rzecz godna zastanowienia, że ten ultra-radykalny kierunek filozoficzny nigdzie poza Niemcami nie znalazł dla siebie odpowiedniej gleby, chyba tylko w Rosji, gdzie, jeśli się nie mylę, propagatorem „empirio-krytycyzmu" Avenariusa i tłumaczem jego dzieł był Łunaczarskij, późniejszy komisarz oświaty w rządzie sowieckim.

Heinrich miał już poza sobą dwie prace niemieckie z pracowni zuryskiej i polską p.t. „Teorie i wyniki badań psychologicznych". Przy mnie już wyszła jego „Psychologia uczuć". Jako fizyk i eksperymentator, w emocjach dostrzegał tylko ich strony obwodową, tak więc — wszelkie wahania uwagi starał się wytłumaczyć zmianami w samych narządach zmysłowych: soczewka w oku a błona bębenkowa w uchu miały grać rolę decydującą. Tymczasem Nie doceniał on roli czynników centralnych, bez których, zdaniem moim, nie może być mowy o uwadze. Zacząłem pracować pod kierunkiem Heinrichа nad psychologią eksperymentalną i miałem stwierdzić doświadczalnie pewną jego tezę, dotyczącą uwagi wzrokowej. Cóż kiedy moje doświadczenia ani razu nie chciały się natamać do teorii. Porzuciłem więc tę pracę, którą przejął po mnie pewien kolega i zdaje się był szczęśliwszy ode mnie, gdyż znalazł, zdaje się, wszystko, o co profesorowi chodziło...

Z innych profesorów wspomnę tu jeszcze Kazimierza Nitscha, doskonałego znawcę dialektów polskich, lektora Tadeusza Grabowskiego, lektora języków słowiańskich, Bohdana Łepkiego, lektora języka ukraińskiego i Pawła Rongiera, lektora języka francuskiego, z którym ogłądy chodziłem. Zbliżyłem się szczególnie z Rongierem. Przystojny brunet z pięknym wąsem i wesołymi oczami, zawsze pogodny i uprzejmy, Rongier cieszył ogólną sympatią w uniwersytecie i poza nim. Zżył się z Polską, tu córkę wydał za mąż i wnuków się doczekał. Starał się jednak zawsze co rok wyjechać do Francji, na kurację do Vichy i w odwiedziny do rodzinnej Owernii, z której zachował akcent. nie starając się o to wymowie nie „grasejował" ale wymawiał „r" przedniojęzykowo, nie tak jak nosi nadwiślańscy paryżanie, którzy od charkotania zaczynają naukę francuskiego (a czasem — i kończą.) Spotykaliśmy się z Rongierem później w życiu w różnych okolicznościach i zachowałem dla niego przyjaźń do końca jego długiego żywota.

Oprócz polskiego języka ogólnorozwojowego w uniwersytecie Jagiellońskim przedstawiał jemu jedną atrakcję w przedstawieniu do Politechniki Warszawskiej. Były nią koleżanki. Kobiet z maturami, uprawniającymi do wstępu na uniwersytet w charakterze słuchaczek zwyczajnych, było niewiele, przyjmowano je natomiast chętnie jako słuchaczki nadzwyczajne bądź jako hospitantki. Pociechy z tych pań nie miały żadnej nauki nie miały, ale za to miały koleżanki. No i matka mogła się pochwalić, że jej córeczka chodzi na uniwersytet. Dziś tylko ciekawi nieliczni przeczytują za moich czasów przez uniwersytet Krakowski

Karimira Iłłakowiczówna, ~~w której nie jeszcze nie~~ której ~~zapowiadała się na~~ trudno się było domyślić wielką poetkę ~~i Cezaria Baudouin de Courtenay, pół-siostra po voło Vasmerowa, po voło Ehrenkreutzowa po voło Jędrzejewiczowa. W Kijowie ja poznał~~ i trzebowała pobyt na uniwersytecie jako ~~wolny~~ passe-temps

Karimira Iłłakowiczówna, Cezaria Baudouin de Courtenay, 1° voto Vasmerowa, 2° voto Ehrenkreutzowa i 3° voto Jędrzejewiczowa, oraz Janina Bakunówna późniejsza Prysłorowa. Iłłakowiczówna, która trzebowała pobyt na uniwersytecie jako wolny passe-temps, mogła już przeczuwała, że będzie wielką poetką, ale dwom pozostałym z pewnością się ani śniło, że będą małżonkami premierów i będą znać tą biedną Polskę. Panna Cezaria, cicha skromna dziewczę, dziedziczka obciążone językoznawstwem, chodziła ~~wraz z nią~~ na wykłady Rozwadowskiego, gdzie ja poznałem, a z panią Janiną i jej siostrą Sabiną zbliżyłem się przez wspólnych znajomych i zaprzyjaźniłem. Później nasze drogi się rozeszły. „Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja doliną". Nie zazdrościłem jej tej „góry", ale dopiero, gdy z niej zeszła na powrót w doliny, tośmy się znów spotkali. Na razie polityka nas jeszcze nie dzieliła. Panny Bakunówny były bardzo miłe i proste, typowe wileńanki, mówiące tym uroczym akcentem literskim i ~~wrosłe~~ utrzymującym do swej mowy różne prowincjonalizmy, od których ~~nie~~ miły zalatywało „Panem Tadeuszem". Poza tym przyjaźniłem się jeszcze z Wandą Upochą, piszącą trunkiem o prapaskich ocach, oraz Anielą Strelicką (siostrą Henryka) i Zofią Tenenbaumówną, ~~które~~ które nuciłem dawniej.

Z kolegów wspomnę tu Kazimiera Bereźyńskiego, bardzo dobrze się zapowiadającego krytyka, niestety przedwcześnie zmarłego, Mikołaja Rudnickiego, obecnie profesora Uniwersytetu Poznańskiego, i młodych: Władysława Ostaszewskiego, późniejszego publicznika i mecenasa ~~duchowieństwa~~ w Warszawie dentystę i Kazimiera Maciejowskiego, doskonałego kompana i towarzysza wycieczek.

Ważnym dla mnie wydarzeniem podczas moich studiów krakowskich był Zjazd Rejowski w 1906r. Sekcja Ortograficzna tego Zjazdu miała się zająć ujednostajnieniem pisowni, dotychczasowa chaosem pisowni. Miałem przyjść była powszechnie tylko w Galicji, natomiast w Królestwie i w Poznańskim panował pod tym względem chaos. Prof. A.A. Kryński, który przyjął na Zjazd, a którego miałem sprowadzić z Warszawy, ~~zapoznał~~ pomajomił mię z prof. Janem Baudouin de Courtenay, prowadzącym Sekcję i zostałem przyjęty na jej członka, co sobie za wielki zaszczyt uważałem i uważam. Uchwaliliśmy wówczas zasady pisowni t.zw. „Krzyńskiego" z małymi odchyleniami. Niestety Akademia stawiła oporu i pisowni „Zjazdu Rejowskiego" nie przyjęła, wskutek czego ostateczne ujednostajnienie pisowni odwlekło się aż do 1936r. z prof. Baudouinem ~~zostałem się~~ ~~odbył pomiar~~ poznałem się bliżej w r. 1919 na Uniwersytecie Lubelskim.

Kraków w onym czasie był prepetiowany młodzieżą z Królestwa, która po proklamowaniu strajku szkolnego najechała obydwa uniwersytety galicyjskie i szereg zagranicznych. Ta wędrówka narodów była w pewnym stopniu pożyteczna, jak wszelkie wzajemne poznawanie się ludzi – ale, jak każda rzecz, miała i swoją złą stronę. Na wyjazd za granicę mogła sobie była pozwolić młodzież zamożniejsza, natomiast biedniejsi, bądź bojkotowali uczelnie warszawskie i tracili drogocenny czas, bądź kontynuowali tam studia narażając się na haniebną nazwę i opinię „tamtejszych strajków". Młodzież z Królestwa wnosiła rewolucyjny zapał i zamęt do sennego Krakowa i nawet swym wyglądem dość „wyzywającym" różniła się od spokojnych i zrównoważonych kolegów z Galicji, którzy traktowali pobyt na uniwersytecie w sposób normalny, jako wstęp do karjery urzędniczej, prawniczej czy pedagogicznej. Te różne swobody obywatelskie, o które w zaborze rosyjskim walczono, tu już były czymś pośrednim: były wybierane rady miejskie, był Sejm krajowy we Lwowie, parlament „we Wiedniu" i agitacja wyborcza do tych wszystkich instytucji mogła się legalnie odbywać. A i wiece studenckie, bądź to w Warszawie czynne kameralnie lub zaledwie tolerowanym, tutaj odbywały się całkiem normalnie pod opieką jednego z profesorów, jako kuratora. To wszystko udzielało nam do głowy i braliśmy za dobrą monetę różne hasła, które koledzy z zaboru austriackiego traktowali ze znaczną dozą obojętności, czy sceptycyzmu...

Ogólnie w całych galicyjskich, przy licytacji programów partyjnych góra zwykle bywa lewica, jako mniej odpowiedzialna a bardziej bezwzględna; hasła „postępowe" więcej mają uroku dla młodzieży niż bardziej zrównoważone hasła „zacofane". W tym czasie Galicja żyła pod znakiem walki o powszechne „pięciopryniotkowe" prawo wyborcze do parlamentu. Ruch ten, zdaje się, był już przesądzony, ale socjaliści z Ignacym Daszyńskim na czele starali się wywołać wrażenie, że wprowadzenie tego prawa będzie ich wyłączną zasługą. Stymasem mieli dobrych mówców w kraju i za granicą, ale żaden Daszyńskiemu nie dorównywał. Doskonale się umiał dostosowywać do okoliczności i otoczenia, toteż innym stylem przemawiał ogólnie odczyt, innym przemawiał w Sejmie, innym wreszcie na wiecach ludowych. Odbywały się za moich czasów takie wiece w ujeżdżalni na Karmelickiej. Daszyński tu czarował tłumy urokiem swej osoby, męską urodą, typowo ormiańską urodą, i dźwiękami pełnego a melodyjnego głosu, którym po wirtuozowsku władał. Ale jeszcze większe wirtuozostwo było w umiejętności grania na duszach ludzkich. Daszyński to podniecał, to śmieszył, to grzał ironią, to roztkliwiał, to ostrzegał, to znów uspokajał, a tłum reagował jak wyćwiczona orkiestra pod batutą jakiegoś Nikischa czy Toscaniniego. Niestety orkiestra składała się przeważnie z fujar, bębnów i cymbałów. Śmiało tak mówię, bo i sam byłem wówczas, zaczarowanym przez czarnoksiężnika – Daszyńskiego, cymbałem i wraz z „towarzyszami" maszerowałem po ulicach manifestować pod pomnikiem Mickiewicza, gdzie aplikowano nam nową porcję inkantacji. Choć sympatyczne mi były u socjalistów ich tendencje demokratyczne, zabarwione patriotyzmem, to odstręczał mię od nich wrogi ich stosunek do Kościoła i wielka liczba Żydów

na stanowiskach kierowniczych. Obok Daszyńskiego, typowego szlachcica z wyglądu i z temperamentu, na wiecach krakowskich występowali gęsiarz Żydri m.i. Gumplowicz, Próbner i Kapellner. Ten ostatni później się przechrzcił, zmienił nazwisko na "Kapliński" i został prezydentem m. Krakowa. Z Polaków przemawiał jeszcze tylko Misiołek, jedyny autentyczny robotnik drukarz wśród tych t.zw. inteligentów. Z socjalistami stosunki moje stopniowo się oziębiały aż wreszcie zerwałem z nimi ostatecznie w r. 1910, gdy wobec grożącej wojny rosyjsko-austriackiej dążyli do wywołania powstania w Królestwie na rzecz Austrii, zamykając oczy na to, iż w sprawie polskiej nie Austria będzie decydować lecz Niemcy, których zwycięstwo byłoby prawdziwym finis Poloniae.

Mieszkałem w pensjonacie "Ukraina" przy Karmelickiej, gdzie za mojej pamięci przesunęło się wiele osób, z których o kilku przynajmniej wspomnieć tu należy. W oczach mi stoi postać pięknej starszej damy, p. Wandy Zaleskiej z Kijowa. Pełna szlachetnego zapału, duszą wiecznie młoda, prosta i miła w obejściu, doskonale się czuła w towarzystwie młodzieży a my ~~jej~~ nawzajem w jej. Z jej córką, wtedy Nelą, późniejszą doktorową Rogalską, i synem Ksawerym bardzośmy się zaprzyjaźnili. Spędziłem z tą rodziną jedne wakacje w Żegiestowie, skąd robiliśmy śliczne wycieczki na Spisz i w Pieniny. Zbliżyłem się również z sympatycznymi paniami: Heleną Morozewiczową i jej córką Zofią. Mama chodziła na wykłady historii a córeczka na studium rolnicze ~~wydziału~~ które ukończyła z podwójnym skutkiem, gdyż ~~ona~~ wyszła przy tym za mąż za kolegę Aleksandra Zawadzkiego. Kontynuowałem znajomość z Zawadzkimi przez długie lata, aż wreszcie bomba niemiecka w 1939 r. zabiła miłą p. Zofię. Panna Aniela Zagórska, zwana przez nas "Anielusią" albo "ze Sto Michiele", bo się lubowała w tym kolorze, wnosiła dużo ożywienia do obiadów pensjonatowych. Zawsze się ~~czymś~~ kimś lub czymś entuzjazmowała ~~Bardzo~~ i bardzo jej było z tym do twarzy (~~choć czasem tokowała też bachanty o mi~~ nieistniejących przedmiotach, ~~np. przyjaciół od Conrada~~). Zaprzyjaźniłem się też bardzo z Henrykiem Bolcewiczem, który był właśnie w trakcie zamiany sutanny na garnitur świecki. Był proboszczem z Żyrmuń na Litwie, na tle jakiejś zatargu z księżmi wileńskimi został pozbawiony parafii i wysłany przez biskupa na studia za granicę. Po krótkim pobycie, zdaje się, w Louvanium i Innsbrucku przybył wreszcie do Krakowa, ale tu zamiast pogłębiać swą wiedzę teologiczną uległ atmosferze "postępowej", która go doprowadziła do zerwania z Kościołem. W tym jego odejściu nie widać było żadnych poziomych pobudek, ale tragiczna walka wewnętrzna; być może ~~znalazły na~~ w innych warunkach Bolcewicz pozostałby księdzem, uprzym od wielu innych, niestety zaopiekowała się nim masonerya i do tego nie dopuściła. Mimo różnic ideowych, które nas dzieliły zachowaliśmy do końca szacunek i przyjaźń dla tego szlachetnego, zacnego, miłego i wrażliwego człowieka. Wreszcie wspomnieć tu muszę Antoniego Rybarskiego, kidenaina, historyka i heraldyka, okrągłego na duszy i ciele, pełnego dowcipu, humoru i pogody ducha. Przybył on do ~~Krakowa~~ w rok po mnie do Krakowa i zadzierzgnięta tam znajomość pogłębiła się we wzajemną (jak sobie tuszę) sympatię, która przetrwała do dnia dzisiejszego.

Była dalej poufność i wielka wielbicielka Conrada (Korzeniowskiego) i przetłumaczyła w następnych pracach wszystkie jego utwory. Zmarła nagle 1. XII. 43 r.

Na innym znów gruncie zawarłem znajomość z Feliksem Jasieńskim t.zw. „Manghą" od japońskiego wyrazu, którym zatytułował swoją grubą a dowcipną książkę de omnibus rebus et quibusdam aliis. Amator i znawca sztuk pięknych, zarówno malarstwa jak muzyki, sam pięknie grający na fortepianie, Jasieński miał bogate zbiory drzeworytów japońskich i gorąco do rzadkich zbiorów obrazów malarzy polskich. Niektóre, jak to mówią nabywał, jak to mówią: psim swędem za tanie pieniądze od znajomych artystów, czy wprost od nich „wyciąganiał", za inne musiał płacić żywą gotówką jak np. za „Szał" Podkowińskiego. Tak czy owak, dorobił do pokaźnego „muzeum", które się mieściło w jego prywatnym mieszkaniu na rogu Rynku i Św. Jana, a które później podarował krakowskiemu Muzeum Narodowemu. W tym mieszkaniu na Rynku spotkałem raz Przybyszewskiego. Z twarzą spoconą, zmierzwionym włosem i chrapliwym głosem, nie zrobił na mnie przyjemnego wrażenia, zdaje się był trochę pijany. Ale grał mazurki Chopina bardzo ładnie i swobodnie je interpretował. Grał również i sam Jasieński: pamiętam jego improwizacje na temat melodii rosyjskiej: „nie szej ty mnie, maluszka, krasnyj sarafan". Zadzierzysty, nie licący się ze słowami mówionymi czy nawet drukowanymi, nie używający swojej, najczęściej ostrej, opinii o ludziach i rzeczach, Jasieński narobił sobie wielu wrogów i w pewnym momencie w świecie literacko-artystycznym tylu się potworzyło „spraw honorowych", że była taka plątanina protokołów, sądów i wyroków, że nie było niemal człowieka ułożonego czy inny sposób nie zaangażowanego i ja, zgoła poza tym światkiem stojący, zostałem przez Jasieńskiego wciągnięty na sekundanta w sprawie, jeśli się nie mylę, z Wacławem Łada-Cybulskim. Na szczęście do pojedynku nie doszło.

Z profesorem Wincentym Lutosławskim poznałem się na jakimś jego odczycie. Był on poprzednio docentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale z powodu bardzo oryginalnych poglądów i bardziej jeszcze oryginalnego sposobu zachowywania się został po prostu „wyrzucony" przez profesorów krakowskich, do których się nie mógł dostosować. Propagował on ideę towianizmu i „pocwórną abstynencję" (rozpusta, alkohol, tytoń i karty). Zwolennicy jego nosili nazwę Elsów, utworzoną podobno od pierwszych liter greckiego zdania: Ἐλεύθεροι ἀεὶ σοφίας (Wolni Ludzie Zawsze Ufni), a słowa-rzenie to miało się Eleusis. Wszechstronnie wykształcony, dobry mówca, a ponadto dyskusyjny, błyskotliwy dialektyk, władający płynnie kilkoma językami, wielbiciel naszej poezji romantycznej, a w szczególności Króla Ducha i innych utworów Słowackiego z tej epoki, pociągał bardzo młodzież, której działalność jego nie raziły. W dyskusji, która się po jego odczycie (profesora) rozwinęła, starłem się z nim dość ostro. Mimo to zbliżyliśmy się później: wiele rzeczy nas różniło ale jeszcze więcej łączyło, toteż ilekroć się spotykali, czy to w Krakowie, czy gdzie indziej, zawsze dyskutowaliśmy ze sobą w atmosferze sympatii, starając się wyjaśnić sobie wzajemnie swoje stanowiska. Z Elsów powychodzili na ogół porządni i pożyteczni obywatele, a sam Lutosławski w nekrologu a mis beaucoup d'eau dans son vin, jeśli z się tak o abstynencji wyrazić można, i w niepodległej Polsce objął znów katedrę filozofii w Wilnie, gdzie tym razem

Dużą rolę w życiu Krakowa odgrywał teatr. Trudne było zadanie dyrektora, bo co tydzień, w sobotę szła premiera. Mimo to dzięki doskonałym aktorom i wybornej reżyserii przedstawienia były zawsze na wysokim poziomie. Moda była wówczas na sztuki „głębokie", ~~przeciwieństwo „głębi" stanowiła~~ t. zw. najczęściej ciężkie a często zgoła nudne. Dominowała Skandynawia: Ibsen, Björnson, Strindberg, do tej samej paczki zaliczam i Przybyszewskiego mimo polskiego pochodzenia. Ale były i talenty prawdziwie polskie; wielkim powodzeniem cieszyła się Zapolska, i to podwójnym: raz pod własnym nazwiskiem jako autorka „Moralności pani Dulskiej", a po/ukryte jako Józef Maskoff, pod tym bowiem pseudonimem pisała powieści i dramaty niecenzuralne ~~dla~~ w zaborze rosyjskim; najgłośniejszy był dramat „Tamten". W Krakowie też stawiał pierwsze kroki Jan August Kisielewski, szybko zgasły meteor, autor doskonałych dramatów: „Karykatury" i „W sieci". Ja osobiście w Krakowie pogodziłem się nieco z Wyspiańskim. Do rozumienia jego sztuki tak wybitnie krakowskiej potrzebny był ~~to~~ klimat tego miasta. Wszędzie indziej „Bolesław Śmiały", „Wesele" czy „Wyzwolenie" brzmią trochę obco — tu natomiast ~~swojsko~~ brzmią znane echa. I tu już mniej ~~albo zgoła nie rażą~~ ~~różne~~ „krakowianizmy" ~~języku, Pamiętamy też~~ rażą różne „krakowianizmy" językowe, a w takim „Weselu" są nawet konieczne. Nigdzie też tak „Wesela" nie grali jak w Krakowie. Czyż można sobie wyobrazić lepszą obsadę ~~nie tę~~, od tej, ~~którą~~ którą widziałem: Pan Młody - Jerzy Leszczyński, Panna Młoda — Ordon-Sosnowska, Gospodarz — Solski, Rachela - Sulima!

Jedną z większych zalet Krakowa były dla mnie piękne jego okolice. Podczas gdy w Warszawie trzeba było długo iść brzydkimi przedmieściami*), zanim się człowiek wydostał na bezmiejskie szerokie równiny — to w Krakowie wystarczały przejść ulicę Wolską, aby w kilka minut znaleźć się na Błoniach, trochę dłuższy spacer prowadził na Kopiec Kościuszki, a jeszcze dalszy do wrzosowych Pamiętnickich Skałek. Pod Krakowem schodziły się z północy wzgórza Jury Krakowskiej z rozpoczynającymi się od południa falistościami Podkarpacia. Z Kopca Kościuszki w pogodny dzień widać było zarys Tatr, a kto chciał ~~bliżej~~ się do nich przybliżyć dostawał się w kilka godzin koleją do ~~samego~~ Zakopanego, ~~ale~~ nie tak, jak za pierwszej mojej tam bytności, kiedy się jechało furką z Chabówki. No ale Tatry wymagały już kilku dni, a tymczasem w ciągu jednego dnia można było zrobić ślicznie wycieczkę (czy to do Kalwarii Zebrzydowskiej i Łańckorony, czy to do Tęczynka, gdzie były malownicze ruiny stojące na pagórku, do Mnikowa, do Mogiły z kopcem Wandy i Klasztoru Cystersów, zamku, do Skały Kmity, do Bidan, czy do Czernej. Podaję tu marszrutę jednej takiej dłuższej wycieczki w nadziei, że się który z czytelników na nią skusi. Pewien jestem, że nie pożałuje, a może przy tej okazji wspomni mię życzliwie. ~~Otóż jedzie się tak:~~ Wystarczy na nią pół dnia, można się nie wybrać po wczesnym obiedzie. Jedzie się koleją w kierunku Trzebini aż do stacji Rudawa. Tam duży wiejski kościół. Dalej idzie się pięknie doliną

*) Przypominam, że w Warszawie nie było wtedy tramwajów elektrycznych, a konne obsługiwały tylko śródmieście.

~~Rudawy~~ w górę rzeki Rudawy, która tu płynie wśród malowni... opiennych skał, dalej coraz w górę do wsi Dębnik, gdzie przebrawszy się dość wód między Rudawą a inną jakąś rzeczułką i schodzi się coraz niżej przez piękne lesy ~~dębowe~~ liściaste, głównie grabowe czy bukowe, w dolinę Czernej do klasztoru, skąd schodzi się dolina jeszcze niżej do Krzeszowic z piękną rezydencją Potockich. ~~Tam~~ A oto inna wycieczka, którą też mogę polecić. Powspominałem ją kilkakrotnie. Po kolacji, zrazu my w zbożu trochę zapasów ~~idziemy~~ szliśmy w nocy prawym brzegiem Wisły do Tyńca. Tu w ruinach klasztoru, to zawsze, co drzewiej, czekaliśmy na wschód słońca, który o tym oddaleniu nader efektownie wygląda, po czym przeprawialiśmy się łodzią na lewy brzeg do Bielan, a stamtąd bądź przez Panieńskie Skały bądź wzdłuż Wisły wracaliśmy do Krakowa. Kamedułki wybierali sobie na pustelnie zwykle jakąś piękną okolicę: nawet pod Warszawą potrafili znaleźć taką miejscowość. Ale gdzie tam Bielanom warszawskim do krakowskich! Wysokie urwiska porosły lasem, w którym przerąbano umyślnie dukt, aby z tarasu klasztornego oddalić widok na Kraków, przy klasztorze pięknie utrzymane ogródki, a snujące się postacie biało ubranych brodatych zakonników, ~~a w nocy~~ to wszystko dodawało uroku klasztorowi. Dodajmy do tego dzwony, rozlegające się w nocy na modlitwę, wśród ciszy rozrzewniającej od śpiewu słowików — amore sacro e profano — czegoś trzeba więcej do wywołania poetycznego nastroju w duszy nawet najbardziej pozbawionego „zjadania chleba".

Tak się o tych wycieczkach rozpisałem, że mógłby kto pomyśleć, iż wobec tych sielskich rozkoszy studia uniwersyteckie były zaniedbywane. Po trosze i tak, ~~bardzo~~ oprócz tego przekonałem się, że za dużo na raz chciałem łyżek zachłannie naukę, postanowiłem więc ograniczyć do minimum nauki gramatyki porównawczej indoeuropejskiej a skoncentrować się raczej na języku polskim psychologii i filozofii. Toteż pracowałem nadal u Heinricha, sposobiąc się do pracy doktorskiej p.t. „Zarys psychologii uwagi". Heinrich, jako wówczas profesor nadzwyczajny, nie mógł jeszcze ani przyjmować prac ani słuchać egzaminów doktorskich t.zw. „ścisłych" a u ówczesnym zwanych „rygorozami"; pracę miało przedstawić Pawlicki i Strzeszewskiemu, którym ją przyjść i u nich też złożyłem owe rygorozа. Nie wiem, jak to jest teraz, ale wtedy student musiał się na ten egzamin paradować we fraku i w białych rękawiczkach. Egzamin trwał dokładnie dwie godziny: ~~każdy z profesorów męczył delikwenta przez godziny, a drugi przez godziny a dwa~~ naprzód jeden profesor męczył delikwenta przez godziny, a drugi zaś przy tym asystował, po czym nastąpiła zamiana ról. Tak było w teorii: w rzeczywistości zaś Strzeszewski spał najczęściej podczas gdy Pawlicki egzaminował, a potem Pawlicki zaś się kiwał ~~podczas mojej rozmowy ze Strzeszewskim~~ asystując przy moim egzaminie u Strzeszewskiego. Tak czy owak użyte były celująco. Następny egzamin, już tylko godzinny, złożyłem z języka polskiego u Łosia (język) i Tretiaka (literatura) również z wynikiem celującym. We wrześniu ubiegłego

---

Wspomniałem we wrześniu o wycieczce do Ojcowa i Pieskowej Skały, jeszcze oddalonych wówczas oddzielonych od Krakowa kordonem granicznym, wymagała była zatem przepustki. Zrobiliśmy tę wycieczkę we dwóch z Kol. Adamem Kleczkowskim, późniejszym profesorem [illegible]

Za swoich studenckich czasów krakowskich byłem w Zakopanem dwukrotnie: raz w otoczeniu ~~całkiem pepeesowskim pod prowodem Prystora, który dobrze się w Tatrach orientował pepeesowskim~~ autentycznych pepeesów i sympatyków, pod prowodem Prystora, który się dobrze w Tatrach orientował, zwiedziliśmy klasyczną wycieczkę do Morskiego Oka, Zakrat i stroną do Zakopanego z powrotem. Pierwszy raz ukuły obiło ~~się~~ mi się o uszy nazwisko Piłsudskiego, ~~o którym się mówiło~~ który na niższym stopniu utajemniczenia nosił miano tow. Wiktora, a wśród najbliższych nam był po prostu „Ziuk" (Józef → Józiuk → Ziuk) Nie pamiętam już, czy przy tej okazji, ale w tym samym towarzystwie poznałem wówczas tow. Michała, recte Sulkiewicza z pochodzenia Tatara litewskiego i Józefa Kwiatka z pochodzenia Żyda, którego przyjaciele przezwali „Blümchen" (po niemiecku: kwiatek). Wszyscy oni, tropieni w Królestwie za różne mniejsze lub większe ~~sprawki~~, a czasem ze zgoła grube sprawy, przyjeżdżali do Galicji na wypoczynek, na układanie planów nowych zamachów i na porozumiewanie się z galicyjską partią socjalistyczną. Otaczał ich pełen nimb ~~bohaterstwa~~ romantycznego bohaterstwa i tajemniczości i byli mi oni znacznie sympatyczniejsi od prawowiernych wyznawców Marxa spod znaku „Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy". Ale mimo powrotów postępowości i demokratyzmu byli to umysły zapóźnione w rozwoju o jakie dwa wieki, a metody, dobre w walce z rządem carskim, okazały się szkodliwe w zastosowaniu do własnego narodu. Trudno bo temu, kto całe życie maskował się, udawał, konspirował, a działał nie licząc się z nikim, przerobić się raptem na prawdziwego demokratę, umiejącego podporządkować się większości wyrażonej wynikiem głosowania w sejmie...

Za drugim razem pojechałem sam do Zakopanego i we dwóch z prowodnikiem poszliśmy w góry. W górach, jak to w górach: chatki i ale jak z cebra i lnuba było w schroniskach zanocować na przeczekanie się nieba. Mój prowodnik, oczyściwszy ze stałego rodu gąsienic[illegible], pocierał się flaszką, i ~~takie~~, gdyśmy wreszcie ruszyli z Morskiego na Rysy, literalnie chciał się na swych biało-upstrzonych nogach ~~się~~ byłem więcej o czystej obawie, że się raptem zwali w przepaść. Toteż wyprzedziwszy na Rysy pożegnałem się z nim i sam już powędrowałem w dół ku jezioru Popradzkiemu, a potem jeszcze niżej ku Szczyrbskiemu, skąd rozlało się piękne ~~panorama~~ półkoliste Tatr, widzianych od południa. Na noc dotarłem do Koszyc, ~~które leżą już na Węgrzech~~ jeszcze ulicą pod węgierskim panowaniem, skąd wróciłem najkrótszą drogą do Krakowa zmęczony wprawdzie ale zadowolony ~~z powodzenia pięknego Tatr~~ z powodzenia Tatr w pełnej.

do str. 110 6.

~~Inna sprawa~~ Wycieczki na Śląsk Cieszyński odbyłem znów w towarzystwie narodowców. O ile w Galicji język polski cieszył się pełnią praw, o tyle na Śląsku o każdą szkołę, o każde gimnazjum trzeba było walczyć z Niemcami i z Czechami. Właśnie w Cieszynie gimnazjum polskie, otwarte za pierwszej z całej Polski, zbierało, obchodziło jakąś rocznicę, na którą my, studenci krakowscy, ~~postanowiliśmy~~ zdecydowaliśmy zaprosić. Ale gdyśmy się zebrali w Domu Polskim na rynku, Niemcy cieszyńscy zaczęli nas obrzucać kamieniami i musieliśmy, niosąc sztandar, salwować się ucieczką bocznym wyjściem, a stamtąd wozami na zamówione noclegi na wsi. Tak to: jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem!

Z Cieszyna miłego i schludnego miasta poszliśmy w Beskidy na Czantorię, a stamtąd do wsi Wisła, gdzie rzeka Wisła zaledwie rozpoczyna swój bieg i daje się przejść bez zamoczenia kolan.

Podczas jednych wakacji wybrałem się już nie na wycieczkę, ale w dalszą podróż, bo do Włoch przez Wiedeń i Triest. Już w tym ostatnim mieście, choć do Austrii należącym, a na terytorium słowiańskim zbudowanym (po słow. Trst), poczułem ~~podniecenie~~ miłe/włoskie słońce, włoski język i włoski gwar, ale dopiero w Wenecji doznałem olśnienia, czy objawienia, piękna. ~~I zakochałem każdego~~ | zakochałem Kto by się do Wenecji oglądał, nigdy nie jedzie koleją przez Mestre ~~ale z Trieste statkiem~~, a potem dostaje się do Wenecji kuchennymi schodami, ale nigdy z Trieste zajeżdża statkiem przed sam front pałacu Dożów, ~~nie~~ a wtedy dozna takiego samego jak ja na całe życie nieprzepomnianego wrażenia. Poznanie Wenecji jest doskonałym odczynnikiem na różnice duszy ludzkiej, albo mówiąc żargonem naukowym: testem psychologii dyferencjalnej. Jedni będą narzekać, że woda w kanałach cuchnie, że komary gryzą, że nie ma dorożek, samochodów ani tramwajów, inni zaczną wyciągać ze pretensjonalne wiadomości z historii i z historii sztuki, inni wreszcie, tak jak Michelet na widok Chatyrdahu, powiedzą tylko: Ach! Zatkało ich!

Do tych ostatnich należałem i ja: pierwsze zetknięcie się z tym cudem niepojętej i niewymownej piękności, tylko dlatego nazwanym Wenecją, że trzeba przecież było jakoś go nazwać, odebrało mi po prostu mowę i później dopiero zacząłem sobie ~~jakoś~~ gdzieniegdzie wrażenia. Ale nigdy nikt nie żądał, abym ~~mu~~ tutaj Wenecję opisywał! Kto Wenecję widział, dla tego to będzie zbyteczne, a kto jej nie zna, będzie słuchał jak ślepy o kolorach. ~~O Wenecji można by tylko śpiewać! A najlepszym jej obrazem jest Amicisowskie „incantesimo”.~~ Cóż z tego, że mnie będą mówił o kopułach Św. Marka, jak o spadochronach spadłych z nieba, czy też jak o balonach przyczepionych się do tłumu pod ciśnieniem modlitw; o paradoksalnej strukturze pałacu Dożów, gdzie ~~maszyny gdzie piękne spoczywają spoczywają się o siebie~~ na lekkich kolumnach wznosi się ciężar tej masywnej piętra; o rzeźbach

dokończenie - C

pływania gondolą po wąskich kanałach i
cieszenia na nowy cud przy każdym zakręcie; o czarnookich, czarno-
włosych i czarnoszalowych dziewczętach, wesoło stukających wysokimi obca-
sami po kamiennych płytach; o lodach u Floriana na piazza San
Marco .... po co cyklistkowi robić tylko robić oskomę! ~~O Wenecji~~
Zresztą o Wenecji powinno się tylko śpiewać! A najlepszym jej określe-
niem jest Amicis'owskie: „incantevole", którego polskie zbanalizowane:
„czarująca" czy „urocza" napewno nie może oddać. Z Wenecji ~~żadnemu~~
~~turyście~~ nikomu mała wycieczka po północnych Włoszech ale
ani średniowieczna Werona, ani ~~Florencja~~ Florencja „la bella", ani Bolo~~gna~~nia „la
dotta", ani również urocza Padwa nie zatarły wspomnienia pierwszej
mojej kochanki - Wenecji.

nowaniem mojego doktoratu była promocja. Rektorem był podówczas
Józef Zaorski, farmakolog, dziekanem wydziału filozoficznego – Henryk Hoyer,
profesor anatomii porównawczej, a na promotora uprosiłem Rozwadowskiego,
jako jednego z bliższych mi profesorów. 14 kwietnia 1910 r. w pięknej auli
~~Collegium Nov~~ Collegii Novi odbyła się więc ta moja promocja z zachowaniem całego pięknego rytuału tradycyjnego. Rector magnificus w todze
purpurowej z peleryną gronostajową, dziekan i promotor w togach czarnych z
pelerynkami odpowiednio do wydziałów barwach, pedle z berłami i ja
również tym razem już nie we fraku ale również w todze i w birecie.
~~Po odczytaniu formuły promocji przez rektora na stwierdzenie berła
położone wyciągnięte przez palce prawej dłoni i przysięgłem: Spondeo
ac polliceor! Rektor i jego asystenci podali mi uściskawszy moi dłoni —
byłem i ja zostałem doktorem filozofii!~~

Rektor odczytał formułę, w której między innymi przysięgałem,
iż nie będę nadużywał swego tytułu do celów brudnego zysku (..sordidi
lucri causa...), na stwierdzenie berła położyłem wyciągnięte palce
prawej dłoni i wymówiłem uroczyste słowa: Spondeo ac polliceor! Rektor
i jego asystenci uścisnęli mi dłoń — i oto zostałem doktorem filozofii!

Rozdział III

Informacje reformierne

Doskonale zdawałem sobie sprawę, że mimo uzyskania tego stopnia doctora filozofii, którego nomen et honores, iura et privilegia miały mi odtąd przysługiwać, z psychologii umiem prawie tyle, co nic, i postanowiłem uzupełnić swoją wiedzę w tej dziedzinie tam, gdzie lepiej uprawiana niż w Krakowie. Przede wszystkim pociągała mię Genewa, gdzie wykładał jeszcze Teodor Flournoy, autor znakomitych dzieł z zakresu metapsychiki (czyli jak niektórzy wolą: parapsychologii): „Des Indes à la planète Mars" i „Esprits et Médiums", a gdzie jednocześnie wschodziło nowe słońce: Edward Claparède, powaga w sprawach psychologii eksperymentalnej i pedagogiki, którego dzieła: „L'association des idées", „Classification et Plan des Méthodes psychologiques" i „Psychologie de l'enfant et Pédagogie expérimentale", mogły służyć za wzór solidnej roboty naukowej. Następnie chciałem być w Paryżu i posłuchać wykładów Henryka Bergsona, którego dzieł zawsze zachwycałem się w Krakowie i Piotra Janeta, twórcy niezmiernie oryginalnych teorii psychologicznych.

Zacząłem od Genewy, gdzie znalazłem bardzo dogodne warunki pracy. Oprócz wymienionych już profesorów słuchałem jeszcze wykładów filozofii i chodziłem na seminaria Adriana Naville'a, autora kapitalnej pracy p.t. „Nouvelle classification des sciences", w której dzieli całość wiedzy na: ~~te nauki o prawach, czyli o tym, jak się dzieje (fizyka, chemia itd.) na nauki historyczne, czyli o tym, co się dzieje~~

1° nauki o prawach (fizyka, chemia, biologia itd.), czyli o tym, jak się dzieje, 2° nauki historyczne, czyli o tym, co się dzieje i 3° nauki normatywne (logika, etyka, estetyka) czyli o tym, jak się dzieć powinno. Podobny ~~schemat~~ zbliżony pogląd głosił niemiecki filozof Rickert, ale, mimo prostszą, nie potrafił go przedstawić w tak pięknej i skończonej formie jak Naville. Pracę w laboratorium psychologicznym ułatwił mi dr. Wacław Radecki, którego znałem jeszcze z Warszawy, a który był wtedy asystentem prof. Claparède'a. P. Radecki przeprowadził był wówczas ciekawe badania nad „reflekserm psychogalwanicznym", które chciałem przy jego pomocy powtórzyć. Sam zaś w pracowni Claparède'a wykonałem dwie prace, które ogłosiłem następnie drukiem w „Archives de Psychologie": „Contribution à l'étude de la suggestibilité" i „Comparaison de quelques processus psychiques dans l'hypnose et dans la veille".

Uniwersytet Genewski był w owym czasie wieżą Babel, opanowaną przez przybyszów z całej niemal Europy, a rodowici Szwajcarzy byli w niej ~~w~~ zdecydowaną mniejszością. ~~Polaków~~ Wśród tych „cudzoziemców" Polacy stanowili pokaźną grupę. Prawie chodziłem na medycynę, gdzie m.in. wykładał doskonały anatom, prof. Zygmunt Laskowski, z polskiej rodziny emigracyjnej lub na przykład, gdzie główną atrakcją był sławny botanik Chodat, ale i na innych wydziałach Polaków nie brakło. ~~Niektórzy z Dzielnych się nie dużo~~

kilka ów

odłamy. Dzieliły się, jak zresztą, na dwa odłamy: ~~narodowy~~ socjalistyczny, z którym każdy musiał swoje stowarzyszenie, oprócz tego były i bezpartyjne „Bratnia Pomoc", łącząca wszystkich studentów Polaków. ~~Nie chcąc~~ Wyjeżdżając z Krakowa byłem już mocno zniechęcony do socjalistów ~~swoich~~ ich demagogicznymi metodami i ~~brakiem~~ niezdolnością do ujmowania całości sprawy polskiej, ale nie czułem się jeszcze skłonny do przystąpienia bez zastrzeżeń do ~~tego~~ „endeków". Zapisałem się więc tylko do Bratniej Pomocy, w której niebawem obrano mię na prezesa. W tym charakterze brałem udział w organizowaniu różnych imprez dochodowych dla towarzystwa. Wyprawiliśmy z wielkim powodzeniem „Dla szczęścia" Przybyszewskiego w obsadzie następującej: Helena — ~~Kot~~. Jadwiga Strzelecka*), Mlichi — ~~Julian~~ Szuster, Olga — Maria Dzięcielska, Zdzisio — Stefan Claryski. Innym znów razem urządziliśmy wielki bal, poprzedzony koncertem na którym miał popisywać się gra na wiolonczeli dr. Wacław Radecki. Z tej okazji, jako prezes Bratniej Pomocy i senior studentów polskich, pojechałem do Riond-Bosson pod Morges, aby zaprosić pp. Paderewskich na tę uroczystość. Paderewscy nie tylko przybyli, nie tylko wysłuchali (wyjątkowo zresztą z jaką przyjemnością) naszego koncertu, ~~ale~~ nie tylko ofiarowali na Bratnią Pomoc 300 franków, ale i zaprosili mię do siebie na obiad. W oznaczonym zatem dniu wybrałem się znów do Riond Bosson; ~~miałem~~ obiad był, oczywiście, doskonały, ale cóż to dla mnie znaczyło wobec radości, że ~~mogłem~~ mogę ~~zbliżyć~~ poznać trochę bliżej wielkiego człowieka i szlachetnego Polaka. Ktoś z cudzoziemców (czy nie Clémenceau?) nazwał Paderewskiego „geniuszem, który przypadkiem gra na fortepianie". Co do tego nigdy nie miałem wątpliwości, ale dopiero teraz mogłem ocenić jego ~~niezwykłą~~ serdeczną gościnność, niewymuszony humor, ~~prostotę~~ wytworną prostotę obejścia i dar rozmowy. Zostałem oczarowany i to bez muzyki, gdyż z powodu jakiegoś bólu w ręce fortepian miał wakacje. Poznałem wtedy p. Marię Michalewiczową, uczennicę pochodzącą z ~~pani~~ panny Alma-Tadema, córki malarza, który niejaki portretował Mistrza, ~~Paderewskiego~~ tą wielką przyjaciółkę Polski i Polaków: ~~która~~ zresztą oceniała nas według najlepiej znanej sobie próbki — Paderewskiego... Pani Paderewska zaprosiła nas do swoich ~~na~~ rozległych kurników i tu zaimponowałem jej ~~moją~~ znajomością ras kurzych, nabytą w dzieciństwie u O. Mariusza w Kunicach.

Działo się to na przedwiośniu 1911 r., a dopiero 26 maja tegoż roku dane mi było po raz pierwszy usłyszeć Paderewskiego we Fryburgu, gdzie, przed wyjazdem do Ameryki na długą tournée ~~koncertową~~, dał koncert wielki rodak ~~grał~~ na dochód studentów-Polaków miejscowego uniwersytetu. Grał Beethovena, Brahmsa, Schumanna, Liszta, no i oczywiście Chopina: dwa nokturny, ballada G-moll, trzy etiudy i polonez A-dur. ~~Bardzo~~

---

* siostra Anieli Strzeleckiej, z którą zaprzyjaźniliśmy się w Krakowie

V było już narzędzie „Koło", redagowane z pepesowskim zabarwieniem „Polonia" i szkicka „Spójnia" ■ z samych prawie Żydów złożona.

~~Nie mam odpowiedniego osłuchania muzykalnego~~, choć bardzo muzyki lubię, nie mam odpowiedniego osłuchania muzykalnego, abym mógł oceniać wirtuozostwo wykonania, muszę tylko stwierdzić, że żaden pianista nie robił na mnie takiego wrażenia jak Paderewski. Niewątpliwie trzeba z mego zachwytu coś odliczyć na konto ~~swoich~~ niemu stawy, która go otaczała, ale nawet z tym uszczupleniem nie sądzę, aby ktoś mógł go przewyższyć. Być może są, ~~są tacy~~, pianiści mający lepszą technikę, grający ~~ton~~, silniejsze uderzenie, delikatniejsze „pianissimo" ~~ma~~, ... ~~ale~~ ja nie ~~wiem~~ znam, ile odrębnych pierwiastków mogą w grze wirtuoza wyanalizować znawcy — wszystko to być może, ale w grze Paderewskiego były one stopione w prawdziwie harmonijną całość i przejęte wielką inteligencją i głębokim uczuciem. Tokat, jak grać Chopina ~~nikt~~ jak on, nikt dotąd nie potrafił. Rzadko który ~~z~~ można ustyszeć z estrady polonezu A-dur — pianiści wolą grać inne, bo im dają więcej pola do wirtuozowskich sztuczek. Niechże by posłuchali, jak go gra Paderewski ~~i jak arcydzieło~~ i jak szopenowskie arcydzieło, zbanalizowane przez tylu „schopenhauerów", naprawdę brzmieć powinno!

Widziałem się następnie z Paderewskim w Vevey, gdzie z racji jakiegoś jubileuszu muzycznego odegrano na koncercie jego symfonię, ~~której~~ a właściwie jeśli mnie pamięć nie myli, pierwszą jej część. Utwór bardzo mi się podobał, ale miałem, że tempo powinno było być trochę żywsze i podzieliłem się swym spostrzeżeniem z Paderewskim, ~~który przysłuchiwał się wykonaniu z~~ ~~tą~~ — „Ma pan rację, o całe 6 minut było za długo" odpowiedział mi kompozytor, który z zegarkiem w ręce przysłuchiwał się wykonaniu swego dzieła. Pozwoliłem sobie na to pochwalenie się trafnością swej obserwacji, ale zaznaczam, że nie rozciąga sobie pretensji do laurów muzykologa.

Z kolegów generałki bliżej żyłem ze Strelcką i Jurstrem, którzy się później pobrali, z Leonem Klimechem, z którym ~~potem~~ w Polsce niepodległej spotkałem się znów na terenie Min. Spr. Zagr. i jeszcze z kilkoma innymi, ale, jako prezes Bratniej Pomocy, miałem rozległe znajomości wśród kolonii studenckiej. Wspomnę tu jeszcze o braciach Mühlsteinach, z którymi poznałem się w Genewie a później spotykałem się jeszcze w Paryżu. Pochodzili ~~z~~ z zamożnej ortodoksyjnej rodziny żydowskiej, ale utrzymywali stosunki wyłącznie z Polakami. Starszy, Stanisław, zmienił nazwisko na Mickiewski i ożenił się z p. Heleną Starzyńską, siostrą późniejszego prezydenta Warszawy, młodszy, Anatol, zatrzymał nazwisko przodków i zrobił ~~macną~~ karierę w dyplomacji polskiej: był radcą legacyjnym w Brukseli, gdzie się ożenił z Belgijką, a potem w Paryżu, gdzie secundo voto poślubił za małżonkę jedną z Rothschildówien. Jak twierdzi rodzina miał to być un mariage d'amour. Otóż z powodu Stanisława, nazwiskaz jemu Mühlsteina,

zostałem ~~po raz drugi~~ wplątany w t.zw. „sprawę honorową". Z powodu jakiejś błahej sprzeczki z niejakim dr. Gustawem Szulcem, studentem i narwanym jegomościem, ~~doszło do po~~ Mühlstein został zmuszony do pojedynku i poprosił mię na sekundanta, drugim miał być kol. Eduard Lubicki. Nie mogłem mu odmówić. Wiedziałem wiele niepokoju z wynalezieniem ~~Genewki pary pistoletów pojedynkowych~~ w spokojnej, cnotliwej i cywilizowanej Genewie pary pistoletów pojedynkowych i przed świtem udaliśmy się samochodem ~~za granicę Kantonu Genewskiego do~~ o kilka kilometrów za miasto, gdzie się kończyła bezgraniczna Szwajcaria, ~~a zaczynała się~~ nie tolerująca duellantów i patrząca ich bez pardonu do kozy, a zaczynała się/patrząca na to przez palce, Francja. Jechał z nami jakiś student medyk, wiozący się Brazylijczyk, uzbrojony w cały arsenał narzędzi chirurgicznych. ~~Było mglisto i zimno~~ Poranek był zimny i mglisty – działo się to o wczesnej wiośnie – byłem nie uprzany, ale podniecony niezwykłą przygodą, trzeba było się śpieszyć, zanim się morze galowej i zaczęli się rudzi na drogach, skierowaliśmy się na pobliskim polu dwadzieścia pięć jak największych kroków, nabiliśmy pistolety dając jak najmniej prochu, ~~salamandrowcom~~ obaj/przeciwnicy lojalnie strzelili ~~obaj~~ w powietrze i honorowi stało się zadość. Był to drugi wypadek, gdym się otarł o pojedynek. Za trzecim razem ~~musiało być gorzej~~

Z kolegów Szwajcarów zbliżyłem się tylko ~~z jednym~~ z P. Alfredem Turrianem, medykiem. Ożenił się/on z Polką z ~~#~~ kolejarską Ławą Wojciską, i przeniósł się do Berna, gdzie wpłynął sobie wielkie uznanie jako dentysta. Z pp Turrianami spotykałem się później i korzystałem z ich serdecznej gościnności w Bernie.

W Genewie po raz pierwszy zetknąłem się z Edwardem Abramowskim, który po dłuższym pobycie za granicą zamierzał powrócić ~~już~~ do kraju. Wybitny ten socjolog i psycholog porwał zapałem do nauki i ~~rozległością zainteresowań~~ i rozległością widnokręgu ~~umysłu~~ myślowego. Nic w nim nie było z pedanta, z „suchego uczonego" – był jego charakterystycznem przeciwieństwem. Gorący patriota i reformator społeczny, w „związkach przyjaźni" widział odrodzenie Instytucji. ~~Mam~~ W moim pamiętniku nabazgrał niegdyś te słowa: Memento! Corpus cordis opus et mens agitat molem. I to się na nim sprawdzało! ~~Wątłe ciało, zniszczone chorobami nie~~ Spalające się serce utrzymywało przy życiu wątłe ciało, zniszczone chorobami, a duch nim kierował. Abramowski zainteresował się moimi pracami psychologicznymi i ~~odradził mi~~ poradził mi, abym ograniczył swoje, zbyt szeroko zakreślone, plany. ~~Skorzystałem z tego doświadczenia~~ Zaufałem jego wyższemu w tych sprawach doświadczeniu i zastosowałem się do jego wskazówek, co mi tylko na dobre wyszło. Z Abramowskim miałem się później spotkać w Warszawie i zbliżyć, ale o tym będzie mowa w dalszym ciągu tych wspomnień.

W Genewie czułem się ~~bardzo dobrze~~ wyśmienicie: ~~i ludzie i przyroda bardzo mi odpowiadali, a ustrój polityczny Szwajcarii~~ i przyroda, i ludzie, i ustrój polityczny, wszystko mi tu odpowiadało. Nawet język niemiecki tak szorstki, chrapliwy i brutalny w ustach rodowitego Niemca, łagodniał w dialektach szwajcarskich i upodabniał się do mowy ludzkiej. A znów w kantonach językowo francuskich, francuszczyzna rozbrzmiewała miłymi archaizmami w rodzaju: „septante, nonante", zamiast literackich: „soixante--dix, quatre-vingt-dix". Leman się mienił wszystkimi odcieniami błękitu: od jasnej opalizującej niebieskości do głębokiego niemal czarnego szafiru, a ~~wpatrując się w niego Rodan~~ przepływający przeze Rodan lat się szeroką ~~rzeką ciemnoniebieskiej~~ ciemno błękitnej, przejrzystej lawy rzeka, w którą pod ostrym Kalem wpadała z gór ~~zbyt~~ bliska, burzliwa, szumiąca, szara i mętna Arwa i tak płynęła ze sobą te rzeki, na długiej przestrzeni wód swoich nie mieniając. Coś mniej więcej Wista z Bugiem. W tej to Arvie kąpał się Słowacki i pisał do matki: „od sześciu dni kąpać się, mniej już bardzo znacznie obrany w sobie. Mówią mi ludzie, że jak się w tej rzece pokąpię, to moje spleny ode mnie uciekną i będę wesoły". Może dlatego, że mi „spleny" nie dokuczały, do Arwy ~~nie~~ do kąpieli nie chodziłem, wolałem kąpać się w jeziorze i pływać po nim ~~łódką~~ tódką w dzień lub w nocy ~~z latarnią~~ z latarnią wenecką umieszczoną na jej dziobie. Jako punkt wyjścia do ~~dalszych~~ bliższych i dalszych wycieczek ~~po~~ dzięki swemu położeniu i doskonałym środkom komunikacyjnym Genewa ~~doskonale~~ wybornie się nadawała, toteż ~~jak tylko można było wyp~~ korzystałem z tego w całej pełni. Wyleciało wejść pieszo albo wyjechać kolejką zębatą na Salève, już na terytorium francuskim się znosząc, aby mieć przecudny widok na Mont Blanc i napawać się w ziemie słońcem, podczas gdy Genewa tonęła we mgle. Pamiętam, że, kiedym po raz pierwszy ujrzał te cuda, tom uklękł na trawie i zaczął się modlić taką czystą bezinteresowną modlitwą, w której o nic Boga nie prosiłem, a tylko podziwiałem Go w Jego stworzeniu. Doświadczyłem wówczas, że:

Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Nie chcę tu współzawodniczyć z Baedeckerem, nie będę więc opisywał wszystkich wdzięków Szwajcarii, ani „Tour du Lac" po Lemanie, ani tamtejże obszernej nawigacji po jeziorze Czterech Kantonów, ani zbiorowej narciarzów na tace w Les Avants, ani wycieczek do Chamonix, Zermatt czy Interlaken. ~~ani dwukrotnego pobytu~~ Wspomnę tylko o noclegu w ~~schronisku~~ klasztorze Św. Bernarda

Wspomnę tu tylko o pobycie na przełęczy Św. Bernarda, gdzie zakonnicy, kultywując tradycyjną gościnność udzielają podróżnym bezpłatnego noclegu i posiłku. Należy się wypada odwdzięczyć się im za to odpowiednim datkiem na klasztor. Interesowały mię, oczywiście, słynne psy ratownicze i stwierdziłem, że te miłe i mądre zwierzęta mają krótką maść są krótkowłose a nie włochate, jak większość psów, znanych u nas pod nazwą Saint-Bernard. Podobno taka odmiana jest bardziej odporna na zimno i śnieg, bo nie nabija sobie śniegu w kudły. Czytałem gdzieś, że obecnie, wobec podróży, przeważnie koleją odbywanych, klasztor na przełęczy Wielki Św. Bernard ratowanie zasypanych śniegiem podróżnych jest już niepotrzebne i że klasztor wraz z zakonnikami i psami ma być przeniesiony gdzieś w góry Himalaje i tam ma kontynuować swą szlachetną działalność.

Na różne słynne szczyty nie próbowałem się wspinać, bo są to wyprawy niebezpieczne i niebezpieczne dla niewprawnego alpinisty a poutóre nie bardzo kosztowne. Chodziłem natomiast górskimi i ścieżkami górskimi i dużą część Szwajcarii własnymi krokami przemierzyłem. Dzięki doskonałej organizacji turystyki można łatwo poruszać się po drodze znajdować dobre a niedrogie noclegi u noklarzy, oberżach, czy schroniskach, i a zwykle i sprawną pocztą przesyłać walizki czy plecaki. O ileż lepiej poznaje się wtedy kraj, o ileż bliżej obcuje się z przyrodą, nie dojeżdżając wszędzie kolejami pociągiem! Polecam koniecznie taką wycieczkę: z Spiez nad jeziorem Tuńskim, koleją elektryczną do Frütigen, skąd dalej pieszo w górę doliną rzeki Kander do Kandersteg, skąd trzeba się piąć do przełęczy Gemmi, a potem schodzi się w dół do Loueche-les-bains (Leukerbad) i do Loueche (Leuk) w dolinie Rodanu, skąd już idzie koleją prosto do Genewy. Przepiękna jest także wycieczka doliną Rodanu w górę do lodowca z którego ta rzeka wypływa, a potem, przekroczywszy pasmo Alp Berneńskich przez przełęcz Grimsel w dół doliną Aaru, obok wodospadu Handegg, „gdzie Aar wody tęczowymi spada", przez Meiringen do Interlaken. Ale wróćmy nie konkurować z Baedekerem, a tu widzę, że mogę pokusić. Wybacz mi, znużony czytelniku, więcej nie będę!

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

WARSZAWA, DN. . . . . 19 R.

UWAGA:
WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/. ..

Wzór E. M. 127 [F1] 2.000—4.41

Z miast poznałem wszystkie znaczniejsze: najbanalniejszy jest Zurych; Bazylejs, ten „szpek Europy", gdzie się krzyżują główne szlaki komunikacyjne, ratuje Ren i malarstwo Boecklina, bardzo mi się natomiast podobał Bern*) ze swym staroświeckim wyglądem śródmieścia, ze swymi podcieniami i fontannami a także urocza Lucerna, przeglądająca się w jeziorze Czterech Kantonów, które na kształt krzyża herbowego zdobi pierś Helwecji. Ale najciekawszym z rozmaitych względów i najbardziej malowniczym, a niestety często prześlepianym przez turystów miastem jest dla mnie stanowczo Fryburg. Geografa i politykа zainteresuje fakt, że przez środek miasta przechodzi tu granica językowa francusko-niemiecka, Polaka — uniwersytet katolicki, w którym kształciło się tyle naszej młodzieży i wykładali nasi uczeni, oraz witraż Mehoffera w katedrze, muzyka — najmilsze i najsprawniej na świecie organy w tejże katedrze, inżyniera — cud techniki: dwa wiszące mosty, górujące nad dolinami rzek, każdego rodzaju, wreszcie na piękno, artystka — malownicze położenie miasta nad Saryną.

Dzisiaj, gdy w odrodzonej Polsce mamy (przejściowo przez obecną katastrofę wojenną unieruchomione)**) wyższe uczelnie, premiowany exodus młodzieży za granicę po wiedzę nie jest ani konieczny ani pożądany. Ale sądzę, że każdemu, którego stać na to, młodzieńcowi pobyt w Szwajcarii tylko dobrze zrobić może. // Niech by się przyjrzał prawdziwej demokracji, wolności bez anarchii, pracowitości, prostocie obyczajów, uprzejmości, uczciwości, poszanowaniu prawa bez skostniałego skrupulanctwa zbytecznymi formalnościami, tolerancji dla odmiennych przekonań, braku nienawiści rasowych czy wyznaniowych. Zapewne i u innych sąsiednich krajów Europy Zachodniej znalazłby młody Polak niejedną cnotę godną naśladowania, ale takiego ich harmonijnego zespołu, takiego niezrównanego koktajlu kultury europejskiej nie dostanie nigdzie. Oby ta wolna Helwecja, jedna, choć z dwudziestu pięciu kantonów złożona, co w ciężkich bólach i walkach do swojej obecnej postaci wrosła, — stała się zaczątkiem i wzorem przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy, do których marzenie przenosi „duszy moją utęsknioną" z obecnego pobojowiska!

*) Odróżniam Bern szwajcarski od Berna (Brna) moraw., zgodnie z powszechnym użyciem i „Słownikiem Ortograficznym Grobera", wbrew pisowni Nitscha i „Słownikowi Ortograficznemu" Arcta.

**) Pisałem w r. 1943.

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

WARSZAWA, DN. ..... 19 R.

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/.... .. ...

Zanim się ze Szwajcarią pożegnam, ~~muszę~~ wspomnę na tym miejscu o ~~dłuższej wycieczce~~ wycieczce do Włoch, którą z Genewy zrobiłem. Byłem już dawniej w Wenecji, ~~Padwie~~ Padwie, Weronie, Bolonii i Florencji, teraz więc pojechałem przez Genuę, i Pizę do Rzymu, stamtąd do Neapolu i z powrotem via Mediolan do Genewy.

W Rzymie ruiny antyczne nie zrobiły na mnie wielkiego wrażenia. (Szczątki świątyń na Forum Romanum ~~*~~, odgrzebane, odskrobane z „pleśni wieków", może dla archeologów i historyków ~~powstałe~~ są interesujące, jako przedmioty muzealne. Brak im tylko ogromnych zrąb oczkobnych, żeby się ~~z~~ Kolumny nie kurzyły! ~~Z dawnych opisów i rycin~~ O ileż piękniejsze było Forum dawniej, owo „campo vaccino", które mamy z opisów i rycin, zarośnięte trawą, na której pasły się białe długorogie krowy/stada. Tokiż od Forum wolałem widok Palatynu mniej „muzealne" a ~~dopiero więcej jeszcze pobudzające~~ więcej pozwalające bujać wyobraźni. Ale przeszłość ~~republikańska~~ republikańska czy cesarska Rzymu jest tylko przeszłością — aktualnością jest ~~tylko~~ chrześcijaństwo, którego Rzym jest stolicą, i to głównie w Wiecznym Mieście podziwiałem. Koloseum, ogromny cyrk, w którym odbywały się barbarzyńskie igrzyska, jest w ruinach, a niedaleko ~~stąd~~ stąd stoi Kościół Św. Jana Laterańskiego, katedra biskupia Rzymu, „omnium ecclesiarum caput et mater". Na kolumnie Trajana stoi posąg Św. Piotra, a na kolumnie Marka Aureliusza — posąg Św. Pawła. Na fundamentach świątyni Minerwy wznosi[54] kościół Matki Boskiej: S. Maria sopra Minerva. Panteon, który miał służyć wszystkim bogom, teraz służy Jedynemu Bogu. Słowem wszędzie ~~na obrzeżach kla-~~ ~~syczności, spostrzegając ją jako biorąc ją za podstawę~~ z gleby starożytności klasycznej wyrosło owo, ~~wielkie drzewo~~ evangeliczne, z ziarna gorczycznego poczęte, wielkie drzewo chrześcijaństwa „a ptaki niebieskie spoczywały na gałęziach jego". Z pomników cesarzy zachował się jedynie

Kochanek mąż ów Marek Aureli (petit)

i to dzięki temu, że uważano go za pomnik Konstantego Wielkiego, pierwszego chrześcijańskiego cesarza. Tak to chrześcijanie uratowali od zagłady pomnik swego prześladowcy, filozofa-stoika, który we włosie bóstwa nie widział // a w chrześcijanach widział tylko uparty fanatyków.

V caelium viderunt live

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10-20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

WARSZAWA, DN. . . . . 19 R.

F2/.... ..

~~Stoi on sobie spokojnie~~

~~Marek Aureli~~ :

~~Pięknie, szlachetnie, fajnie [illegible]~~

Dziś chrześcijanie nm to wszystko wyłączyli i spiżowy cesarz na spiżowym rumaku

Rzekł powarmi wzniósł, jak gdyby w koło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa.

A dzieje się to na placu przed Kapitolem, ~~którego schodów już~~ po których schodach już nie chodzi cum tacita virgine pontifex ; tak to poezja Horacego przetrwała wyznaczony sobie przez poetę kres....

Bazylika Św. Piotra imponuje ogromem, pięknością, wspaniałością, przepychem, ale ~~nie wprowadza do długiej modlitwy, jak np~~ i rozprasza zarazem ~~[illegible]~~ myśli, porywając uwagę coraz to w innym kierunku. Tutaj modlić się ~~[illegible]~~ tutaj jest trudniej niż w kościele gotyckim, ~~który po którego strzelistych [illegible] kolumnach i łukach dumia jak powój się~~ ~~wspina aż tam wyżej~~ gdzie wokół strzelistych kolumn dumia jak powój się oplata, ~~i przez barwne witraże~~ różnymi i frykowymi dewocjonaliami drzemi, i przez barwne witraże ku niebu zagląda, albo w polskim kościele wiejskim, gdzie przez otwarte okna słyszeć szum lip i świergot wróbli. Jest to pałac Pana Boga, gdzie ma on Swoją salę tronową, ~~i~~ gdzie udziela audiencji i gdzie rozbrzmiewać powinno Gloria in excelsis i Te Deum laudamus! Ale pałac ten jest otwarty dla wszystkich: ~~dla [illegible]~~ dla wszelkich ras i wszelkich narodów. „Albowiem niema różnicy między Żydem i Grekiem, bo ten sam Pan wszystkich wszystkich, którzy go wzywają". (List Św. Pawła do Rzymian X, 12) Symbolem tego są konfesjonały dla różnych narodów, w jednej z nav bazyliki ~~[illegible]~~ ustawione, jest widzę wśród nich i „pro lingua polonica". Stwierdzenie tego faktu, ~~że~~ że ~~w Św. Piotra~~ w bazylice Piotrowej jesteśmy u siebie ~~mi sprawiło zadowolenie~~ u domu rzymskim ~~na mnie zrobiło wrażenie~~ niż herby polskie w uniwersyteckim padewskim, czy też pomniki Stefana Batorego i Jana Sobieskiego w tejże Padwie zamiast Stanisława Augusta postawione.

Przyjechawszy z Rzymu do Neapolu, już na samym dworcu ma się wrażenie, że stała się tam jakaś wielka awantura. Tymczasem jest to stan normalny i zwykły gwar neapolitańczyków. Tu się dopiero emocje potężnie i w klimacie i w temperamencie ludności. Z Neapolu zwykłem oczywiście klasycznie wycieczki ~~do Pompei i na Capri~~ do Pozzuoli, aby objechać na wpół wygasły wulkan „solfatarę", do Pompei, na Capri i na Wezuwiusz.. O tej ostatniej ~~[illegible]~~ kilka słów powiem.

V Jadwigą z wrotkiem Rzymu były dla mnie co krok niemal spotykane fontanny, których szum tak ożywia i dostojne Miasto. Nic zresztą jest Wiosna jeszcze prawdą, nakazującą wracać się wody z fontanny di Trevi i rzucić do niej soldo, mimo to ~~[illegible]~~ jeszcze kilka razy potem tutaj w Rzymie [dalej na odwrocie kartki]

Do str. 50

Podobno papież Leon XIII, żegnając się z pielgrzymem po audiencji prywatnej, pytał go zwykle, jak długo bawi w Rzymie. Jeżeli pielgrzym odpowiedział, że kilka dni, czy dwa tygodnie, to papież na pożegnanie mówił mu: addio, jeżeli zaś pielgrzym przebywał w Rzymie dłużej, np. miesiąc, to papież mówił mu: ~~a rivederci~~ a rivederci (do widzenia), dając tym do zrozumienia, że kto dłużej w Rzymie bawił, to tak się z nim zaprzyjaźniał, że zechce doń powrócić. Co się mnie tyczy, to się rozmiłowałem w Rzymie od pierwszego wejrzenia, za każdą nową piękność odkrywałem w nim nowe cuda, a teraz boleję nad ~~tragicznym~~ losem nieszczęsnych Włoch, zagnanych wbrew woli do wojny przez megalomana „duce", ~~nie mogę~~ mam, że może ~~mi~~ nie uda mi się ~~więcej~~ jeszcze odwiedzić kiedy Wieczne Miasto i wołam doń: Roma, a rivederci!

W Neapolu spotkałem się z p. Rudolfem Zaleskim, z którego matką i rodzeństwem przyjaźniłem się w Krakowie; postanowiliśmy razem wybrać się na Wezuwiusz. Nie chcieliśmy korzystać z Kolejki Cook'a i pojechaliśmy ~~[illegible]~~ wozką kolejką, jeśli się nie mylę, do Torre Annunciata, a stamtąd dorożką do ~~Boscotrecase~~ Boscotrecase. ~~[illegible]~~ Wybuch wulkanu w 1906 r. zniszczył to miasteczko ~~[illegible]~~ zalewając lawą domy do wysokości pierwszego piętra. Stąd można było jechać dalej w górę już tylko konno. Dano nam jakieś straszne wyrwołki i przewodnika, który chcąc je pobudzić do szybszego chodu szarpał je za ogon krzycząc przeraźliwym głosem, w którym obcowanie mieszało się jakby ze zdziwieniem: Aa! aa! Nad samym kraterem wznosi się ścięty stożek popiołu, po którym trzeba brnąć w górę pieszo, co jest bardzo męczące, bo popiół pod stopami ucieka się obsuwa. Musiałem więc pod koniec tej uciążliwej wędrówki skorzystać z pomocy jednego z czekających na taką okazję Herkulesów, który mię porwał na barana i ugaszczał na sam szczyt. Widok rozlega się ślad zaiste niezwykły. Obramowany krawędzią popiołu, rozpościera się ogromny, przepastny, zda się, bezdenny lej, ziejący gryzącymi dymami, wydobywającymi się ze szczelin kamienistych zbocza. Zaiste wejście do dantejskiego piekła!

Otom się, widzę, znajdował na skłonie
Owej bolesnej, piekielnej doliny,
Co nieskończonych echa jęków chłonie.

Loch ów bezdenny, mglawy, czarno-siny,
Źrenice moje, wpatrzone na wiary,
Niczego dobyć nie mogły z głębiny.

(Piekło, IV, 7-12 – tłum. T. Porębowicza)

Po cudach Rzymu i Neapolu Mediolan wydał mi się banalny i nawet, żeby bez żalu powróciłem do Genewy, pobieżając tylko ~~[illegible]~~ po drodze z okien wagonu przepiękne Lago Maggiore. ~~[illegible]~~ 2 dwukrotnego pobytu we włoskich wyniosłem rozsmakowanie się w malarstwie włoskim, przed którym nisko się schylają wszystkie Francuzy, Flamandy, Holendry i Niemcy, i w winach włoskich, które stanowczo poza granicami własnej ojczyzny są za mało znane i cenione. Na ogół nawet wykształcony w winopijstwie Polak mało ~~[illegible]~~ co o nich słyszał. Zapewne pił niekiedy ~~[illegible]~~ wermut, może i deserową słodką Marsalę, może i toskańskie Chianti, ale na tym jego wiedza się zwykle kończy. A tymczasem każda prowincja, każda ~~[illegible]~~ lica, każde niemal miasto, ~~[illegible]~~ mają swoje wyśmienite wina, tak przeróżne, tak barwne, tak wonne, że do każdego zmianu, do każdego usposobienia, do każdego nastroju, można dobrać odpowiedni napitek. W północnych Włoszech

mamy dobre barolo i barbera i słynny musujący szampan
włoski: asti spumante; w Toskanii słynie chianti rubinowe,
cierpkawe chianti, sprzedawane w pękatych, długoszyich, oplatanych
„fiaszach" (flaszkach); zamiast korka warstwa oliwy zabezpiecza
trunek od zetknięcia się z powietrzem. Zapewne, że wykwintne i drogie
wina bordoskie i burgundzkie lepią się cenią na całym świecie
stoją niż chianti, ale też i wiecej są fałszowane niż to proste,
szczere i czyste ~~w cieniu~~ toskańskie wino w którym nie ma
zdrady. Dalej na południe ~~mamy~~ mamy słynne montepulciano,
o którym tradycja przechowała następującą opowieść.

Pewien kardynał z północnego jakiegoś kraju, na conclave do
Rzymu podążający, ~~bo~~ rzecz się działa w owych czasach, gdy nie było
jeszcze wagonów sypialnych ani w ogóle kolei żelaznych, a podróżowało się
końmi — wysyłał zawsze przed sobą swego kapelana, który badał
okoliczności noclegu i pastwy i noclegu, a gdzie znalazł dobre wino,
tam na drzwiach osterii pisał kredą: est i tam kardynał się zatrzy-
mywał. Gdy wreszcie kapelan przybył do Montepulciano i miejscowego
wina skosztował, to tak się nim zachwycił, że napisał trzykrotnie:
est, est, est!. Widocznie gust miał dobry, bo kardynałowi również
to wino tak dalece do smaku wypadło, że ~~zatrzymał się w Monte-~~
~~pulciano~~, z podróży do Rzymu zrezygnował, zamieszkał na stałe
w Montepulciano i tam żywota dokonał, ~~zapisując~~ zapisawszy w
testamencie miastu pewną sumę w tym celu, aby ~~co roku~~ w każdą
rocznicę jego śmierci otwierano beczkę ulubionego przezeń wina na
poczęstunek dla mieszkańców zacnego miasta. Widać się, że ta
szlachetna fundacja przetrwała różne przewroty polityczne i
dziś jeszcze jest skrupulatnie wykonywana.

Gdyby śp. kardynał nie był się zatrzymał w Montepulciano,
to w dalszej drodze do Rzymu trafiłby był w Orvieto na również
dobre wino, a i w samym Rzymie nie mógłby na wino narzekać.
W najbliższej bowiem okolicy Wiecznego Miasta produkują doskonałe
wina, z których ~~najlepsi trio~~ najczęściej zjawiają Frascati. Wreszcie
w Neapolu znajdujemy klasyczne Falerno i Lacrima Cristi. To ostatnie,
mocne i aromatyczne, ~~rośnie na zboczach~~ tłoczy się z winogron, rosną-
cych na zboczach Wezuwiusza na glebie użyźnionej popiołem wulkanicznym.

~~Mając taką obfitość i rozmaitość win~~

Dziwne to, że mając taką obfitość i rozmaitość doskonałych win, Włosi piją również i piwo, nawet w znacznej ilości. A najlepszym we Włoszech piwem jest florencka „birra Paszkowski", fabrykowana przez naszego rodaka. Przed zmartwychwstaniem Polski pan Paszkowski był jej nieoficjalnym ~~[illegible]~~ Polakiem// we Włoszech, a potem, ~~został~~ zostać zdaje się, mianowany przez nasz rząd konsulem honorowym. Skoro więc Włochom piwo smakuje, niechże piją polskie ~~nie niemieckie~~ i niech wiedzą, że to napój polski a nie niemiecki. ~~Jakiż to napisał~~ To „Napis ~~napisał~~ na Kuflu" ~~Syrokomla?~~ od[illegible] Syrokomla?

Niemcy nam chcieli ukraść Kopernika,
Z przytaszczonego odarto ich łosia,
Chcieli nam dowieść, że piwo wynika
Z ich wynalazku.

Ale ▫ Ditmara pismach zostawiona
Pamiątka szczera, kronikarska, żywa:
Bolesław Wielki przyjmował Ottona
Kuflem piwa!

O ~~polskim~~ słowiańskim pochodzeniu piwa ~~świadczy~~ dowodnie świadczy przede wszystkim jego nazwa: piwo od pić, jak palivo od [illegible], ~~warzyć~~ warzywo, tworzywo od tworzyć itd., podobnie gdy niemieckie Bier (skąd poeta i ▪ włoska birra) ma etymologię niepewną. A i dodawanie chmielu dla smaku też od Słowian pochodzi —

Ale piwo, choćby najlepsze, i wyśmienitszy od niego miód, ~~[illegible]~~ to są wszystko tylko zastępniki, namiastki, jedynego boskiego napoju — wina! Żałować ~~[illegible]~~ należałem, że w Polsce ~~[illegible]~~ wino nie może być codziennym napojem ludności, tak jak [illegible] w tych szczęśliwych krajach śródziemnomorskich, które stworzyły cywilizację. Bo nieprawda, że to ~~cywilizacja to „nordycy"~~ zasługa „nordyków". Jasne włosy nordycy, jak sami Niemcy i laponoidzi gnieździli się na północach i szukali się żywili, jak już dokoła Morza Śródziemnego kwitła cywilizacja, wznosiły się Partenony i Kapitole, Apollo i Pallada uczyli mądrości i piękna, (Muzy śpiewały na Helikonie a Dionizos krzewił uprawę winorośli. Cetera - polnicka.

Istota tej cywilizacji jest [illegible], nawet w piciu. Wino pito się ~~rozbite rozcieńczone wodą, jak~~ po uprzednim rozcieńczeniu wodą w specjalnych naczyniach, „kraterach", jak to [illegible] czytamy u Homera:

~~Ot pier oinor epitoyot tri kyatiyot pied vdoy~~

.... W dworze rojem się kręcili
Heryksi, cudadzi: jedni mieszali na poły
W kraterach wino z wodą, owi tarli stoły
Smoklistymi gąbkami, ci nieśli zastawy
I rozdzielali mięsne biesiadnym potrawy.

(Odyseja - tłum: L. Siemieńskiego)

I dziś tak samo. Włoch, Francuz czy Hiszpan pije przy jedzeniu wino z wodą, a tylko lepszymi gatunkami delektuje się pijąc je umiarkowanie — bez domieszki wody. Toteż między we Włoszech nie widzicie pijaków, we Francji ~~[illegible]~~ — czasem, ale ~~z pewnością~~ nie było temu winno z pewnością wino, lecz te jakieś różne podejrzane alkohole, którymi pod nazwą aperitivów Francuzi teraz się raczą, jakieś ~~[illegible]~~ odurzające absynty, anyżówki, czy wprowadzone przez Amerykanów koktajle. Wino, pite przez ludzi do niego nawykłych i umiejących je cenić, nie odurza, nie ogłupia nie [illegible]a, ale lekko podnieca, ~~rozwiązuje języki~~, szybciej porusza krew, myślom każe biec chyżej i rozwiązuje języki. ~~Rozkoszuje się nim rozsądnie zmysły~~ Rozkoszuje się winem i wzrok, i powonienie, i smak, a gdy się zmysły już nim nasyciły, przychodzi refleksja, delektacja umysłowa, między jednym kieliszkiem ~~a drugim mówi~~ wina a drugim — mówi się o nim. Jakże tu porównać te sympozjony wytrawnych miłośników wina z orgiami pijaństwa u innych narodów! // Piwo rozdyma żołądek i ciało, czyni ciężkim ociężałym, a umysł jego ~~pozbawia~~ mało lotnymi ~~lotności~~. A znów ~~ani~~ araki, rumy, giny i inne wysokoprocentowe ~~alkohole~~ wódki zbyt szybko ~~pozbawiają zmysłów~~ ~~odbierają człowiekowi~~ ~~człowieczeństwo~~ odbierają człowiekowi panowanie nad sobą i, co tu ukrywać, robią go świnią. Dobre jedzenie, jeśli ta świnia od razu zwali się spać do barłogu, gorzej bywa, gdy obudzą się w niej instynkty wojownicze. Choć rosem i samo piwo do bójek sposobi, jak świadczy Kochanowski:

Kufle lecą, jako grad; a drugi już jszy,	jedzą
Wrzał kominą, aż mu na łbie zostały obrzęcy,	
Potym do arkabuzów; a cóż to bisiada?	
Jeśliście tak weseli, jakaż u was zwada?	jedzą

Chrześcijaństwo, urodzone w Palestynie a wychowane w Rzymie, ta płonka nadprzyrodzona zaszczepiona na kulturze śródziemnomorskiej, uświęca używanie wina. Pierwszy cud Chrystusa, to przemienienie wody w wino w Kanie Galilejskiej; później podczas Ostatniej Wieczerzy przemieni On wino, rozcieńczone wodą, we własną Krew. Sam Pan Jezus ~~i Apostołowie~~ bywa na ~~bywają zaproszeni na wesela, gdzie piją wino~~ ~~bywają zaproszeni na~~ ucztach, czym gorszy się obłudnie faryzeuszom, zostając go „obżerca i winopijcą" (Łuk. VII, 34). Toteż ~~św. Jan Chrzciciel o Św. Janie Ch.~~ w osobie Św. Jana Chrzciciela, Przednika nie tylko Chrystusa ale i późniejszych ascetów chrześcijańskich, podkreśla się jako osobliwość, że nie jadał chleba ani nie pijał wina. Taka sama osobliwością na tle powszechnego [illegible]

Św. Jakób Młodszy, ciotecany brat Pana Jezusa, o którym Św. Hieronim pisze, że nigdy wina nie pijał. Natomiast o powszechnym używaniu wina przez pierwszych chrześcijan wnioskujemy z I-go listu Św. Pawła do Tymoteusza (V, 23), w którym Apostoł troskliwie zaleca swemu uczniowi: „Wody jużce nie pij, ale używaj nieco wina ze względu na żołądek i częste choroby twoje".

Od tego normalnego ludzkiego trybu życia, uświęconego najwyższymi przykładami, jakże odbija obłudny purytanizm abstynentów, tak wyśmiany i wychłostany przez Dickensa w osobie Mr. Stigginsa! Krańcowi abstynenci, ~~nienawidzący wszelkich napojów fermentowanych~~ zabraniający wszelkich napojów fermentowanych, jako „alkoholowych", więcej się przyczynili do rozwoju pijaństwa, niż ludzie umiarkowanie używający wszelkich darów Bożych, czego najlepszym [illegible]atem jest prohibicja amerykańska.

Niech mi wolno będzie tę, nie powiem obronę, bo tej ono nie potrzebuje, ale pochwałę wina zakończyć własnym wierszem:

Chleb i Wino

Wiatr chyli kłosy, pije z nich rosy;
Twardnieją ziarna pszenicy;
Słońce dogrzewa, sokiem nalewa
Złote jagody winnicy.

Niebawem ziarna potrwoni ziarna,
Zmieli na mąkę dla ludzi;
Gdy tłocznia dojdzie, krew z jagód trysnie,
Wino się w soku obudzi.

Przez Ciebie, Boże, dojrzewa zboże,
Aby nie brakło nam chleba;
Za Twą przyczyną rodzi się wino,
Jakie królewski dar Nieba! //

Ojcze nasz w Niebie, prosimy Ciebie,
Daj nam dziś chleba i wina,
Za wolą Twoją niech żyjem, pijem,
Nim śmierci przyjdzie godzina.

Wina i chleba dzisiaj nam trzeba,
Dzień i na wieki niech słyną,
Bo Krwi i Ciała nadziemska Owoca
Chleb opromienia i Wino!

Pod koniec pobytu w Genewie, nie widząc możności utrzymywania się dłużej na stanowisku bezpartyjnym, zapisałem się do „Koła" narodowego. Słusznie pociada Św. Jan w Apokalipsie (III, 15-16): „bodajbyś był zimny albo gorący. Ale iżeś letni, a ani zimny ani gorący, poczną cię wyrzucać z ust moich". Na swoje usprawiedliwienie dodam, że dotychczasowe moje stanowisko nie było objawem „letniości", tylko raczej przypatrywaniem się i badaniem przed powzięciem decyzji. Zaznaczę wreszcie w tej apologii pro domo swa, że mimo przystąpienia do „Koła", na stanowisku prezesa „Bratniej Pomocy" zachowywałem ścisłą bezstronność, czym się nawet [illegible] narażałem bardziej [illegible] zapalonym członkom „Koła".

Lato spędziłem częściowo w Genewie, częściowo na wycieczkach po Szwajcarii i Sabaudii, a w jesieni 1911 r. pojechałem do Paryża.

Nie obserwatem wiele po Sorbonnie i Paryżu w ogóle dla pogłębienia wyższe wykształcenia się w psychologii eksperymentalnej. Natomiast bardzo mi pochlebiały wykłady Bergsona i Piotra Janeta w Collège de France. Bergson był wówczas u szczytu sławy i... mody. Toteż na jego wykładach było tłoczno i, chcąc z nich korzystać, trzeba było walczyć o miejsca z różnymi „précieuses ridicules", które [illegible] wahlowały to jak widowisko, niż wykład ścisłego zjawiska. Aby móc słuchać należało przyjść je zająć na poprzedzającym Bergsona wykładzie „Komplet": lepiej, jeśli tak wolno powiedzieć, z ekonomistą, profesorem Leroy-Beaulieu, który miał przedtem tak frekwencję się nie obawiał. Tłumy uchodziły, zajmowały miejsca, a same zjawiały się dopiero w ostatnim momencie przed samym przyjściem „mistrza". Mimo tej popularności, której Bergson zdawał się nie zauważać, a która musiała go razić, [illegible] nie zniżał się on bynajmniej do wątłego i opatrznego wejść tłumu i wykładał jego stały na bardzo poważnym poziomie. Tuan miał suchą szczupłą, jakby płaską, o szlachetnym semickim typie. Mówił późnym stylem, zatrzymując się często i jakby zamyślając, co [illegible] dawało słuchaczom wrażenie, że asystują przy rodzeniu się myśli. Te wykłady publiczne musiały zapewne mieć wielkiego filozofa, bo w kilka lat później opuścił katedrę w Collège de France, którą zajął po nim prof. Edward Leroy, autor książek z pogranicza teologii i filozofii.

Wykłady Janet'a były również licznie uczęszczane, ale ~~przez samych~~ tylko przez ludzi, którzy pociągał sam temat, ~~przez~~ Janet, autor klasycznych dzieł z psychologii ~~L'automatisme psychologique~~ i psychiatrii: „L'automatisme psychologique", „Les Névroses", „La médecine psychologique" itp. był, ~~nie~~ nie można, prekursorem i współczesnej psychologii behawiorystycznej i współczesnej psychoterapii. Pierwszą spłycili i sprostaczyli Amerykanie i Rosjanie, drugą znów w rękach Niemców i Żydów przekształciła się w Talmud psychoanalityczny. Janetowi na te bezdroża nie pozwalała wejść jego kultura filozoficzna i ta ~~jasność~~ francuska jasność umysłu, clarté française, tak wybitnie cechująca wszystkich francuskich. W przeciwieństwie do Bergsona Janet wykładał szybko, bez namysłu, ale doskonałym językiem, jakby czytał wydrukowaną już lekcję.

Oprócz tych wykładów w Collège de France, na które chodziłem systematycznie, bywałem jeszcze mniej regularnie na wykładach w Sorbonie psychologa Jeneya Dumasa, autora znanej książki o psychologii uczuć: „La tristesse et la joie" a później współautora i redaktora wielkich zbiorowych podręczników, czy raczej encyklopedii, psychologicznych, i ~~na~~ ~~wykładach psychiatrii z demonstracjami chorych w szpitalu Salpetrière~~ dosłownie u prof. Déjérine'a w szpitalu Salpétrière na jego wykładach psychiatrii ~~z demonstracjami~~ z pokazem chorych. Wreszcie ~~pracownia psychologiczna~~ ~~była~~ dostępna dla ~~mnie~~ stóp pracownia psychologiczna ~~i miły stosunek z profesorem~~ znalazłem dopiero w zakładzie dla obłąkanych w Villejuif pod Paryżem, ~~nie~~ wszystko stanowił długi dojazd tramwajem, ~~natomiast~~ plusem natomiast był miły stosunek z prof. Henrykiem Piéronem, wydawcą Année Psychologique. Mimo to w Genewie warunki do pracy były znacznie lepsze ~~ze~~ kontaktu z profesorem, przeciwnie Claparèdem znacznie ściślejszy, toteż postanowiłem dłużej w Paryżu nie pozostać, a wracając do kraju jeszcze o Genewie zawadzić. Pobyt ~~we Francji~~ w Paryżu spożytkowałem raczej, ~~na~~ dostosowując się do francuszczyzny i na poznawanie tego wspaniałego miasta (i jego okolic). Oczywiście chodziłem po teatrach i kabaretach, szczególnie typu: „cabaret artistique" takich, jak: La Lune Rousse, Les Noctambules, La Boîte à Fursy, gdzie bez dekoracji, przy akompaniamencie pianina, piosenkarze wykonywali różne satyryczne lub sentymentalne piosenki. Wyróżniano przy tym, czasem bardzo trafnie, różne znakomitości ze świata politycznego, literackiego i artystycznego, nie wyłączając i prezydenta Rzeczypospolitej. Doskonały był ~~stary~~ stary Dominik Bonnaud, albo Wincenty Hyspa, przypominający z wyglądu Ochorowicza, z siwą brodą, który z najpoważniejszą miną wykonywał ~~swoje~~ dowcipne czasem nieźle przyzwoite piosenki, ~~które~~ a jego południowy akcent dodawał im jeszcze wartości wdzięku. Chodziłem również ~~na~~ i na odczyty: w Paryżu

poznałem się z chemikiem Janem Bielickim, który parał się okultyzmem i szczególnie pasjonował się Sédirem (pseudonim) i jego komentatorami komentowaniem ewangelii. Mnie może bardziej interesował Papus (Dr. Gerard Encausse) teoretyk i popularyzator okultyzmu, starający się nadać mu // postać nauki, zrozumiałą dla laików. Nichlóra jego książki były mi już dawniej znane, obecnie zbliżyłem się z nim w Paryżu, aby go poznać osobiście. Był to wielki mąż i „Wielki Mistrz Zakonu Martynistów" sprawiał wrażenie dobrodusznego człowieka z odcieniem tego co Francuzi nazywają: tumiste, polskie wyrazy: błazier czy kawalarz nie oddają w zupełności treści tego pojęcia. Pamiętam, że na tym odczycie, mówiąc o zdolności ludzi pierwotnych do odczuwania zmian, umiejętności, którąśmy zatracili i poprzestający na tych kilku gatunkach zwierząt domowych, które przodkowie nam przekazali — dodał, że nie umiemy również, wzorem przodków, wytwarzać nowych gatunków czy ras za pomocą krzyżowania. Tak więc, jego zdaniem, pies jamnik (tałs) był niewątpliwie wynikiem skrzyżowania królika z krokodylem. Innego rodzaju okultysta był znów Józefin Péladan, który nosił długą czarną asyryjską brodę i również asyryjski tytuł „Sar'a". Dla tego okultyzm był raczej tematem literackim, którym otaczał swoje powieści.

Paryż tak mnie wszechstronnie pochłaniał, że nie miałem ani czasu ani ochoty na życie kolonijalne, któremu w Genewie dużo energii poświęcałem. Zapisałem się i tu do „Koła" narodowego, ale w działalności jego nie brałem udziału. Kolonia polska w Paryżu była zawsze bardzo liczna i wielowarstwowa. Najstarszą jej warstwę stanowiły rodziny emigranckie z Władysławem Mickiewiczem jako patriarchą, dalej byli tu lekarze, malarze, rzeźbiarze, studenci, robotnicy itd., gdyby kto chciał, to by mógł stale przebywać w towarzystwie rodaków. Byli tacy, tak robili i po kilkoletnim pobycie w Paryżu nie nauczyli się nawet mówić po francusku, z ogromnym krzywdą najpotrzebniejszych słów i zwrotów. Mówią o takim Polaku, że u kłótni z prawym Francuzem miał mu zaprzeć: „Nu werq ki ki: tiu że u że tiu!", co miało brzmieć niby: „Nous verrons qui qui: tu je ou je tu!" a miało znaczyć: „Zobaczymy kto kogo: ty mnie, czy ja ciebie!" Nie chcąc się upodobnić do takich rodaków, wolałem mniej przebywać w ich towarzystwie a ostrzej chwytać się dobrej francuszczyzny w rozmowie z Francuzami.

Władysława Michalskiego poznałem w Bibliotece Polskiej na Quai d'Orléans, gdzie urzędował, mając do pomocy p. Tadeusza Strzemboskiego, który ~~w ubiorze~~ wzorował się w ubiorze na archaicznych emigranckich surdutach patriarchy.

Michalski był jakby nieoficjalnym konsulem Polski, która, wykreślona z mapy Europy, nie mogła mieć swego urzędowego przedstawicielstwa. Wyraz „nationalité" oznacza po francusku właściwie: obywatelstwo, przynależność państwową, toteż w legitymacjach używanych Polakom, ~~stale~~ wypełniano rubryki „nationalité" wyrazami: Russe, Allemand czy Autrichien i trzeba było się w urzędzie ostro wykłócić, aby przy narodowości zaborczej uzyskać umieszczenie w nawiasie dopisku: „Polonais". Chcąc korzystać z Bibliothèque Nationale trzeba było mieć polecenie od swego przedstawicielstwa w Paryżu: Polakom takie polecenia wydawał W. Michalski. Pamiętam, ~~mu~~ u, gdym się u niego ~~zgłosił~~ po to zgłosił, zapytał mię, z jakich Chojeckich pochodzę, a gdym mu powiedział, że jestem stryjecznym wnukiem Edmunda, dostrzegłem jakby wyraz ~~niechęci~~ niezadowolenia na jego twarzy. A może zresztą tak mi się wydało.... Wiem, że dawne niechęci z czasów „potępieńczych zwarów" emigranckich długo przetrwały i że np. o Słowackim lepiej było nie wspominać na rue ~~Guénégaud~~ Guénégaud. Co się mnie tyczy, to później, w latach 1925–1926, bywałem tam na powiedziałkach i mimo kompromitującego pokrewieństwa byłem życzliwie przyjmowany.

Z Paryża przez Genewę, gdzie jakiś czas zabawiłem, wróciłem do Krakowa i próbowałem, czy nie uda mi się tam osiąść. Mógłbym dość łatwo habilitować się na docenta, ale utrzymać się z tego nie sposób, a na zdobycie jakiegoś chlebodajnego zajęcia widoków nie było. ~~Trzeba więc~~ ~~było~~ Postanowiłem więc ~~pewne~~ na jesień pojechać do Warszawy i tam postarać się o lekcje w szkołach prywatnych, a przedtem wypocząć: wakacje w Nasolicach przy stacji ~~kolejowej~~ swoją [illegible]

Przy powrocie

Powrót do zaboru rosyjskiego miałem charakterystyczną przygodę, o której chcę tu wspomnieć. Wyjechałem były do Krakowa w 1905 r. za legalnym paszportem, kosztującym 25 rubli, co w owym czasie było kupą grosza. Toteż za każdą jardę na wakacje nie wyrabiałem nowego paszportu, a jeździłem za cudzym, autentycznym od kogoś ze znajomych Krakowian tamtejszym pochodzeniem, oczywiście odjęć ze paszportem ale to to zelewie parę koron kosztowało, a znów za moim rosyjskim kleś inny do zaboru rosyjskiego wrócił. Ale teraz, wracając już na dobre, z kuferem pełnym książek, z dyplomem doktora filozofii na pergaminie w skórzanej rurze metalowej, nie chciałem ryzykować jazdy za cudzym paszport. Zameldowałem więc żandarmerii na granicy w Wołoczyskach, że jadę bez paszportu zgubiłem i chcę wrócić na ojczyzny łono bez paszportu, co zostało przyjęte do wiadomości, zaprotokołowane; & winowajca, t.zn. ja, zostałem oddany w ręce policji miejscowej, a na razie, bo już noc zapadała, wsadzony dla bezpieczeństwa do kozy. Na szczęście chlewik była pusta i bez uciążliwego towarzystwa mogłem noc na pryczy spędzić. Nazajutrz odstawiono mnie do miejscowego „prystawa", przed którym znów całkiem szczerze ułożyłem wszystkie okoliczności, mego nielegalnego powrotu. Ów prystaw, nazwiska p. Boruchi, z pochodzenia Polak, zachował się nader przyzwoicie, za co mu na tym miejscu serdeczne dziękuję. Wytłumaczył mi, że w myśl obowiązujących go przepisów musiałby mnie odesłać „etapem" do miejsca mego zamieszkania, a więc do Warszawy albo do Wilna do Nosowiec — taka podróż mogłaby potrwać ze dwa miesiące w najokropniejszych warunkach, ale, jeżeli mam kogoś w Wołoczyskach, kto by mógł za mnie poręczyć, to puścić mię wolno. Sam mi doradził udać się do proboszcza albo do doktora // Dowiedziawszy się, że doktor nazywa się Hlasko, postanowiłem pójść do niego, ile że znał pewnego Hlaski w Żytomierzu, który mógł być jego krewnym. Maszerując więc w asyście policjanta do doktora i tłumacząc mu po francusku, o co chodzi. Okazało się, że mój Hlasko z Żytomierza był doktora bratem i doktor bez długich ceregieli zaręczył za mnie, jako jestem lojalnym obywatelem i dobrym jego znajomym. Odprowadzony z takim „świadectwem charakteru" do prystawa, zostałem natychmiast wypuszczony na wolność i już w charakterze znajomego zaproszony na obiad.

Tylko ~~papiery~~ moje dokumenty zostały przesłane drogą urzędową do policji w Hajsynie, która miała mi wytoczyć sprawę o nielegalne przekroczenie granicy, ale tutaj znów odpowiednio zaaplikowana przez moją łapówka sprawę umorzyła i mogłem spędzić ~~spokojnie~~ wakacje spokojnie, bo już więzienie przestało mi grozić. Takie to były idylliczne stosunki w tej Rosji carskiej!

Opisane tutaj ~~intermezzo~~ dwuletnie „intermezzo zagraniczne" zamyka pewną epokę w moim życiu: ~~kładzie kres i~~ ~~studenckim~~ kończą się ~~i~~ groźki studenckie a zaczyna praca zarobkowa. ~~Otwiera~~ ~~nowy rozdział~~ Tamte nowe okresy życia

Rozdział IV

Powrót do Łodzi

Po ostatnich wakacjach studenckich przydługiego już studiowania pojechałem w końcu lata 1912 do Warszawy „cudze dzieci nęcić", bez wielkiego zapału do tego zajęcia. Podczas prawie siedmioletniej mojej nieobecności Warszawa zmieniła się nie do poznania. Rozrosła się, rozrosła, zaludniła się, ale najbardziej zmianę w jej wyglądzie wywołała elektryczność. Zamiast smętnego gazu jarzyły się żarówki elektryczne i gdzieniegdzie wielkie lampy łukowe, a zamiast powolnych wagoników konnych po liniach tramwajowych mknęły nowe „prosto z igły" wagony elektryczne. W domach, niekiedy aż sześciopiętrowych, działały windy, a telefony, niegdyś tak rzadkie i marne, znalazły teraz niemal w każdym przyzwoitszym mieszkaniu.

Wynająłem sobie, jak dziś pamiętam, „pokój przy familii" na V piętrze wielkiego nowoczesnego domu przy ul. Wspólnej Nr 3a, a okno moje wychodziło na tarasy, ograniczone z drugiej strony ul. Hożą a z trzeciej placem Trzech Krzyży. Do wyższych mojego piętra zalatywał tylko przytłumiony gwar przekupek, zapachów nie czułem, rozdrażały się za to oczy widokiem szkarłatnych pomidorów, zielonych ogórków i ciemno-purpurowej Kapusty, spiętrzonych na leżącej warzywnej Piazza dell'Erbe. Po roku przeprowadziłem się na subnajemcę do Kazimiera Słotyskiego, podówczas żonatego z moją rodzoną siostrą Bronisławą, i zamieszkałem z nimi na ul. Dworskiej 11 m. 34. Po wyprowadzeniu się Słotyskiego z tego mieszkania objąłem je jako główny lokator i dotychczas w nim siedzę, a więc przeszło 30 lat na jednym miejscu, czym mało który warszawiak może się pochwalić pozazdrościć.

Zamierzałem dawać lekcje w szkołach prywatnych, a nie wiedziałem tego pod wpływem, że [illegible] jarmark nauczycielski odbywa się na wiosnę. Toteż po otwarciu roku szkolnego byłem przez pewien czas bez roboty i dopiero później dostałem lekcje polskiego w szkole Rontalera w zastępstwie chorego Mirosława Kryńskiego. Profesora Adama Antoniego Kryńskiego znałem już od dość dawna, syn jego Mirosław zdolny, inteligentny i zgupawiały młodzieniec dokonał się zapowiadał i zresztą sławnej ojca, niestety zbyt młodo umarł, aby dać pełną miarę swego talentu. Po tym debiucie sprawy potoczyły dość gładko i na brak lekcji narzekać nie mogłem. Oprócz polskiego dawałem jeszcze łacinę i tak zwaną propedeutykę filozoficzną, to znaczy początki psychologii i logiki, w szkołach: kreczmara, imienia Mikołaja Reja, Szczawińskiej-Gacerińskiej, Konopczyńskiego i Hewelkówny. Z kolegów nauczycieli, którzy bardzo wielu w tym czasie pomarłem, [illegible] wspomnę tu

(z wielu zalet [illegible] zwarłem bliższą znajomość:

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

WARSZAWA, DN. . . . . 19 . . R.

U W A G A:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/.....

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

sympatycznego klasyka, Michała Krecmara; matematyka, Zygmunta Szczawińskiego, ~~pełnego humoru~~ starego mego kolegę z gimnazjum, doskonałego organizatora wycieczek szkolnych, które z humorem prowadził; historyka Adama Szpadkowskiego, starego już wiekiem ale młodego duchem, ~~i wytrwałego~~ oraz ~~dziennikarza~~ Łacinnika, Karola Dąbrowskiego, z którym ~~zdawałem egzamin w Krakowie~~. Chodziliśmy w Krakowie na wykłady ~~prof~~. Rozwadowskiego. Uczniując się na tym profesorze, Dąbrowski zbliżył się na użytecznego dziennikarza i był ~~nim~~ w rzeczywistości. Szkoła, miłośnik muzyki, inteligentny, zrównoważony, ~~wesoły~~ przy tym koledze, Dąbrowski miał dużo zalet i ~~dodawał mi~~ jego towarzystwo sprawiało mi zawsze ~~przyjemność~~. ~~Nie~~ Na ogół obcowanie z tak wesołym „ciałem pedagogicznym" było dla mnie mało pociągające. Większość nauczycieli byli to ludzie ~~zamożni~~, ~~zamożni~~, zalatani z jednej szkoły do drugiej, zamęczeni pracą, obarczeni rodzinami, które trzeba było jakoś żywić i ubierać. Trudno było wymagać od nich, aby ~~mieli czasu pojęcia~~ mieli jakieś inne zainteresowania ~~poza~~ oprócz zawodowych, dobrze jeśli umieli utrzymywać się na wymaganym od nauczyciela poziomie. Niektórzy byli niemożnie zarozumiali ~~w~~ i apodyktyczni: (tłumaczy się tym), że, przebywając tyle godzin dziennie w klasach szkolnych, gdzie ~~wśród~~ nauczyciel jest jedyny „mądry" i z góry traktuje orzeźwiskiem „osłów", ~~musiał~~ ~~by~~ ~~musiał~~ ~~tę swoją postawę~~ ~~na swój stosunek do otoczenia na zewnątrz~~ ~~lubić~~ (ten swój stosunek do otoczenia przenosą następnie) na wszystkich ~~bliźnich~~ i życie. Żeby być naprawdę dobrym nauczycielem, trzeba mieć do tego powołanie jak do stanu duchownego; jest to oczywiście dość nadmierne i większość nauczycieli to albo automaty albo dyletanci. Do tej drugiej kategorii należałem i ja. Temu amatorskiemu pedagogicznemu zapałowi sprzyjała wiosna szkolnictwa polskiego, w której ani programy ani podręczniki nie były jeszcze ustalone i gdzie nauczyciel mógł pofolgować swemu duchowi inicjatywy.

Ze stanowiska ucznia nauczyciele dzielą się znów inaczej: ~~na takich~~ ~~którzy się boją~~, albo się ich boją, albo nie boją. Mnie się oczywiście nie bali, co mi za dobrze dawało we znaki szczególnie w niższych klasach. ~~Najgorzej było~~ Doskonale rozumiem, że ~~trudno~~ w trzynastoletniego „rezusia" wzbudzić zapał do ~~zainteresować~~ gramatyki łacińskiej, że nadmiar jego energii, skrępowanej przymusowym siedzeniem na ławce, musi znaleźć ujście w prawdziwie małpich figlach ✱, ale mimo to trzeba przecież nauczyć go choć minimum tej łaciny: stąd konflikt między szczerymi interesami ~~nauczyciela i ucznia~~. ucznia a nauczyciela, który musi co najmniej dwie trzecie swej uwagi poświęcać pilnowaniu porządku w klasie a zaledwie jedną trzecią — ~~głównemu~~ nauczanemu przedmiotowi. W starszych klasach było ~~znacznie przyjemniej~~ inaczej: dorastające chłopaki znacznie przyjemniej, szczególnie na lekcjach ~~psychologii~~ psychologii i logiki. W szkołach żeńskich również nie miałem kłopotu z utrzymywaniem porządku i lekcje literatury były tam zupełnie miłe. ~~Dość dużo~~

Dość dużo tej młodzieży przeszło przez moje ręce, dziś jeszcze kłaniają mi się czasem na ulicy moi dawni uczniowie, ale zaledwie kilku zostało głębiej w mej pamięci, albo ~~głębiej niż ogół~~ ~~zostało~~ ~~dzięki czemu~~ ~~wyraźniej~~

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

WARSZAWA, DN. ..... 19..r.

U W A G A :

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/.....

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

wybiło się ponad zwykły poziom; do tych zaliczam: p. Jana Żabińskiego, późniejszego dyrektora Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego, p. Marię Wiśniewską, zamężną Telichowską, której dla jej użytecznych zdolności Uniwersytet Warszawski, mimo braku matury, udzielił doktoratu filozofii za pracę z dziedziny geologii i p. Janka Serafinowicza, który później zostawał jako poeta Lechoń.

Najbardziej przyjazne stosunki utrzymywałem ze szkołą p. Szumowskiej-Gacewiczowej, zarówno z personelem nauczycielskim jak i z uczennicami. Od czasu do czasu za przewodem Kolegi Krawczyńskiego chadzaliśmy na wycieczki krajoznawcze, zakończone wieczorkami i śpiewu. Najwięksą i najciekawą z nich zwróciliśmy z końcem roku szkolnego 1913/14 w Góry Świętokrzyskie: Koleją do Kielc, którędy wiedli wraz z najbliższą okolicą, narzuciły nam do podnóża gór; pięknie rozrzucone pasma górskie w Św. Katarzyny do Św. Katarzyny, dalej przez Nową Słupię, Opatów, do Sandomierza, skąd, po przenocowaniu, statkiem do Puław i z powrotem koleją do Warszawy. Po nieznośnej monotonii równiny mazowieckiej falistość Małopolski była prawdziwym odpoczynkiem dla moich oczu i duszy, a Góry Świętokrzyskie z tą „Puszczą Jodłową", którą tak pięknie opisał później Żeromski, nawet po Tatrach i Alpach zrobiły na mnie olbrzymie wrażenie. A znów okolice Opatowa i Sandomierza z tą bielejącą, żyzną, loessową równiną, porytą wąwozami, i wyglądem, i bogactwem gleby, przypominały mi tak dobrze znane Podole. Wszędzie zaś po drodze, czy to w Kielcach, czy w Sandomierzu, czy w Puławach spotykaliśmy imponujące zabytki, które, mówiąc nam o wspaniałej przeszłości Polski, jednocześnie szeptały: Fortuna variabilis, Deus admirabilis, albo znów słowami Kochanowskiego:

Nie gromadź nadzieje,
Jakoć się kolwiek dzieje,
Bo nie już słońce ostatnie*) zachodzi,
A po tej chmurze piękny dzień przychodzi.

Dodajmy do tego moje 34 lata, gromadkę dorastających panienek, z których kilka było bardzo miłych, pogodne lato, zapachy jodeł i traw: wszystko to złożyło się na przemianę symfonię wrażeń, którą dziś po 30 latach z rozrzewnieniem sobie przypominam. ⊕ (illegible) ×

Dzisiaj otwarcie, że w pracy pedagogicznej nie widziałem całej duszy — ba, nawet jej ćwierci. Jak zawsze interesowała mię literatura, sztuki piękne, próbowałem sam pisać wiersze, niektóre z tego okresu weszły później do pierwszego tomiku, wydanego już w 1933 r. Obok tego starałem się nie tracić kontaktu z nauką: zapisałem się na członka Towarzystwa Psychologicznego. Miało ono swój lokal w jednopiętrowej oficynie domu Nr 44 przy ul. Pięknej (obecnie Piusa XI), gdzie zarazem była redakcja „Przeglądu Filozoficznego" i mieszkanie jego redaktora Władysława Weryho, z którym zbliżyłem się i którego bardzo polubiłem. Ceniłem jego wytrawny sąd o ludziach, jego spokojny dowcip i dobroć niezgłębionego serca uczniowskiego. Weryho, oprócz pracy doktorskiej: „Karl Marx als Philosoph" (Karol Marx jako filozof), i przyczynków do monografii białostockiej, drukowanych w „Wiśle" (nic z tego się, niestety, nie zdążyło), nie miał on ambicji literackich i naukowych, ale był świetnym organizatorem: umiał skupić wokół siebie ludzi pracujących nad filozofią: psychologią. Dzięki Weryżę i Tow. Psychologicznemu pomogłem wielu uczonych i naukowców warszawskich, o których tu gdzieś wspomnę.

*) ostatni raz

⊕ Zmarł Weryho ano w 1960 r. Odszyfrowałem I Zjazd Polskich Neurologów, Psychiatrów i Psychologów, który się odbył w Warszawie w 1905 r., postanowił założyć przy nim Pracownię Psychologiczną, a dzieło to skutkiem tego w 1910 r. dzięki pomocy finansowej p. Józefy Tuhanowskiej i p. Wiktora Skarżyńskiego, w 1912 r. Pracownia przekształciła się w samodzielny Instytut Psychologiczny, a nie wszyscy uczestnicy Zjazdu duchowni i przełożony z Tow. Psychologicznym, Niestety nie inwestuje

Zakł. G. M. 127 (62) 5000. 4.39

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

WARSZAWA, DN. ..... 19. ... .. r.

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/.....

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

Na pierwszym miejscu, „z wielu mu i z urzędu tej zasługi należy", wymienić wypada Juliana Ochorowicza, Nestora psychologów polskich. Od pierwszej swej książki p.t. „Jak należy badać duszę, czyli o metodzie badań psychologicznych" z r. 1869, aż do „Pierwszych Zasad Psychologii", wydanych w r. 1916, Ochorowicz nie przestawał uprawiać psychologii, interesując się szczególnie mniej zbadanymi jej objawami. Telepatii poświęcił dzieło francuskie p.t. „De la suggestion mentale" (1887), w „Dictionnaire de Physiologie", wydawanym przez Karola Richeta, umieścił dłuższy artykuł o hipnotyzmie, poczytując go zasługa zjawisk mediumicznych, które badał eksperymentalnie przy pomocy takich mediów jak Eusapia Palladino i Stanisława Tomczykówna i którym poświęcił pracę ogłoszoną w „Bibliotece Dzieł Wyborowych". Lekarze zarzucali mu, że, nie mając po temu uprawnień (Ochorowicz był przyrodnikiem i miał dyplom doktora, ale nie medycyny tylko filozofii), leczy chorych sugestią, hipnotyzmem, „magnetyzmem" i metaloterapią, raziło ich jego pionierstwo i lekceważenie wielkiej rutyny. Miano mu również za złe zajmowanie się mediumizmem, słowem szkalowano go i utrudniano mu życie na rozmaite sposoby. To sprawiało, że Ochorowicz pod koniec życia był dość zgryziony i odnosił się do ludzi nieufnie. Uznając jego wielkie zasługi naukowe, niedocenione lub pomijane przez zawistnych, starałem się przy każdej nadającej się do tego sposobności wystąpować w jego obronie. Był on jakiś czas docentem psychologii i filozofii przyrody na Uniwersytecie Lwowskim; wiadomem, że na odnowionym w r. 1915 Uniwersytecie Warszawskim stolicę tę należy Katedrę psychologii. Jednakowoż otrzymał ją najpierw Abramowski, a po śmierci tego — prof. Władysław Witwicki... Dzieła Ochorowicza odznaczały się czystą polszczyzną oraz jasnym i jędrnym wyrażaniem myśli, czym górował nad wielu młodszymi uczonymi. Pochodził z tej samej generacji, co Henryk Struve, Prus, Świętochowski i Dygasiński, której „pozytywizm" nie wpajał uczuć, a nauczał myśleć logicznie i pisać zrozumiale. Nie dorównywając talentem pisarskim swym wielkim rówieśnikom, Ochorowicz i w literaturze pięknej zdołał po sobie pamięć jako Julian Mohort. Głośne były w swoim czasie jego „Listy do przyszłej narzeczonej" (pierwsze wydanie 1876 r.) i słynny programowy wiersz „Naprzód": (taka) Pozytywistyczna „Oda do Młodości".

Dr Rafał Radwańska, żonaty z siostrą Wiktora, Marią, cenioną autorką książek dla dzieci, był znanym psychiatrą, ale zajmował się również i psychologią normalną, której poświęcił książkę p.t. „Podstawy psychologii w zarysie" Towarzyski, ugodowy, po staroświecku normowali dla dam. Radwańska był przy tym wielkim Mistrzem Wielkiej Loży Polskiej „Polacy Zjednoczeni". Od niego to Żeromski, jego zwaśniony, zaczerpnął wiadomości o wolnomularstwie polskim, które umieścił w „Popiołach".

Marian Massonius zewnętrznym wyglądem przypominał niemieckich profesorów starej daty, nosił dużą brodę i pochłaniał duże ilości piwa. Odznaczał się wielką erudycją i logicznym wyćwiczeniem myśli, które wyrażał jasno i dobrą polszczyzną.

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

WARSZAWA, DN. ... . 19. ... . R.

UWAGA:
WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..... ..

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

Z młodych filozofów już wtedy dziecinie się zapowiadali późniejsi profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego: Tadeusz Kotarbiński i Władysław Tatarkiewicz.

Pierwszy — syn malana, Miłosza, a bratanek literata i autora, Józefa, — z wysoce utalentowanej rodziny pochodzący, sam wybitnie zdolny, poświęcał się badaniom z zakresu teorii poznania i logiki, co go wreszcie doprowadziło do logiki symbolicznej, czyli t.zw. logistyki. Oprócz tego pociągały go zagadnienia moralne. Pozytywizmu nie uważał ogłaszanym za metodę badania naukowego, ale uczynił go swoim poglądem na świat, skąd też pochodziła jego antymetafizyczna a, co za tym idzie, i antyreligijna postawa wobec życia. Nie sądzę, aby to wynikało z jakiejś wrodzonej „ślepoty" duchowej, sądzę, że winno tu raczej wychowanie i otoczenie. Dobry, szlachetny, uczynny, Kotarbiński należy niewątpliwie do „duszy" Kościoła a ze wszech miar zasługuje na uczestnictwo w jego „ciele". Całym sercem mu tego życzę i mimo różnicy przekonań, która nas dzieli, mam dla niego wiele szacunku i przyjaźni.

Z wyglądu: szczupły, ruchowy, wyraźnych i regularnych rysów twarzy, i pięknego sarmackiego wąsa, Kotarbiński był podobny do Weryhy a obaj znów przypominali Nietzschego (który się przecież z Nickich wywodził.) Tak to rasa i inteligencja odbiły wspólne piętno na tych trzech filozofach!

Tatarkiewicza popychały upodobania do estetyki, historii filozofii i historii sztuki. Owocem tych zainteresowań były prace: „O bezwzględności dobra", „Pojęcie szczęścia", „Pięć studiów o Zeleńskim", „Rzeźby arcybiskupa Stanisława Augusta"

i wreszcie, wydana w roku [illegible] dwutomowa „Historia filozofii", jędrna, treściwa, jasnym i barwnym stylem pisana, i ozdobiona portretami filozofów, doskonale dobranymi przez autora. O tym dziele napisałem recenzję w „Kurjerze Warszawskim". Przystojny brunet, elegancki, wytworny prof. Tatarkiewicz był ideałem wszystkich studentek, a u studentów cieszył się sympatią i uznaniem. Moja znajomość z nim, zawarta przed pierwszą Wielką Wojną, przetrwała już próby czasu i przekształciła się w przyjaźń, która go dziś dzieli nas. Obecnie, w pięknych pichcikowym kolei drugiej Wielkiej Wojny, przy której pierwsza wydaje się idyllą, pan Władysław pracuje nad nowym dziełem „O szczęściu". Bodaj to filozof, co wie żyć w świecie idealnym, nie dbając o otaczającą go nagą rzeczywistość!

Oprócz wymienionych miejscowych Tow. Psychologiczne Ossolineum i gości zza kordonu wg. prof. Jana Łukasiewicza i Władysława Witwickiego ze Lwowa oraz wychowanej uczennicy filozofów polskich prof. Kazimiera Twardowskiego, autora m.i. doskonałej rozprawy: „O wyobrażeniach i pojęciach" i „O czynnościach i wytworach". Łukasiewicz pracował nad logiką, Witwicki zaś obok psychologii zajmował się tłumaczeniem Platona na język lwowski, a mając przy tym dobrego malarskiego ilustrował swoje przekłady trafnymi rysunkami.

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

WARSZAWA, DN. ... 19 .. . R.

U W A G A :

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..... ...

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

Ci filozofowie oraz inni, z zaboru austriackiego przyjeżdżający, ranili mi zawsze pewnymi słowami powracającymi w ich mowie germanizmami. Wyraźnie podkreślam, że chodzi mi o wyraźnie germanizmy, a nie o właściwości dzielnicowe właściwości językowe, o różne prowincjonalizmy, które tak przyjemnie zabarwiają styl pisania czy mówienia i które bardzo cenię i lubię tak samo, jak i różne akcenty prowincjonalne. Ale ci nasi zachodni rodacy prawie „ubierali" kapelusze i palta zamiast wkładać, mówili: „sensacja" „ofenzywa" „konsul" zamiast „w" tym, nie tylko używali, ale i nadużywali wyrazu „względnie" w znaczeniu spójnika, a, co już najgorsze, stale stosowali w zdaniu niemiecki szyk wyrazów. W naszej mowie kładziemy na początku słowo, które chcemy podkreślić, położyć na nim nacisk — stąd porządek wyrazów w zdaniu zależy w tym wielkim stopniu od naszej myślowej czy emocjonalnej. Inaczej u Niemców: tam istnieją sztywne przepisy regulujące tę kolejność. Zdanie zaczyna się od podmiotu, po nim idzie orzeczenie dopełnienie, nieraz jednak na początku zdania stoi inny jakiś wyraz niż podmiot, to po nim musi pójść orzeczenie a podmiot dopiero później. Przykład, wzięty z niby-polskiego dziennika, wychodzącego w Warszawie w r. 1943, najlepiej to wyjaśni. Czytamy tam np.: „Prowadzi walki ruchowe, udaremniły odwrót naszych zawarły nie przyjaciela". W normalnej polszczyźnie brzmiałoby to: „Prowadzi walki ruchowe, nasze oddziały udaremniły zawarły nieprzyjaciela". Obok takich przestawień podmiotu i orzeczenia było stale praktykowane przez rodaków z zaboru austriackiego i prawie, co jednego o szkodliwości wpływu języka niemieckiego na polski.

Z dalszych stron, wyjętych z Fryburga wiadomy więzień przez Józefa Lisowskiego, który tam na Uniwersytecie Katolickim wykładał teologię. Wydał on cieszący się „O metodach statystycznych w fizyce", gdzie w pogłębiony sposób przedstawił nowe teorie fizyczne.

Uderzająca była liczba wielka liczba Żydów wśród psychologów, psychiatrów i filozofów. Wielu z nich przeniosło się przez Tow. Psychologiczne: chcę im tu kilka słów poświęcić. Wybitnym psychologiem, obdarzonym dużym zasobem wiedzy był Jakub Segal; Adam Cygielstrejch, uczeń Abramowskiego, rozwijał jego poglądy i eksperymentował nad jego pomysłami, przyjmując in verba magistri. Z dwóch braci Bornsteinów jeden uprawiał psychiatrię i propagował teorie Freuda, drugi pracował nad filozofią. Inteligenty i zyskujący dr. Sterling obok psychiatrii zajmował się psychologią normalną i pedagogiczną. Ignacy Halpern, który zmienił później nazwisko na: Myślicki (złośliwi pytali: niemu rocznej nie: Cytalski?) poświęcał się studiom nad wielkim rodakiem, Spinozą, którego dzieła na polski przetłumaczył.

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

WARSZAWA, DN. .... 19. .. .... R.

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..... .. .

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

Opinia [illegible] odczytów

Istniejący w Warszawie t.zw. „uniwersytet latający" czy też „podziemny" po r. 1905 przekształcił się w legalnie funkcjonujące Towarzystwo Kursów Naukowych. Hr. Józef Potocki, właściciel Antonin na Wołyniu i wspaniałego pałacu w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu, podarował T-wu duży dom przy ul. Kalikst 8 (dzisiaj: Świadectwa) i tam odbywały się wykłady, stojące prawie na poziomie uniwersyteckim. Na wydziale humanistycznym psychologię wykładał prof. Jakub Segal, zwróciłem się zatem do wydziału przyrodniczego z podaniem o zaliczenie mnie do grona wykładających. Zostałem poparty przez prof. Mariana Massonius i Władysława Mieczysława Kozłowskiego. Ten ostatni, botanik i filozof, wiedział coś o rodzaju egzaminu habilitacyjnego, po czym zostałem mianowany docentem i mogłem ogłosić wykłady psychologii. Było to dla mnie dodatkową szkołą, gdyż, przygotowując się do wykładów, musiałem odświeżać i pogłębiać swoje wiadomości. Jednocześnie nie zaniedbywałem i pracy eksperymentalnej w Instytucie Psychologicznym, którego kierownictwo spoczywało w rękach prof. Abramowskiego (Eduarda), po jego powrocie z zagranicy. Do badań, jako „doświadczalnej" (wg wybornie ukutego terminu prof. Kalpenia) służyli mi moi studenci i znajomi, tak że na brak ochotników narzekać nie mogłem. W rezultacie ogłosiłem pracę p.t. „O wpływie woli na zmiany uwagi" ogłoszoną później w „Pracach z Psychologii Doświadczalnej", wydawanych przez Abramowskiego z zapomogi Kasy Mianowskiego.

Profesor Abramowski miał wielki talent zdobywania środków zarówno na Instytut Psychologiczny i na wydawanie w nim prac, jak i na własne potrzeby, wiedząc, że [illegible] że słusznie mu się to należy, gdyż bez niego Instytut byłby tylko ciałem bez duszy. Do głównych fundatorów Instytutu byli wspomniani już wyżej: p. Józefa Tuhanowska z michalinowskich Tuhanowicz i p. Wiktor Skibniewski z Hołozubowicz [illegible]. Tego zamożnego obywatela z Podola [illegible] o kierunku psychologii i przez pewien czas wtajemniczałem go w arcana tej wiedzy. Za [illegible] [illegible] popieranie nauki Instytut wyróżnił im tytułem członków honorowych i dożywotnich dyplomów, później przez Półtawskiego wykaligrafowanych na pergaminie dyplomów wykaligrafowanych. Byli jeszcze i inni, którzy wspierali [illegible] dorywczo kasę Instytutu, lecz samego Abramowskiego, ale stałym źródłem zapomóg, [illegible] była Kasa Mianowskiego. Wyręczając Abramowskiego, którego zdrowie często [illegible], załatwiałem [illegible] razem z Kasą te sprawy finansowe i pomagałem się przy tej okazji z p. Stanisławem Michalskim, o którym już w tych pamiętnikach wspominałem.

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

WARSZAWA, DN. ... . 19. . ... R.

U W A G A :

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/.....

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

Pan Stanisław Michalski był jednym z tych skromnych pracowników, którzy w Polsce ~~zniepodległej~~ powściągliwej zostawali nie szukając urzędy państwowe. Pracował zawodowo jako inżynier na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, ale tekę, w której nosił wykresy czy obliczenia kolejowe, (Pocztowa ta Kolej Wiedeńska!) była zarazem teką Polskiego Ministra Oświaty! (Żeby to w owym czasie społecznikom, literatom i artystom dawano żyć i pracować, ~~pomimo Kolei Wiedeńskiej~~ !, za to wspomnę tylko ~~kogo~~ Juliana Adolfa Świętochowskiego, który swoje liche tomy historii literatury powszechnej po biurze kolejowym płodził i ~~te~~ Reymonta! Ale ~~wracajmy~~ wróćmy do Michalskiego. Wobec braku szkół polskich w zaborze wydział on niebydłe umpełnienie wykształcenia i już w 1895 r. wespół z Aleksandrem Heflichem podjął wydawanie „Poradnika dla Samouków", do którego artykułów i recenzji dostarczyli najwybitniejsi ówcześni uczeni polscy. Za Poradnikiem poszedł „Świat i Człowiek", ogłaszani coprawda jednostronnie, bo ze stanowiska teorii ewolucyjnej, dalej „Dzieje Myśli", poświęcone rozwojowi nauki o świecie, nowe wydanie, zupełnie przerobione „Poradnika dla Samouków", wreszcie w 1918 r. ~~te~~ „Nauka Polska" ~~poświęcone~~, wydawnictwo poświęcone nauce i kontynuowane aż do wybuchu II-ej Wielkiej Wojny Światowej. ~~Sam~~ Stanisław Michalski był, (podobnie do Wiktyny, przez cały czas) organizatorem, chyba ukrytym w cieniu, ~~który był "szarą eminencją" nie szukał zaszczytów~~ nie dbał o rozgłos, mogąc być purpuratem, wolał ~~tandetę~~ odgrywać (bardziej ugodową) rolę „szarej eminencji" — ~~był~~ mniej on nałóg konspiracji, wyuczonym z podziemnej po dziś dzisiejszy. socjalistycznej praktyki, który pielęgnował u niego w ostatniej postaci aż ~~po dzisiejszy~~. Sam napisał niewiele i to jedynie w naszym i ukochanym przez siebie naukowym ~~organie~~ ~~wydawnictwie~~ ~~spółce~~ ~~pracy~~: „Biblioteka Bodleyańska w Oksfordzie z dokładnym jednakże bytności rękopisów polskich", „Drukarnia Biblioteki Kolejowej", „Popularyzacja Nauki i Samouctwo" (w I. wyd. Poradnika dla Samouków). ~~W kasie~~ ~~Stanisława Michalskiego był "spiritus movens"~~ Jeśli Michalski był nieoficjalnym ministrem oświaty ~~w~~ w Polsce, to Kasa im. Mianowskiego, ~~był~~ której był „spiritus movens", sterczyła za ministerium, ~~to~~ które nic o tym dotychczas, że w niepodległej już Polsce w r. 1931 obchodzimy ten wreszcie jej ~~50~~ lecie! Mimo swej przeszłości rewolucyjnej p. Stanisław był ~~pozorny~~ ~~patriotą~~ polskim i choć nigdy sympatie rozpięty go na lewo, to przecież ~~z narodowcami~~ narodowcy mógł z nim zawsze dojść do ~~porozumienia~~ Ładu na gruncie dobra ~~ojczyzny~~ Ojczyzny. ~~W~~ Niepodległą Polskę oceniając jego zasługi na polu oświaty ~~mianował~~, uczynił go dyrektorem Funduszu Kultury Narodowej, ~~mającego~~ mającego za zadanie rozpowszechniać ~~w~~ pomoc oświaty i nauki, nie uchodząc o zakres normalnego działania Ministerium Wyznań i Oświaty. Na tym stanowisku p. Michalski zdołał zebrać wszystkie społeczeństwa z wyjątkiem Żydów, którym, dawniej, pomagał przy rozdawaniu stypendiów i zapomóg.

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

WARSZAWA, DN. ..... 19... R.

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/.....

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

do
Co mnie, to mimo piętna „endeka" zdobyć jak mu się udaje, przyjąć sympatię Pana Stanisława, może się do tego przyczynił i wspólne wspomnienia wołyńskie; sam Stanisław bardzo polubiłem tego zacnego człowieka, a dalsze lata to przyjaźń pogłębiły. ~~Do tego zdobył ducha~~ ~~tych pana Stanisława~~ Zaletą umysłowe Pana Stanisława łączyły się z pogodnym usposobieniem i pięknym ~~typowo~~ typowo polskim usposobieniem: wbrew ~~mu~~ modnie ~~niewiary~~ zaciekającej wszelkiej ~~cechy charakteru~~ odrębności, nosił on zawsze wiary, dziś już siwe, które wrócą z nową energią zdobyły mu twarz o rumianej prawie cerze.

Kiedy w lecie 1914r. gruchnęła wiadomość o zabójstwie arc. Ferdynanda w Serajewie, mało chyba kto przewidywał, że może to zapoczątkować długotrwałą wojnę europejską. W sierpniu tych lat właśnie miał się odbyć w Bernie międzynarodowy Kongres Psychologiczny i ja miałem wybrać się jako delegat ~~Towarzystwa Psychologicznego~~ Instytutu Psychologicznego. Tymczasem pojechałem ~~do Jabłonowa~~ do Nosowic na wakacje. Nie były one jak dotychczas tym wypoczynkiem dla ducha i ciała jak dotychczas, bo chmury gromadziły się nad Europą a wyraźna nić między Austrią a Serbią wzmogła tylko napięcie elektryczności. Wreszcie po ~~strzale [illegible]~~ „uzbrajającej" odezwie starego Franciszka Józefa „do moich ludów" strzelił grom: Austria wypowiedziała wojnę Serbii, po czym wypadki potoczyły się z konsekwencją lawiny: Rosja wystąpiła w obronie Serbii, Niemcy poparły Austrię, Francja Rosję, Niemcy zgwałciły neutralność Belgii, chcąc ~~[illegible]~~ w ten sposób uderzyć Francję w najmniej bronionej stronę i wreszcie, jako gwarantka neutralności Belgii, wystąpiła Wielka Brytania wbrew oczekiwaniu Niemiec. Na Podolu sądzono, że wojna rosyjsko-niemiecka toczyć się będzie na ziemiach polskich: w Królestwie, w Poznańskiem, czy w Prusach Wschodnich, a „podolskie wieś spokojna" nadal spokojnie pomiatała. Nawiązano też nić, abym ~~mógł~~ w Nosowicach przeczekał spokojnie ~~całą~~ wojnę, która przecież nie może trwać dłużej niż kilka miesięcy. Jednakowoż wiedziałem, że skoro nadeszła ta „wojna narodów", o której mówił się w Lucernie, skoro losy Polski się ważą, to powinienem być raczej w Warszawie i tam brać jeśli nie czynny, to choć bierny, udział w wypadkach, niż ~~[illegible]~~ przyczaić się w nim jak ucz z wygodnej i zacisznej kryjówki. ~~[illegible]~~ Że Polska może wygrać na tej kłótni między trzema jej opiekunami, to nie należało zabezpieczyć i już zaczęły się targi o naszą przychylność. Niemcy wydali odezwę z Kalisza Króla Kongresowego między medalionami Leona XIII i Wilhelma II. Rosjanie wystąpili z odezwą głównego wodza, ks. Mikołaja Mikołajewicza, obiecującą ziemie polskie po bitwie cara, najmniejszej postępili Austriacy zwłaszcza na organizowanie ~~[illegible]~~ w Galicji legionów polskich do walki z Rosją. Wiedziałem przecież ze źródeł krakowskich o tych organizacjach strzeleckich, zawiązujących w razie wojny współpracę po stronie Austrii, ale sądziłem się, że w tym stanie rzeczy, gdy Austria najoczywiściej musiała

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

WARSZAWA, DN. ..... 19.. .. .. R.

UWAGA:
WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65. TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..... ....

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

odegrać rolę drugoplanową po pełnym sojuszu niemieckim, rozsadzie prowizji i do kamiennego utworzenia legionów polsko-austriackich nie doszedł. Niestety stało się inaczej! Udział Polaków po stronie niemieckiej w wojnie, mającej zadecydować o nowej przyszłości, wydawał mi się potwornością, jakimś obłędem, którego przyczyny można było „rozumowo" sobie jakoś wytłumaczyć, ale przeciw którym niemal całym sobą nie przestawało się buntować. Dzisiaj po trzydziestu niemal latach, stwierdzam, że niemcie moje miało racje.

Tymczasem dzięki bohaterskiej ofensywie na Prusy Wschodnie, która Rosja opłacała stratą dwóch korpusów Samsonowa, Niemcy musiały ściągnąć front francuski i Zachód zostali zatrzymani na Marnie umiejscowiła Elektryka Joffre'a: pierwszy akt wojny zakończył się ich niepowodzeniem. Z kolei wzmocnili nacisk na froncie wschodnim i zdawało się rzeczą pewną, że Rosjanie nie zdołają obronić Królestwa. Postanowiłem więc dłużej nie zwlekać i w pierwszych tygodniach września 1914 r. opuściłem Nowowiejską, którą nie wiem jeszcze czy nie przyjdzie mi wkrótce opuścić, i udałem się do Lublina. Tam spotkałem Bolesława Limanowskiego, który przybył z Krakowa, gdzie sam tor kolejowy, [illegible] w Brześciu znów 12 godzin spędzał, rozpytywania ujawniło szturmem i wreszcie przyjazd do Warszawy. Życie płynęło tutaj prawie normalnie, przynajmniej starano się o to. Brakło oczywiście nie mało, przecież niektórych artykułów, których Rosja nie mogła eksportować za granicę, bardzo zaczęło brakować. Kawior.

W październiku Niemcy zeszli pod Warszawę z południa od góry Kalwarii i pod Villanowem zgromadzili armaty. W którąś niedzielę, zdaje się, że to było 10 października, poszedłem z kolegą Jerzym Grabowskim przypatrzeć się bitwie z bliska i wyruszyliśmy do Villanowa. Aż tam za miastem, na skraju dalszej drogi na moście, leżący na nas strzał wartownik: „Stój, stój, ruki wwierch!" (Stój, stój, ręce do góry!) i popiera swoje wezwanie celowaniem do nas z karabinu. Trudno się oprzeć takiemu argumentowi, stajemy więc w pewnej odległości od góry [illegible], wartownik nas z grubsza rewiduje, i jako zaaresztowanych prowadzi do dworu villanowskiego. Po drodze mijamy nas przejeżdżający oficer i pyta, co się stało: „Szpionow wiedu, wasze błagorodie!" (Szpiegów prowadzę, wasza szlachetności!) — „Nu, wiedi, wiedi!" (No, prowadź, prowadź!).

Minęły nam trochę zmroku, bo od podjęcia do zaprowadzenia do marnego końca było bardzo blisko. Na dworze zaczęto nas indagować, kim jesteśmy, co robimy i po cośmy tu przyszli, nie dając wiary naszym słownym zapewnieniom, że pragniemy na przedpolu, aby przyjść się z bliska bitwie. Na zapewnienie Grabowskiego, że jest dyrektorem szkoły i że musi tam być nazajutrz na lekcjach odpowiedziano mu: „nie wiadomo, czy pan będzie jutro jeszcze żyć." Słowem sytuacja przedstawiała się

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

WARSZAWA, DN. \ . . 19 . . R.

U W A G A:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65. TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/. . . . . .

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

~~Jako~~ Przeciwtutka na ~~polsko-austriackie~~ legiony polsko-austriackie miały być legiony polsko-rosyjskie. ~~Niestety wskutek fatalnej~~ Niestety wskutek fatalnej organizacji ta ~~imprezy~~ myśl w samym zarodku została spaczona. Inicjatorem tej imprezy był niejaki p. Witold Gorczyński, ~~nikomu~~ nieznany w społeczeństwie, a rząd rosyjski, zamiast mądrze całą sprawą pokierować, wszystko robił, aby zniechęcić do niej Polaków. Oddziały polskie, mające pierwotnie nosić nazwę „legionów polskich" i znaczną odrębność organizacyjną, zostały poprostu wcielone do armii rosyjskiej jako „drużyny ochotnicze". ~~Biły się jednak dzielnie~~ Tak to zagarł naszej miłości został oblany zimną wodą. Bili się jednak nasi chłopcy mimo wszystko dzielnie i wstydu nam nie zrobili. Ale dopiero armia polska zorganizowana w Ameryce i Francji pod generałem Hallera wraca nas postawić w rzędzie ~~bombatantów~~ współwalczących z innymi aliantami przeciwko przemocy teutońskiej.

STÄDTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr.Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

coraz gorzej, ale wreszcie Opatrzność czuwała nad nami, bo
w grupie oficerów przebywających na parce znalazł się nasz kolega z
policealnej, który [redacted] zaczął, że nie jesteśmy zupełnie, bowiem po
zwróceniu zawartości naszych kieszeni (a mieliśmy: klucze, portmonetki
binokle, lusterka i szczoteczki do wąsów) uznano nas za nieszkodliwych
wariatów i postanowiono wolić. Ale formalnościom musiało się stać
zadość: po sporządzeniu protokołu odesłano nas do Cytadeli w asyście
eskorty żołnierzy z karabinami. Tak przemaszerowaliśmy do pl. Zbawiciela,
gdzie linia właśnie wydawała po zmianie z Kościoła. Widząc gwarzących
„szpiegów" zaczęto nas obrzucać obelgami i pogróżkami, co byłoby jeszcze do
zniesienia, ale zamierzano [redacted] pchać do bardziej materialnych
pocisków w rodzaju kamieni, tak że żołnierze musieli nas bronić przed
groźnym tłumem. Mimo [redacted] że [redacted] moja własna osoba była narażona
na niebezpieczeństwo, rad byłem w duszy, widząc instynktowny odruch
ludu wobec [redacted] nałganych szpiegów niemieckich. Wsadzono nas za
rydlem do tramwaju i już bez incydentów dowieziono do Cytadeli.
Tu nowe przesłuchania, nowy protokół, po czym odesłano nas do cyrkułu na
Muranowie, skąd „matka-policja" już bardzo delikatnie odesłała
każdego z nas osobno w asyście policjanta dorożkami do właściwych
cyrkułów, gdzie nas dopiero puszczono. Wypuszczony na przełomie o godzinie,
wróciłem dopiero o [redacted] 6ej po południu do domu po [redacted] oryginalnie
spędzonej niedzieli.

Pierwsza ofensywa niemiecka została odparta, ale po niej
poszły następne i było nas widocznie, mimo wrodzonych zapewnień
dowództwa rosyjskiego, w Warszawie [redacted] dużo Niemcom. [redacted]
[redacted] braku manewrów, bez wiarygodnych informacji o terenie
rosyjskim, bez artylerii stracha przed Niemcami uciekało [redacted] z Warszawy
na wschód. Charakter Aleksandrowskiej wyjechał na Ukrainę do rodzinnych
Stefanina, ale [redacted] dworce były tak oblężone przez
publiczność, pociągi tak przepełnione, że o dostaniu biletu i o wyjeździe
nie było już mowy. Musiał więc pozostać i zaraz, że źle na dobre nie
to wyszło. [redacted] W nocy z 4 na 5 sierpnia 1915 r. wyjechaliśmy wraz
wiele z rodzinami 5. sierpnia Niemcy wkroczyli do Warszawy.

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

WARSZAWA, DN. .... 19 . .

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..... ...

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

ij

Wojna burząc nadzieje, skłaniała zarazem ludzi do tworzenia różnych ~~przypuszczeń~~ hipotez co do jej przebiegu i wyniku. Nie było tylu powodów wróżb i przepowiedni jak w czasie obecnej wojny, ale też ich nie brakło. ~~Najgłośniejsze były przepowiednie~~, ogłoszone w jakiejś gazecie, wróżby Czesława Czyńskiego, mędrca w świecie okultystycznym pod imieniem „Punar Bhava", ze względu na osobę ich autora. Nie pamiętam dokładnie ~~ile było, ale było~~ ~~[illegible]~~ i ~~[illegible]~~.

Najgłośniejsze ze ciemnych przepowiedni, ogłoszone w jakiejś gazecie, wróżby Czesława Czyńskiego ze względu na osobę jego autora, znanego w świecie okultystycznym pod imieniem „Punar Bhava". Bezsilna, pozornie wprost: skandaliczna, prawdziwość tego maga dokładnie opisała książka p.t. „Der Fall Czyński", klasyczna w dziejach hipnotyzmu, do której odsyłam ciekawych. W r. 1914 wszystko to było dawno przed nim, Czyński był delegatem Towarzystwa czy też „Zakonu" Martynistów na Polskę i Rosję i w sferach okultystów uchodził za wielką powagę. Raz na tygodniu Węgrzyn raz na tydzień podwieczorki, na których bywały różne ~~[illegible]~~ magi, okultyści i literaci warszawscy. Czyńskiego byłem ~~[illegible]~~ i ja raz na takim podwieczorku, ~~[illegible]~~ oglądałem piękny dyplom delegata Martynistów, ~~[illegible]~~ podpisany przez samego Papusa i słuchałem przeróżnych przepowiedni i opowieści gospodarza domu, który nakazał się wyrwać z ciała i udawać po świecie, pozostawiony w domu tylko „ciało astralne". ~~[illegible]~~ Do takich wyroków mag przygotowywał się modlitwą i postem, wkładał ręce z białej ściany ~~[illegible]~~ z kapturem, aby zabezpieczyć ~~ciało materialne od~~ ~~[illegible]~~ ogarnięciem ciało materialne od niepożądanej wizyty jakiegoś obcego ducha, naciskał wreszcie palcami przez otwór w tej ścianie ucapiony magicznej guzek czy wypukłość na piersi i jazda! Czyński pozwolił nam nawet namacać ten guzek na swej piersi: był to poprostu nieco wypukły processus xyfoidalis, a więc nic całkiem normalnego. Jeszcze inną osobliwością anatomiczną szczycił się Czyński, ale tej jużeśmy namacalnie nie badali.

STADTTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr.Strom im Jahre 1941 benutztan.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

W parę lat później spotkałem się z Czyńskim na ulicy. Jechał dorożką i zatrzymał ją na mój widok. Nie bujnym go poznał, tak był zmieniony. Zauważ przystojnego, rumianego, czerstwego, starszego pana z pięknie podkręconym wąsem, wielkim pewnie sobą wydatnego starca z niebieską brodą i dziko błyszczącymi oczami. Zaprosił mnie do dorożki i zaczął gorączkowo mówić: „Wie, pan, co ja teraz robię? Niech pan czyta!" — tu zaczął wydobywać z portfelu jakieś wycinki z gazet — „O, proszę pana, piszą o mnie: drugi Rubens, drugi Rembrandt. Niech pan przyjdzie zobaczyć."

Jednocześnie pokazał mi pozwolenie władz okupacyjnych na kupno koni rasowych i prowadzenie jatki końskiej. Tak to umiał on łączyć działalność artystyczną z przedsiębiorstwem dochodowym. W parę dni potem poniosłem obejrzeć owe obrazy Czyńskiego we trójkę: nieżyjący już literat Tadeusz Jarosiński, literat Eustachy Rychalski i ja. Słuchacz ponakłaniał mi chciał nas z upuścić, wreszcie na zapewnienie, że pan nas zaprosił, uległ. Wyjrzał do nas i sam Czyński. Już przedtem przestawał nader ulicznych widoków a dalsze pokoje były dość puste. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś maczał w różnych farbach kwacz i chlastał nim po ścianach. W pokojach stały płótna na sztalugach i wisiały na ścianach. Były one zazwyczaj jednej farby, jakby podkładem pod pewien obraz. — „Patrzaj, panie, to jest marina kawalerii. A tu moja głowa Chrystusa! Patrzymy, a tu nic ma nic prócz jednostajnego tła. — „Ja tło tylko ustawiam farby, a to potem samo przez noc tak rośnie, tak rośnie..."

Widząc, że mamy do czynienia z obłąkanym, porozumieliśmy się czym prędzej z gospodarzem i odetchnęliśmy głęboko z ulgą.

Ten rozstrój umysłowy przeminął jednak i w Polsce niepodległej znów usłyszeliśmy o Czyńskim. Zajmował się poważnym procederem wróżbity a wreszcie wytoczono mu proces o propagowanie satanizmu. Wyrokiem sądu stary mag został uniewinniony i całkiem naturalnym biegiem rzeczy przeniósł się w świat astralny.

STÄDTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr.Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

W obliczu wielkich przemian czekających Polskę ~~wyjątkowo~~ ożywiło się wyjątkowo życie polityczne stolicy. Wegetujące dotychczas stronnictwa zaczęły się ~~intensywnie~~ gorączkowo kłócić ~~ze sobą~~, oczyściło się, które mocno orientacji pro-aliancka, bo pro-germańskie musiały z konieczności uprawiać dwuznaczność konspiracyjną. Zjechał z Moskwy i adwokat Lednicki, członek rosyjskiej partii ~~konstytucyjno~~ konstytucyjno-demokratycznej, t.zw. popularnie k-d ~~czyli~~ czyli „Kadetów", otrzeźwiwszy gorączkowali, że nielicząc on ~~na~~ na ~~wiele~~ wiele do partii k-d-w (Kuda dujet wietier – dobud wiju wiatr). ~~Organizował on bez powodzenia stronnictwo~~ Zgłosił on bez powodzenia na stronnictwo w Polsce stronnictwo „Zjednoczenia Ziem Polskich pod berłem Rosyjskim". Oczywiście idea zjednoczenia wszystkich ziem polskich była bardzo sympatyczna i wyłącznie polskie chyliły się widocznie to zjednoczenie dokonane przez Rosję, ale ~~nie~~ wg

W programie stronnictwa demokratyczno-narodowego, ~~mającym~~ zjednoczenie ziem polskich stało również na pierwszym miejscu, ale jako etap do upełnienia niepodległości, a co najmniej do unii personalnej z Rosją. Naliczałem w Genewie i w Paryżu do ~~1917~~ niedawna nie studentek, obecnie inżynierek, że ~~mi~~ ~~musiał~~ trzeba ~~się~~ się wprawdzie zdecydować, zgłosiłem swoją kandydaturę na członka Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego przedstawiając jako poręczycieli: Zygmunta Dolichowego i prof. Jana Tura. Od tego czasu po dziś dzień, ~~należę do tego~~ czyli od blisko lat 30-u, należę do Stronnictwa, jestem więc już „starym endekiem".

W tym czasie po raz pierwszy stanąłem przeciwko Dmowskiemu, który, wbrew mu wielkie znaczenie. ~~Jasność i ścisłość argumentacji~~ Jego mowy odznaczały się ~~jasnością~~ jasną i ścisłą argumentacją; nie przemawiał do uczucia ale do rozumu, ~~nie~~ nie grał na namiętnościach ale pobudzał do myślenia. Było to więc „genius dicendi atticum" a i soli atycznej u niego nie brakło.

Wkrótce Dmowski, jako prezes Komitetu Narodowego, wyjechał do Petersburga a potem do Paryża i Londynu. ~~Mieliśmy~~ ~~z nim~~ ~~później~~ później, gdy powrócił do Polski jako triumfator po podpisaniu traktatu pokojowego w Wersalu.

Powiadam po ostatnie miałem z nim później, gdy jako triumfator powrócił do Polski po podpisaniu w Wersalu traktatu pokojowego, przywracającego nam wolność.

(A) 11

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

WARSZAWA, DN. ..... 19.. R.

U W A G A :

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..... ...

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

Niemcy i Austriacy zajmując ziemie polskie wykpiwali w roli naszych dobroczyńców: uwalniali nas [illegible] od znienawidzonych Moskali! Na razie podzielili Królestwo Polskie na dwa generalne gubernatorstwa: niemieckie ze stolicą w Warszawie i austriackie ze stolicą w Lublinie. Inne dalej na wschód położone terytoria, jeszcze inaczej były administrowane. Jednakowoż z różnych zapowiedzi wynikało, że okupanci zamierzają utworzyć jakiś nowy niezależne państwo polskie w niesprecyzowanych granicach. Oczyścić tylko z odwiecznych Moskalów dzielnic: o przyłączeniu [illegible] Galicji a tym bardziej zaboru pruskiego nie było mowy. Tak więc nasz główny postulat na dany najbliższe: zjednoczenie wszystkich ziem polskich, nie miał być spełniony przez Mocarstwa Centralne. Mimo to zaczęli się rwać zwolennicy orientacji austriackiej, mającej o stworzeniu z Galicji i Królestwa jakiegoś państwa [illegible] pod berłem Habsburgów, różnorodnego do Austrii i Węgier, inni znów woleliśmy jakieś państewko polskie zostające z Niemcami; Piłsudski ciągnął w jedną stronę Naczelny Komitet Narodowy (N.K.N.) w Krakowie ciągnął w drugą: trudno było się o tym wszystkim potrafić. Pamiętam jak w Kawiarni Udziałowej, na rogu Nowego Światu i Alei Jerozolimskich [illegible] (później Café Club), gdzie zbierali się różni politycy ówczesnej Warszawy, literaci, malarze itp, zjawił się kiedyś p. Jerzy Moraczewski i tłumaczył zebranym, że dla [illegible] Polski byłoby najlepiej, gdyby Francja została polska przez Niemcy, ale nie wypadało, aby można mieć pod to na przyszłej konferencji pokojowej, bo wtedy by popierała sprawę niepodległości Polski. Ten mąż stanu później został wyrzuconym przez Piłsudskiego na pierwszego premiera niepodległej Polski!

Tymczasem Niemcy zachowywali się wobec nas jak Teutoni protektorzy i dziś (1943 r.) wobec ciągłych zbrodni terroru wspominam Lauda okupację jak idyllę. Wydawały pisma i teatry polskie, oczywiście pod cenzurą; [illegible] funkcjonowały [illegible] towarzystwa naukowe i teatry. Ojcowie naukowi wreszcie starania o utworzenie polskiego uniwersytetu i politechniki, dnia w tym roli odegrał Ludwik Kulczycki, ale w niechlubnym stylu, dr. med. Józef Brudziński. [illegible] Uroczyste otwarcie uczelni nastąpiło 15. XI. 1915 r. katedry psychologii [illegible] zaproponowano Abramowskiemu, który zgodził się na jej objęcie pod warunkiem, że w pierwszym roku wykładać nie będzie ze względu na stan zdrowia, wymagający poważnej kuracji i że w jego zastępstwie ja, jako jego asystent, obejmę wykłady. Miałem przez dwa semestry wykładać psychologię emocji, co do której Abramowski dawał mi carte blanche, a sam w następnym roku miał kontynuować [illegible] wykłady, rozwijając swoje indywidualne poglądy

MICHAŁ KULCZYCKI.

ADWOKAT

WARSZAWA, DN. ... . 19. . R.

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..... . .

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

na pamięć i poświadczenie. ~~Był to dla mnie wielki zaszczyt, po~~

Był to dla mnie wielki zaszczyt, ale bałem się, czy nie zawiodę pokładanych we mnie nadziei. Toteż z wielką troską wygłosiłem dn. 30. XI. 1915 swój pierwszy wykład, na którym oprócz studentów byli również i profesorowie niektórzy nowo mianowani profesorami jak ~~J~~ Tadeusz Kotarbiński, Jan Łukasiewicz i Stanisław Tołwiński. Autoreferat z tego wykładu ogłosiłem w „Przeglądzie Filozoficznym". Powiedz go sobie tutaj streścić.

Zamierzam ~~tem~~ na wstępie, że psychologia eksperymentalna jest nauką wysoce młodą, toteż nic dziwnego, że nie mającymy dla niej dostatecznej tradycji i wspomnień w murach pałacu Kazimierzowskiego. Rozwój tej nauki przypada w Europie Zachodniej na drugą połowę XIX w. t. zn. na okres rozpiętości uniwersytetu warszawskiego. Uprawiano ją jednak w Polsce, ale poza uniwersytetem: przykładem tu nazwiska Adama Mahrburga i Jana Stanisława Dawida; zresztą ci uczeni nie doczekali się otwarcia polskiego uniwersytetu, a wykładali po czwartakach studentach, tych Kalakumbach polskich, a nagroda za ich trudy i prace była nie katedra uniwersytecka ale cela więzienna. Z tych czasów wymieniam Juliana Ochorowicza, Edwarda Abramowskiego, ~~[illegible]~~ w Warszawie, Stanisława Heinzla w Krakowie, Kazimierza Twardowskiego we Lwowie i Józefa Jotejkowy w Brukseli. Nasze pierwsze zastanowienie się nad różnicą dzisiejszej psychologii eksperymentalnej od psychologii dawniejszej, nad miejscem psychologii w rozmaitych klasyfikacjach nauk, nad stosunkiem psychologii do filozofii i skierowaniem, że rozwój psychologii idzie w kierunku coraz to większej autonomizacji, coraz wyraźniejszego odgraniczania ścisłej wiedzy psychologicznej od zagadnień filozoficznych i dla zwolenników. Psychologia współczesna nie chce być służebnicą ani filozofii ani teologii, chce być uprawiana sama dla siebie.

STÄDTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr.Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

W uniwersytecie nie było początku żadnych przyrządów ani pomocy naukowych do wykładu psychologii, prywatnym zakładem ćwiczeń w ~~Towarzystwie~~ Towarzystwie Psychologicznym, skąd też brakiem niektórych przyrządów do demonstrowania podczas wykładów. Trudno mi ocenić wartość naukową i pedagogiczną tych moich wykładów, starałem się oczywiście na podstawie znanej mi literatury dać słuchaczom jak najdokładniejszy obraz współczesnego stanu nauki, nie zdając się na stworzenie jakichś oryginalnych teorii. Z Abramowskim było przeciwnie: u niego teoria wyprzedzała fakty i mało się kłopotała jeśli późniejsze doświadczenia ~~były~~ nie były z nią w zgodzie. Toteż prywatnemu ćwiczeniu równoległego do wykładów Abramowskiego stało się dla mnie ukochaną niemożliwie i rozsławiliśmy się na tym polu, zachowując gorąco tym najlepsze stosunki przyjaźni. Tymczasem praca pedagogiczna najwybitniejszego uczonego Abramowskiego, ~~natrafiła~~ natrafiła się do cięż morfina i heroina, którymi pobudzał się do ciężkiej pracy. ~~Gdy o środkach tych dowiedziano się~~ ~~[illegible]~~

Próby ratowania go przedsiębrane przez przyjaciół, zawiodły, widać było, że ~~nałóg go~~ Abramowski się spala, sam zupełnie zdawał sobie z tego sprawę, ale chciał dać jeszcze przed śmiercią swoją syntezę i ogłosić publicznie wykład „Metafizyka doświadczalna". Był to próby nadania jakiejś wartości obiektywnej ~~doświadczeniu~~ doświadczeniu subiektywnym, ~~w~~ ~~[illegible]~~ jakaś chorobliwa mistyka ciężarnego oczekującego myśli o nadchodzącej śmierci. Ta śmierć nadeszła wreszcie dn. 21 czerwca 1918r ~~i była zbawienna dla~~

Mimo okupacji niemieckiej Tow. Psychologiczne ~~nie~~ kontynuowało swoją działalność i oprócz posiedzeń naukowych dla członków i zaproszonych gości urządziliśmy i serię odczytów publicznych. Pierwszą taką serię ~~ogłosiliśmy~~ odbyliśmy jeszcze w 1918r. za czasów rządowych. Ogłosili wówczas wykłady: Florian Znaniecki: „Twórczość moralna", Julian Ochorowicz: „Psychologia dziecka, dziecięca i jutrzejsza", Władysław Tatarkiewicz: „Przewrót idealny", Rafał Radziwiłłowicz: „Psychologia myślenia", Stanisław Leśniewski: „Paradoksy logiki i matematyki", Ignacy Halpern: „Wstęp do etyki" i ja: „Z zagadnień psychologii religii". Każdy prelegent miał kilka wykładów, w tym samym dniu tygodnia. ~~Za wykładem poza tym~~ Mnie dostały się czwartki i wygłosiłem tu odczyty: ~~[illegible]~~ 1) „Zadania i metody psychologii religii", 2) Psychologia stanów mistycznych" i 3) Psychologia świętego". W 1919r. wykładali: Jakub Segal: „Z psychologii pisma i sztuki", Wacław Gąsiorowski: „Psychika podświadoma", Wacław Radecki: „Życie uczuciowe" i ja: „Psychologia a życie praktyczne". Pozostałem tym wykładom tej serii, na których mówiłem: ~~[illegible]~~ 1) „Psychologii teoretycznej i stosowanej", 2) „Psychologii a wyborze zawodu" i 3) „Psychologii w przemyśle i handlu".

[redacted]
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr.Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

Wrocław w 1917 r. odbyły się wykłady Władysława Tchorzewskiego: „O nerwicach i leczeniu nerwicy", Adama Wiśniewskiego: „Słyszę wojny", Wacława Reszczyńskiego: „Psychologia społeczeństwa i tłumu", Adama Czyżewskiego: „Hipnotyzm i sugestia" i moje: „Telepatia i mediumizm w oświetleniu hipnotycznym". W ciągu czterech wieczorów [redacted] poruszyłem następujące tematy: 1) Określenie telepatii. Co nie jest telepatią. Ruchy bezwiedne. Wahadło Chevreula. Różdżka wróżebna. Kryptoskopia. 2) Telepatia samorzutna i eksperymentalna. Doświadczenia Richeta, Ochorowicza, Barretta, Hodgsona i innych. Uwagi krytyczne. 3) Zjawiska mediumiczne. Mediumizm „niższego" i „wyższego" rzędu. Trudność badania zjawisk mediumicznych. Oszustwo świadome i bezwiedne. Zjawiska telekinetyczne. 4) Hipoteza spirytystyczna. Rola ona w historii współczesnego spirytyzmu. Pismo automatyczne. Materializacje. Krytyka hipotezy spirytystycznej.

Moja znajomość zjawisk mediumicznych nie była tylko teoretyczna lecz i praktyczna. Już wiele razów miałem się zetknąć z różnymi mediami ale odbywało się to zawsze w warunkach dalekich od ścisłości naukowej, [redacted] w atmosferze kart, żartów bez krytycznej wiary, tak, że było to prawie czas stracony na próżno. Cały [redacted] mój wysiłek szedł na stwierdzenie nieczystości zjawiska [redacted] lub na zdemaskowaniu oszustwa, a o dalszym badaniu niezaprzeczalnie istniejącego zjawiska nie mogło być nawet mowy. Ze zjawiskami [redacted] było już nieco lepiej ale nie bardzo. [redacted] Zetknąwszy się kilka razy z medium, [redacted] obok autentycznych objawów mediumicznych uciekał się wielce do oszustwa, chcąc ale uczestnicy seansu zdawali [redacted] coś wiedzieć ze swoje przykrości. Na prawdę chciałem zjawiska wówczas dopiero [redacted] p. Stanisławy Tomczykowskiej, która odbyła i wyjaśniała Ochorowicz. Zresztą Ochorowicz było, że nie [redacted] Tomczykowska mówić o „duchach", co by [redacted] zniewalało [redacted] od razu całą uwagę na tory spirytystyczne, ale kazał jej rolę „doświadczenia". Ale i z Tomczykową było dosyć kłopotu. Najpierw trzeba było ją wśród hipnotyzmu, po czym p. Stanisława bawiła się przeskakiwanie w „małą Skosię", [redacted] mówiła po dziecinnemu, chciała żeby się z nią bawić i trzeba było ją długo namówić na doświadczenia. Ale, [redacted] przeciwnie cierpliwie i uporze cierpliwie, można było zobaczyć w niektórych warunkach oświetlenia podnoszenie drobnych przedmiotów (pudełko zapałek, nożyczki) bez dotykania, czyli to co się w metapsychologii nazywa zjawiskiem telekinetycznym (a zgodnej z duchem języka polskiego: telecynetycznym). Zdjęcia fotograficzne, na których niewyraźnym obrazie, potwierdzają autentyczność tego zjawiska. Wreszcie już później w Polsce niepodległej miałem możność [redacted] uczestniczenia w seansie z najciekawszym mediumem polskim Franciszkiem Kluskim (przewodnik literata i urzędnika bankowego, p. Teofila Modrzejewskiego). W jego obecności ukazywały się bardzo plastyczne zjawy i wrażenia [redacted] pościeli.

STADTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr.Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

1 maja 1917 w wieku lat 64 umarł długoletni ~~[illegible]~~ zasłużony lekarz medyk-filozof, Julian Ochorowicz, na jego pogrzebie wygłoszono m. inne, oceniając jego zasługi jako uczonego i zebranych słowami, że życzeniem „~~[illegible]~~ „wiecznego odpoczynku" nie jest stosowne dla człowieka, który całe życie pracował ~~[illegible]~~ nad poznaniem prawdy i niezależnie na takim świecie dalej zapewne pracować będzie. Jakby odpowiadając na te moje obawianie, przez usta p. Jadwigi Domańskiej, ostatniej zabierającej głos po p. Ochorowiczu, zaczął zebranych przemawiać sam nieboszczyk. Pewna Domańska zaczęła się dr. Watrasiewski (pseudonim: Habdank) ~~[illegible]~~ (wujaszek szpitala Św. Łazarza, podobno dobry specjalista chorób skórnych, ale dziwnie lekceważący wobec zjawisk przekraczających ~~[illegible]~~ zakres dermatologii. Pseudo-Ochorowicz przemawiał mglisto, bardzo odległe w swego jestestwa i możliwego sposobu formułowania myśli, a ~~[illegible]~~ głos przez ogromne przyciśnięty do muru zaczął się jakoś miotanie wydzierać. Wincenty Rosaliewicz, ~~[illegible]~~ wolny ~~[illegible]~~ literat i najwybitniejszy z dziennikarzy, miał się przy tej sposobności wyrazić, że „Ochorowicz dziennie zginął po śmierci". Powtarzał p. Domańska, bowiem przez dłuższy czas zabierała Ochorowicza mogła ~~[illegible]~~ przejąć jego styl, a wtedy mogła korzystać z jego urywanych rękopisów, wyrażałem się sceptycznie o autentyczności ~~[illegible]~~ późniejszych ochorowiczowskich rewelacji i podkreśliłem to w swoim odczycie publicznym p.t. „Spirytyzm wobec nauki", gdzie zresztą zaatakowałem pośrednio medjumizm p. Reichmanowej, przez którą miały mówić duchy Mickiewicza, Słowackiego i Wyspiańskiego. ~~[illegible]~~ Tym wystąpieniem naraziłem się wówczas bardzo ~~[illegible]~~ spirytystom uczniom ~~[illegible]~~, i dopiero po pewnym czasie zobaczyłem się jakoś udobruchać.

Po śmierci Abramowskiego katedry psychologii pozostało prof. Władysławowi Witwickiemu z Lwowa. Nie miałem już co robić na uniwersytecie, wyjechałem na Wołyń. Nauczyciel przyniósł bardzo mało, do szkół wracać nie chciałem, toteż ~~[illegible]~~ z przyjemnością przyjąłem propozycję objęcia katedry psychologii na nowo utworzonym ~~[illegible]~~ Uniwersytecie ~~[illegible]~~ Lubelskim. Dzięki bliskości p. Karola Jaworzyńskiego, majątku pozostałego z Ukrainy, mógł powstać w Lublinie uniwersytet ściśle katolicki, wzorowany na istniejących poprzednio za granicą we Fryburgu, Louvain i Innsbruku. Rektorem miał być ks. prof. Adam Radziszewski, były rektor ~~[illegible]~~ Petersburskiej Akademii Duchownej. W rozmowie ze mną starał się wyjaśnić, jaki bardzo kierunek może uprzywilejować i zwrócił się mnie oświadczeniem, że katedry psychologii jako nauki pozytywnej i nie odrzucam w kwestii filozoficznej, w której ~~[illegible]~~ zwłaszcza poglądy profesora mogą ujść w kolizję z prawowiernością katolicką. Mojego ~~[illegible]~~

STÄDTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr.Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

○ Pierwowzorem a dotychczas jedynym ~~[illegible]~~ syna Stolyhwo, Olgierda, bohaterem do chwili.

~~Wszystko~~ stanowisko mógł zajmować Lustar rektor ~~[illegible]~~ obawiać, że tak delikatnych ~~[illegible]~~ uczuciowości profesorów, że pracy nie było w katolickim uniwersytecie z ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~

STÄDTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr.Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

Trudne to było zadanie, bo naszym ~~zniepiecznym~~ zasłepieńcom niepodległa było ocm otworzć na rzeczywistość. ~~Nawet po traktatach Niemiec z Ukrainą 9.II.1918r. i z Rosją 3.III.1918r.~~ Nawet po traktatach zawartych przez Niemcy z Brześciu Litewskim z Ukrainą 9.II.1918r. i z Rosją 3.III.1918r., po protestacyjnym pogrzebie Zelazowej Woli Hallera na dnyu stoku pod Rarańcza dn. 16.II.1918r., jeszcze byli tacy "politycy polscy", którzy chcieli budować przyszłość Polski ~~o~~ u ogarcin o Niemcy!. Wprost się dzisiaj wierzyć nie chce, że 29.III ówczesny "prezes ministrów" Skrzyński mógł być w stanie z tajna nota proponującą Niemcom przymierze, a po ~~ich~~ upadku rewolucji ~~rządu~~ rządu francuskiego, angielskiego i włoskiego, reprezentującej "utworzenie zjednoczonego i niepodległego państwa polskiego z dostępem do morza" ~~tenże tenże Skrzyński~~ (Versal 3.VI.1918r.), tenże Skrzyński mógł być ostatnim, że nad polski ~~p~~ przez rewolucją versalską z równowagi wytracić się nie da i ogłaszał się "za współpracą z państwami centralnymi nad spełnieniem na Wschodzie Europy historycznych zadań Polski".

Cichaweł to i zmutny zerarem, że w przekonaniu pewnych "~~politycy~~ ludzi" mową mądrości ~~pol~~ jakiegoś posunięcia politycznego jest jego podłość! ~~Przeciwnie~~ Natomiast uczciwość ~~w polityce jest to polityka mądrości~~ w polityce, nie mówiąc już o szlachetności, ubezpiecza się z najlepsza. ~~Pan~~ A jednak jest to bardzo krótkowzroczna polityka i doświadczenie nas uczy, że na dłuższą metę zawsze podłość, jak zawsze w ogóle grzech, się nie "kalkuluje", mówiąc po kupiecku.

W Lublinie wyłączyłem się rozpocząć, gdzieś późną jesienią a może i po Nowym Roku 1918, a tymczasem trzeba było jakoś i z czegoś żyć. Trafiła mi się na lato ~~kandydatura~~ t.zw. "kandydatura" u hr. Zamoyskich. Już ~~ubiegłe~~ ubiegłe wakacje 1917r. spędziłem w arystokratycznej rodzinie ks. Woronieckiego w Dobrichach pod Tłuszczem, gdzie ~~mieszkałem~~ musiałem się ograniczać czwórką młodych szczeniąt, którym matka była po drugiej stronie frontu a ojciec z Niemcy było na niedziele dojeżdżał. Teraz ~~czekało mię~~ czekało mię znów inne zadanie. Chodziło o wyjątkowanie do matury najmłodszego syna hr. Andrzeja Zamoyskiego z Podhorzec. Jaś miał już ~~ok~~ około 18 lat, a wykształcenie, jakiem to po polskiemu egzaminie stwierdził, na poziomie klasy czwartej. Od razu nie ośmielałem się, że za skutek nie ręczę, ~~a~~/że po pewnym czasie zobaczymy, co z tego będzie. ~~Aby mimo Jasia przed rozpoczęciem~~

[1] Nawet słynna deklaracja Wilsona z 8.I.1918r., której punkt 13., pod natchnieniem Paderewskiego zredagowany, zapowiadał utworzenie zjednoczonej Polski z dostępem do morza, nie potrafił ich otrzeźwić.

STADTTECHNISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr.Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

W późniejszym [illegible] chórzystów aktorskich i karierowiczów
wielka a dekadencka rola odegrał Wolf Nowaczyński wystając różne pamflety, w których
jego zjadliwy i błyskotliwy talent znalazł pole do popisu. Warszawa rozbawiała
te piosenka i zaśmiewała się z nich do rozpuku, ~~podtrzymując sobie tatuś chwilowo~~

W Podramcu pod Bistrzycą, smutnej pamięci, Macierzańcami, mieszkali ~~hr. Andrzejostwo Zamoyscy~~ rodzice Jasia, ojciec hr. Andrzej piszący ~~ojtwory~~ stary pan i matka hr. Karolina ~~z domu Burbanka Sycylijskiego królewskiego rodu neapolitańskiego~~ z domu de Bourbon-Sicile, ~~pochodząca od ostatnich~~ panującej w Królestwie Neapolitańskim, oraz rodzeństwo: stary brat Franciszek i dwie siostry, podróżnicy nienczęśnie, Teresa i Karolina. Gwarno tam było i wesoło, więc, żeby ustrzec Jasia od złych rozrywek, wysłano go do bezdzietnego stryjostwa do Trebicowa pod Magnuszewem i tam miałem się zająć jego późniejszym wykształceniem. Stryj Jan i stryjenka Anna, również Zamoyska z domu, stanowili przemiły para ~~wykwintnej~~ zacnych i dobrych ludzi. Oddany pracy społecznej, ~~lubiany~~ w ~~towarzyskiej~~ konwersacji z chłopami, hr. Jan wzorem ziemianina i kontynuował tradycje szlacheckiego rodu. Nie mając dzieci, Jaworscy Zamoyscy kochali się w psach i koniach, toteż mieszkałem u nich bratnie dusze. W ogóle było mi ~~tam~~ tam dostatnie, ~~pod względem wyżywienia wypoczynku~~ ~~nauczania~~ i ludzie byli we wszystkim i warunki życia przyjemne i uczeń dobry i gruby chłopiec. Niestety po pewnym czasie ~~miałem~~ dowiedziałem się przypadkiem, że w ciągu krótkiego pobytu nie da się odrobić ośmiu lat i że o maturze nie ma mowy. ~~Nauczyciel~~ Otwarcie współczuciem to rodzinie, która przyjęła tę smutną wiadomość z rezygnacją i prosiła mię tylko, abym dalej kontynuował Jasia ~~in omnibus rebus~~. Prowadziłem więc dalej lekcje, już nie licząc się z programem gimnazjalnym, ale starając się ~~uzupełniać~~, jak umiałem, braki wykształcenia mego pupila. Zachowałem jak najmilsze wspomnienia z pobytu jak w Trebicowie tak w Podramcu ~~i z wybornymi~~ ~~domami Zamoyskich z wami Zamoyskimi stosunki a~~ ~~wtedy tam do dziś dnia~~ ~~do dziś~~ przyjazne stosunki z rodziną Zamoyskich po dziś dzień pielęgnuję. W kilka lat później mój były uczeń zawarł związek małżeński z siostrzenicą ostatniego króla hiszpańskiego i osiadł w Lubowli na Spiszu, Podramiec zaś odziedziczył stary brat, Franciszek i podobno tam obecnie bieduje pod przymusowym zarządem niemieckim.

W jesieni 1918 r. wróciłem do Warszawy, skąd musiałem się wybrać do Lublina na otwarcie uniwersytetu. Od kontrofensywy aliantów we Francji, ~~poczynając~~ rozpoczętej 18 lipca 1918 r., już i napływały złe ~~wiadomości~~ wiadomości między narkotyzacją klęski Niemiec, której zwiastunami były kapitulacja Bułgarii we wrześniu i Turcji w październiku 1918 r. Radości komunikatów nie mieliśmy, ale wyleciało czytać urzędowe niemieckie, aby zdawać sobie sprawę z pewnych wypadków. Lawina toczyła się coraz szybciej, aż wreszcie nastąpiła radosna chwila rozejmu w Rethondes w pamiętnym dniu 11. listopada 1918

~~Kiedyś o tym ostatnim tygodniu~~

Wreszcie o tym dniu, gdy się książka moc zrobiła i gdy cała Polska żyła w jakimś upojeniu, ja osobiście „wisiałem się na tonie telefonie", walcząc z ciężką grypą, zwaną dość trafnie hiszpanką. Przyjaciele znosili mi gorący i wiadomości ustne, ale czyż mogło to zastąpić osobistych odczuć i tych epokowych wyjątków! Tam mnie chłopaki rozbrajają Niemców, tworzy się państwo polskie, a ja tu leżę w Tczewie!

Kiedy ustąpili Niemcy ~~już nie było w Warszawie, a po ulicach patrolowała policja „milicja ludowa" z karabinami~~ w Warszawie już nie było.

pach *śr* i *źr* (*śŕoda*, *spʷeŕźaɥe śe*), przedłużenie a często i dysymilacja *s* w paru wyrazach (*śiśśi*, *do lassa*, tu *do lasca*, *v leśće*), w liczbie mnogiej rodzaj męskożywotny (*tśćy ślkuv zabiɥy a dvuy ućekɥe*), żadna nie istniejąca poza północną Małopolską. *K. N.*

Ś. p. Artur Chojecki

21 listopada br. zmarł w Krakowie w 72. roku życia Artur Chojecki. Szczegóły jego niebanalnego życia i jego twórczości naukowej (na polu psychologii) i poetyckiej podał w nrze 50 (z 16 grudnia) Tygodnika Powszechnego P. Grzegorczyk — nas obchodzi jego działalność na polu poprawności językowej.

Kresowiec, po ukończeniu Politechniki Warszawskiej studiuje humanistykę w Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie się doktoryzuje; potem parę lat przebywa w Szwajcarii i w Paryżu, by na stałe zamieszkać na różnych stanowiskach w Warszawie, skąd go powstanie roku 1944 rzuciło znów do Krakowa.

W czasie studiów uniwersyteckich interesował się też językoznawstwem; jego niepiękną, ale indywidualną twarz, z dużą brodą, pamiętam w mym docenckim audytorium r. 1906: nie notował wykładów, ale ze skupieniem słuchał. A potem przez całe życie był konsekwentnym partyzantem...poprawności językowej. Walczył o nią w różnych czasopismach, po ostatniej wojnie w Gazecie Ludowej i Dzienniku Polskim. Na konkursie Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego otrzymał w r. 1946 pierwszą nagrodę za pogadankę pt. «Język polski, jego poprawność i jego piękno». W naszym czasopiśmie zaledwie parę razy coś drukował (w roczniku XXVIII): nie podobały mu się jego zbyt naukowy poziom, a w sprawach poprawności jego wyrozumiałość. Poglądom tym dał wyraz (w Gazecie Ludowej z 2 VI 47, nr 148, s. 5) w entuzjastycznym zareagowaniu na artykuł profesora J. Łandego «W sprawie polityki językowej», pomieszczony przez nas oczywiście w myśl bezstronności (rocznik XXVII), ale z odpowiedzią prof. J. Klemensiewicza, jako nie przyjętą przez nas wytyczną, gdy nasz kierunek polega przede wszystkim na spokojnym naukowym badaniu faktów; nie wierzymy też w istotną poprawę dzisiejszej niestaranności przez samo tylko potępianie, gdy nie tylko ogół, ale nawet większość osób walczących o poprawność nie ma do jej oceniania teoretycznych ni faktycznych podstaw.

Stwierdzić jednak musimy, że Artur Chojecki te podstawy miał: oczytany był w starszej polszczyźnie, niejednostronny w ocenie dzisiejszych różnic regionalnych (Warszawa—Kraków); ale mimo to był zbyt daleko posuniętym konserwatywnym rygorystą. Jego rozsiewane po gazetach artykuliki nigdy jednak nie mogły szkodzić—co niestety trzeba orzec o niejednym «kąciku językowym».

Tępiąc bezwzględnie germanizmy i rusycyzmy Chojecki nie był purystą na polu przyjętych w całym świecie wyrazów grecko-łacińskich. Jako przykład, a zarazem próbkę jego stylu, przytoczę ustęp z jego felietonu pt. «Przekomarzam się z lekarzami» (posiadane wycinki zwykle nie oznaczają miejsca i daty druku).

«Weźmy np. nazwę *artrytyzm* (przez *y*, proszę państwa, tak mówię i piszę, bo tak każą uczeni lekarze i etymologia, choć ogół najczęściej wymawia *artretyzm* przez *e*). Otóż, czym właściwie jest ta choroba i jakie są jej przyczyny, o tym dotychczas *medici certant*, ale każdy laik prędzej zrozumie, o co idzie, gdy mu lekarz powie: masz pan *artrytyzm*, niż gdyby mu powiedział: masz pan *dnę*, bo tak lekarze-puryści nazywają tę dolegliwość. Tak samo istnieją jakieś równoznaczniki polskie *podagry — dna nożna* — i *reumatyzmu* —

podobno *gościec*, ale nikt ich nie używa. Usłyszawszy nazwę *błonica* laik musi co rychlej przetłumaczyć ją sobie na *dyfteryt*, aby uświadomić sobie powagę choroby, tak samo rzecz się ma i z *płonicą* czyli *szkarlatyną*. A najczęściej pomiesza *błonicę* z *płonicą* i już nic nie rozumie.

«Gorzej jest, jak bawiący się w filologa lekarz wyciągnie stare słówko ze słownika i zastosuje nie całkiem właściwie, jak to się dzieje z *kilą*, która pierwotnie oznaczała 'przepuklinę', a potem została odkomenderowana do zgoła innej choroby. Albo cóż poczniemy z nazwaniem tejże choroby staropolskim mianem *przymiot*, skoro ten niewinny wyraz w zwykłej mowie co innego oznacza? A czy chorego na tę chorobę nazwiemy *przymiotnikiem*, bo chyba tak by należało?

«Przyznam się, że najbardziej mi się podoba polska nazwa *tyfusu*, mianowicie *dur*. Jakież to możliwości słowotwórcze otwierają się dla języka! A więc *zachorować na tyfus = zadurzyć się. Chory na tyfus = durny*, albo może *dureń*».

Godne uwagi było jego stanowisko w sprawie *-ia* i *-ym, -em*.

Kiedy w epoce roku 1936 rozrożniania *-ym* od *-em* broniła jakby jakiegoś skarbu narodowego m. in. trochę snobistyczna grupka Pawlikowskich z Medyki, Chojecki (bodaj gdzieś w Myśli Narodowej), wykazując całą tego bezpodstawność tak z punktu widzenia historii jak i dzisiejszej wymowy, przyrównał te *-ym, -em* do świecidełek, którymi się stroją ludy na stopniu prymitywnym, i zakończył, że postępowanie takie nie przystoi chyba «Medyceuszom».

A kiedy już po ostatniej wojnie znakomity krytyk literacki K. W. Z. w którymś z numerów «Warszawy» wystąpił przeciw ortografii z r. 1936 artykułem pt. «Ortoepia, ortografia a pozostałości faszyzmu», Chojecki w artykule pt. «Pomocnicy i przeszkadzacze» rzeczowo zdruzgotał ten wypad i jego (bardzo delikatnie mówiąc) demagogiczny tytuł. Wbrew temu autorowi, który łączył tę ortografię z metodami reżimu przedwrześniowego, pokazał, że pisownia *Dania* i *Julia* jest nawrotem do pisowni «Deputacji Towarzystwa Przyjaciół Nauk» z r. 1830 i że tak *jota* jak rozróżnianie *-ym* od *-em* kwitły właśnie w czasie niewoli. Przy sposobności swoim zwyczajem nie omieszkał wytknąć dwóch rusycyzmów: *przytrzymujących się* zamiast *trzymających się* i ujemnego *dzięki* zamiast *wskutek*.

Artur Chojecki do naukowego zbadania swego umiłowanego języka się nie przyczynił, ale nad wszystkimi dzisiejszymi purystami i poprawiaczami górował solidną wiedzą i wielką kulturą stylu. Pod tymi względami powinien być ich wzorem.

K. Nitsch.

Jeszcze o *ciuchach*

Obok wyrażenia *iść na szaber, szabrować* pojawił się w języku lat powojennych wyraz *ciuchy*, np. *iść na ciuchy, wracać z ciuch.*

Wyrazów *szaber* i *ciuchy* używa się w języku potocznym ze znaczeniem 'zabierać rzeczy porzucone, kraść', 'rzeczy zabrane sposobem nielegalnym', *ciuchy* oznaczają także 'bieliznę, szmaty'.

Interesujący nas wyraz *ciuchy* doczekał się czterokrotnego omówienia w Języku Polskim. Pierwszy wspomniał go St. Gołębiowski w korespondencji, donosząc o szerzeniu się tego wyrazu w pow. sierpeckim, przy czym nadmienił, że etymologicznie łączy się go: 1) ze *szmaciuchami* lub *łapciuchami*, 2) z *ciuchem* 'węchem' [1]).

Prof. Nitsch w dopisku do tej korespondencji mówiąc, że «druga etymologia na pewno lepsza», dodaje ostrożnie: «z nawoływaniem do tropienia psów *ciuch! ciuch!*» łączą się «m o ż e i podane w SW złodziejskie *ciuchy* 'ubranie'» [2]).

Artykuł dłuższy *ciuchom* poświęcił następnie dr Bąk, omawiając przejście znaczenia *ciuchy* ⩤ **czuchy*, *czuch* 'zapach,

ARTUR CHOJECKI

Artur Chojecki urodził się dn.25 VI 1880 w Żytomierzu, jako syn Władysława i Marii z Iwanowskich.Jego stryjecznym dziadkiem był znany pisarz, Ignacy Chojecki.Ojciec dzierżawił majątki na Ukrainie i Polesiu,rychło jednak zbankrutował i przeniósł się wkrótce do Warszawy.Artur skończył ze złotym medalem klasyczne gimnazjum ros. w Żytomierzu/1892-1898/,gdzie mieszkał u swej babki Iwanowskiej. Znająca język franc., ang. i niem. przeważnie Później spędzał lata na wsi w Nosowcach na Podolu,gdzie matka była guwernantką. W 1898 zapisał się na wydział chemiczny Politechniki Warszawskiej, który ukończył w 1905 ze stopniem inż.technologa. Pracował przez krótki czas w cukrowni i wyjechał do Krakowa, gdzie w 1905 zapisał się na Un.Jag., który ukończył w 1910, doktoryzując się na podstawie pracy:"Zarys psychologii uwagi".Oprócz filozofii zajmował się też językoznawstwem i chodził na wykłady i seminaria Rozwadowskiego, Łosia, Kazimierza Nitscha, lektoraty Boh.Łepkiego, P.Rongiera, oraz wykłady Tarnowskiego, Zdziechowskiego, Tad. Grabowskiego. W 1910 wyjechał do Genewy, gdzie dostał się do pracowni prof. Claparède'a. W Genewskim Archives de psychologie ogłosił dwie prace: "Contribution à l'étude de la suggestibilité"/1911/ i "Comparaison de quelques processus psychiques dans la veille"/1912/.W 1911 wyjechał do Paryża, gdzie chodził na wykłady Bergsona, P.Janeta, H.Piérona, G.Dumasa. W 1912 wrócił do Warszawy i uczy w gimnazjach, oraz wykłada na tow.Kursow Naukowych/Wolna Wszechnica/.W 1915 obejmuje wykłady psychologii w Un.Warsz. jako zastępca chorego Abramowskiego.Ogłasza w redag. przez Abramowskiego Pracach "O wpływie woli na wahania uwagi". W 1919 obejmuje katedrę psych. w Un. Katol w Lublinie, poczuca jednak /1919-1927/ to stanowisko i wstępuje do Min.Spraw.Zagran., gdzie w charakterze kurjera dyplomatycznego jeździć po Europie.Następnie zajmuje się publicystyką literacką, propagowaniem poprawności językowej, prowadząc (w Dzienniku Polskim) odpowiedni dział w Kurjerze Warszawskim, a po wojnie w Gazecie Ludowej, przekładami oraz własnymi wierszami. Wydaje trzy tomiki poezji:"Wiersze" /1917/, "Listopad"/1918/, "Moce Bożego sądu"/1948/. Przełożył: Titchenera

/.

"O sercu człowieka" /1939/, Jerzy Langé: "Zrozumieć człowieka" /1947/, Jerzy Stone: "Ks. Emanuel z Azylu" /1948/ i "Św. Tomasz z Akwinu" /1949/. Tłumaczył wiersze rosyjskie, znakomity przekład "Ody do wolności" Mickiewicza, angielskie, niemieckie. Tylko pogłębiał: "Język polski jego ojczyzną i jego piekłem" /1946/, oraz popularny szkic o "Henryku Sienkiewiczu" /1946/. Pośmiertnie pozostał pamiętnik: "Żywot śmiertelnego człowieka" /1951/, zbiór szkiców językowych, którego chciał dać tytuł "Głos po polsku", zbiór pogłębień językowych, rozprawa "Na marginesie nowej poezji" /1945/, której nie był zwolennikiem, oraz kilka nowel pisanych już po wojnie. Zmarł 30 listopada 1951 w Krakowie w domu seniorów.

8 STRON A. HUTNIKIEWICZ: O STEFANIE GRABIŃSKIM — S. M. RENATA: WYBÓR PIUSA X NA PAPIEŻA CENA 90 GR

TYGODNIK POWSZECHNY

KATOLICKIE PISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

Rok VII Kraków, niedziela 16 grudnia 1951 Nr 50 (352)

OD ZIEMI LUBUSKIEJ PO NYSĘ

ROZMOWA RED. JERZEGO TUROWICZA Z PRYMASEM POLSKI

Do redakcji „Tygodnika Powszechnego" dotarły wiadomości o podróży pasterskiej Prymasa Polski, Ks. Stefana Wyszyńskiego, w połowie listopada br. po Ziemiach Zachodnich. Wszystko, co dotyczy życia religijnego, społeczno-narodowego i gospodarczego tych ziem tak bardzo żywo nas obchodzi, że postanowiliśmy dotrzeć do Ks. Prymasa, aby uzyskać odeń choć kilka uwag i spostrzeżeń, dotyczących sytuacji kościelnej na prastarych ziemiach polskich. Red. Turowicz zastał Ks. Prymasa w Gnieźnie i uzyskał rozmowę, której donioślejsze fragmenty podajemy. Drukowany poniżej tekst rozmowy, został autoryzowany przez Księdza Prymasa.

Ksiądz Prymas odwiedził ostatnio Ziemie Zachodnie? — Czy wolno zapytać o wrażenia odniesione?

— Proszę wybaczyć moją ciekawość, ale dotyczy ona zbyt doniosłych spraw dla Narodu i dla Kościoła.

Ciekawość Pańska w tym wypadku jest cnotą. Boć my wszyscy, którym Opatrzność Boża pozwoliła żyć w tak ciekawych dla Narodu czasach, jesteśmy żywo zainteresowani każdym przejawem krzepnącego życia Narodu i Kościoła na Ziemiach Zachodnich. Wybaczam Panu ciekawość i usprawiedliwiam ją. Tym bardziej, że sam jej ulegam; nie po raz pierwszy przecież odwiedziłem diecezje Polski zachodniej, spiesząc ze Słowem Bożym i posługą duszpasterską ludowi katolickiemu.

Tym razem rozpocząłem podróż od miasteczka Cybinki, koło Słubic, w diecezji gorzowskiej, skąd — przez Wrocław — udałem się do Opola. W ciągu pięciu dni pracowitym z duchowieństwem diecezji opolskiej: w katedrze opolskiej, w świątyniach Bytomia, Zabrza, Gliwic, Koźla, Raciborza i w katedrze nyskiej. Odwiedzałem również seminaria duchowne — niższe i wyższe, zorganizowane dla wychowania młodego pokolenia kapłanów dla służby diecezji opolskiej.

Życie kościelne dzieli we wszystkim niemal koleje życia społecznego, narodowego i gospodarczego. I pierwsze i drugie powoli, lecz stale nabierają wyrazu, tężyzny, wewnętrznego okrzepnięcia i mocy. Zapewne, jest to praca mozolna. Zbyt wiele ciosów wojna tu zadała. Zbyt wiele spraw trzeba zaczynać od podstaw. Ale czegoż nie dokona wiara w przyszłość Polski i zapał w pracy?

Kościół zdołał dość szybko zorganizować życie religijne ludności, otworzyć świątynie, postawić kapłanów na placówkach duszpasterskich, skupić lud w parafiach. Idy wędrujemy od świątyni do świątyni, patrząc na modlący się lud, słuchając jego podniosłych pieśni, odbieramy wrażenie prawdziwej jedności tych ziem z modlącą się i pracującą Polską.

Sprawa stosunku Kościoła i Episkopatu Polski do problemu Ziem Zachodnich stanowiła niewątpliwie w ostatnich latach przedmiot zainteresowania. Czy Pan poprosić Księdza Prymasa o ogólne ujęcie swego poglądu w tej sprawie.

Skoro tylko Polska wróciła na swe dziejowe szlaki, poprzez które od tysiąclecia biegła nasza myśl religijna i czyn apostolski — od Stoły Wojciechowej w Gnieźnie poprzez Wrocław, Opole i Nysę — duchowieństwo katolickie nie zawahało się ani chwili, co ma czynić. Całe zastępy kapłanów, ze wszystkich diecezji polskich, za zgodą swych biskupów, podążyły wraz z ludem na ziemie piastowskie. Oni to otwierali świątynie, usuwali gruzy, organizowali służbę Bożą, skupiali lud wokół ołtarzy. Ich obecność była dla ludu znakiem wiary w przyszłość Polski na Ziemiach Zachodnich.

Wraca z Rzymu kardynał Hlond z gotowym planem organizacji życia kościelnego. Duchowieństwo otrzymuje wskazania, pomoc i zachętę do pracy. Ileż to razy kardynał Hlond przemierzał w swych wędrówkach Ziemie Zachodnie. Otwierał seminaria duchowne, przewodniczył zebraniom duchowieństwa, przemawiał do tłumów wiernych. Swoją, pełną zasługi dla Kościoła i Narodu, pracę zakończył pięknym listem do katolików Ziem Zachodnich, wydanym tuż przed przedwczesną śmiercią.

Odszedł kardynał Hlond, ale w niczym nie zmieniła się linia myślenia i postępowania biskupów polskich. Wyrazem ciągłości tej linii, jest „Porozumienie" między Rządem R. P. a Episkopatem Polski ze swoim tak znamiennym punktem trzecim, który warto przypomnieć: „Episkopat Polski stwierdza, że zarówno prawa ekonomiczne, historyczne, kulturalne, religijne, jak i sprawiedliwość dziejowa wymagają, aby Ziemie Odzyskane na zawsze należały do Polski". Jest to wyraz postawy całego Episkopatu Polski, boć przecież cały Episkopat dążył do „Porozumienia" i uważał je za niezbędne dla pokojowego współistnienia Kościoła i Państwa w Polsce.

Że wierzymy w przyszłość Polski na Ziemiach Zachodnich, dowodzi tego fakt, że nie szczędzimy ofiar na odbudowę zabytkowych świątyń.

Poświęcenie piastowskiej katedry wrocławskiej było radością całej Polski katolickiej. I gdzież do Wrocławia pojechali biskupi polscy, aby dać wyraz swej radości i zaznaczyć wspólnotę stolic biskupich całej Polski z wrocławską katedrą. Nie zabrakło ofiar pieniężnych ze wszystkich kurii diecezjalnych na odbudowę katedry wrocławskiej, które wraz z pomocą państwową przyczyniły się walnie do szybkiego postępu odbudowy, dając świadectwo niezłomnej wierze Narodu w jego przyszłość na Ziemiach Zachodnich. Właśnie ta odbudowa świątyń na Ziemiach Zachodnich jest najbardziej widocznym tremem, na którym współzawodniczą Kościoła i Państwa wydaje swe doniosłe dla narodu owoce. Społeczeństwo katolickie, wdzięczne państwu polskiemu za udzielaną pomoc, wytęża swoje siły nad odbudową i zagospodarowaniem Ziem Zachodnich.

Z radością wspominam tu seminaria duchowne. Pracują one we Wrocławiu, w Nysie, w Gorzowie i w Olsztynie. Wypełnia je licznie młodzież polska, która ma pracować na Ziemiach Zachodnich. Na mocy upoważnienia Stolicy Św. młodzi kapłani przeznaczani są kanonicznie do służby Kościołowi na Ziemiach Zachodnich. To upoważnienie Stolicy Św. jest faktem, który wymownej świadczy o przychylnej postawie Stolicy Św. w sprawie Ziem Zachodnich, niż słowa.

Seminaria duchowne w diecezjach zachodnich są naszą radością i nadzieją. Dziękujemy Bogu, że posyła tak licznych pracowników do winnicy swojej.

W czasie kwietniowej podróży biskupów polskich do Rzymu, w prowadzonych tam rozmowach były zapewne poruszane sprawy kościelne Ziem Zachodnich?

Mogę Pańskie pytanie sformułować dobitniej: Czy dostatecznie przedstawiono w Rzymie prawa Polski do Ziem Zachodnich? Episkopat Polski uczynił to już przez usta śp. kardynała Hlonda. Po zawarciu „Porozumienia" wystosowany był w październiku 1950 roku do Ojca Świętego „Memoriał", przedstawiający stan życia kościelnego w administracjach apostolskich. Wskazywaliśmy, w pełnym przekonaniu, że powrót Polski nad Odrę i Nysę, to jest zarazem powrót Kościoła na ziemie ongiś sprotestantyzowane, zwłaszcza w Ziemi Lubuskiej i na Pomorzu Zachodnim. Na tych terenach żyje dziś przeszło 7 milionów katolików; pracuje wśród nich prawie 3 tysiące kapłanów. Przecież na terenie samej tylko diecezji gorzowskiej jest czynnych przeszło tysiąc świątyń i kościołów pomocniczych, podczas gdy przed wojną liczba ich nie dochodziła setki. Kościół katolicki wrócił wraz z ludnością polską tu, skąd był przed wiekami wyparty przez reformację luterańską.

Fakt ten jest oczywisty i należycie doceniony przez Stolicę Świętą. Nie szczędziliśmy czasu, by to należycie naświetlić w Rzymie. A trzeba przyznać, że i Ojciec Święty nie żałował swego czasu, by tych naszych wyjaśnień uważnie wysłuchać. Również w Sekretariacie Stanu poświęcono nam wiele uwagi i najlepszej woli zrozumienia naszych oświetleń.

Jak zatem określiłby Ks. Prymas stanowisko Stolicy Apostolskiej wobec kościelnego problemu Ziem Zachodnich?

Pogląd społeczeństwa, Episkopatu polskiego i Rządu na sprawę Ziem Zachodnich jest jednolity. Wie o tym Stolica Święta, ze stanowiskiem tym uczy się i ma pełne dla niego zrozumienie.

Stolica Święta nie jest skłonna do deklaracji słownych. Nie brak jednak faktów, które niekiedy więcej mówią, niż słowa. A jest niewątpliwym faktem, że Stolica Św. przyjęła do wiadomości zorganizowanie przez kardynała Hlonda życia kościelnego na Ziemiach Zachodnich. Co więcej, Stolica Święta pozwoliła na stworzenie tu kościelnych instytucji, które przysługują kanonicznie określonym organizmom kościelnym. Stolica Święta pozwoliła na zorganizowanie kurii diecezjalnych, sądów duchownych, seminariów duchownych. A więc Stolica Św. liczy się z tym, że kościelne życie polskie będzie się tu nadal rozwijać, będzie się stabilizować i przybierać coraz to doskonalsze formy.

Stolica Święta przyjęła też do wiadomości i nasze postulaty, dotyczące organizacji kościelnej na Ziemiach Zachodnich. Powzięła nawet takie decyzje, które mają wielkie znaczenie, dla pomyślnego ułożenia stosunków kościelnych. A chociaż realizacja tych decyzji wymaga jeszcze czasu, to jednak tworzą one fakty historyczne, będące nowym dowodem liczenia się Stolicy Św. z prawami i potrzebami polskiego życia kościelnego na Ziemiach Zachodnich.

Dochodzą nas coraz donioślejsze echa ostrej kampanii rewizjonistycznej i antypolskiej rozwijającej się w zachodnich Niemczech. W kampanii tej, niestety, czynny udział biorą tak katolicy świeccy jak i poszczególni przedstawiciele niższego i wyższego duchowieństwa niemieckiego. Czy wolno zapytać co sądzi o tej sprawie Ksiądz Prymas?

Społeczeństwo polskie jest słusznie zaniepokojone odgłosami propagandy antypolskiej, która coraz silniej podnosi głos przeciwko granicom Polski nad Odrą i Nysą. Podzielamy ten niepokój, bo widzimy w odgłosach antypolskich grozę dla pokoju. A ojczyźnie naszej tak bardzo potrzeba pokojowej pracy, by zdołała odbudować życie swoje gospodarcze i zabliźnić rany, zadane naszemu dorobkowi biologicznemu i kulturalnemu. Mielibyśmy nawet prawo oczekiwać od narodu niemieckiego, a zwłaszcza od katolików niemieckich, czegoś innego. Wszak moralność katolicka każe uznać w sumieniu odpowiedzialność za wywołaną wojnę, której ofiarą padła m. in. Polska. Katolicy niemieccy muszą być świadomi ciężkich krzywd, jakie wyrządzono państwowości polskiej, polskiej kulturze narodowej w czasie tej wojny. Jakie racje zdołają usprawiedliwić wymordowanie tylu milionów obywateli polskich? — Czym da się uzasadnić bezprzykładne wprost w dziejach zburzenie tak wielkiego miasta, jak stolica Polski — Warszawa? Czyny te dotąd wołają o sprawiedliwość. Jeśli Opatrzność Boża chciała nas mieć, właśnie teraz, znowu na Ziemiach Odzyskanych, to w tym wymownym fakcie widzę nie tylko uznanie praw historycznych, ale i wyraz sprawiedliwości, która dokonuje restytucji. Widzę też w tym fakcie i ostrzeżenie dla „narodów krwawych" — jak je nazywa Pismo św., by powściągały swe wojenne zapędy, gdyż bezkarnie ujść nie mogą. Katolicy zaś niemieccy muszą zrozumieć, że dzieło sprawiedliwości, za wyrządzone światu w czasie wojny krzywdy, nie może być bezbolesne.

Świadomi swych praw i doznanej sprawiedliwości dziejowej, utrzymujemy nasz słuszny niepokój w granicach dozwolonych dla Narodu znającego swą godność i wierzącego w Opatrzność Bożą. I dlatego nie przerywamy naszej spokojnej pracy, gdyż praca, wkładana w odbudowę Ziem Odzyskanych, jeszcze umacnia nasze do nich prawa.

Nie jest rzeczą księży biskupów, jako przedstawicieli Kościoła, wydawać deklaracje i przemawiać na wiecach. To należy do dyplomatów i polityków. Natomiast katolicy, jako członkowie społeczności państwowej, mają spełnić swój obowiązek — obrony praw Polski do Ziem Zachodnich.

Gdy jednak wzmaga się ta działalność nieprzyjazna, która mogłaby zakłócić spokojną pracę ludu naszego na Ziemiach Zachodnich — by dać wyraz naszemu przekonaniu stajemy wśród tego ludu — wraz z nim modlimy się o pomyślność ojczyzny. Błogosławimy życiu i pracy tego ludu nad uprawą roli, nad rozbudową fabryk i kopalń, nad odbudową miast odzyskanych. Stajemy na ambonach i pouczamy ten lud o cnotach, które są niezbędne dla pomyślności doczesnej i jako środek do postępu duchowego.

Nasza spokojna obecność wśród tego ludu, nasza wspólna modlitwa, nasze błogosławieństwo są najwłaściwszym dla nas i najskuteczniejszym wyrazem naszego stanowiska w obronie Ziem Zachodnich.

Na zakończenie jeszcze jedno pytanie: na czym polega istotna rola współczesna Kościoła na Ziemiach Zachodnich?

Odpowiem Panu przykładami i spostrzeżeniami z naszej podróży. Najwymowniejszych wrażeń doznałem na dwóch krańcach swej, od kilku miesięcy zamorskiej podróży: w Cybince pod Słubicami i w katedrze św. Jakuba w Nysie. W Cybince widziałem Polskę w miniaturze. Lud, który tu się modlił, w starym do niedawna protestanckim zborze, dziś świątyni katolickiej, był uosobieniem wspólnoty narodu. Bo chociaż przywędrowali tu ze wszystkich stron Rzeczypospolitej, to jednak rychło odnaleźli wspólny język. Porozumieli się u stóp ołtarzy Pańskich. Tu opuścił ich lęk przed przyszłością, niepewność losu, bo tu usłyszeli znane sobie wołanie Kościoła: *Sursum corda*. Tu zaśpiewali sobie społem: Serdeczna Matko. W tej nucie mieści się cała gama ozdrowieńczych mocy. Jak doniosłą rzeczą dla narodu, narażonego na zmienne koleje dziejowych przemian, pozostaje więź jednej wiary, która spaja przeżycia dziejowe.

A w potężnej katedrze św. Jakuba w Nysie? — Późnym wieczorem zgromadził się tu lud pracowity, pochodzący z całej niemal Polski. Świątynia była wypełniona po brzegi. Nie sposób powtarzać słowa doń wypowiedziane.

Trudno jednak o bardziej wymowny dowód jednoczącej Naród mocy Kościoła. W tej rzeszy ludzkiej widzimy dzieło tych dziejowych szlaków, które ze wzgórza Lecha wiodły poprzez Wrocław aż ku południowym rubieżom Rzeczypospolitej, w ramionach metropolii gnieźnieńskiej. Całe wieki pracowały nad wyżłobieniem tego „bursztynowego szlaku wiary". Przez Bramę Kłodzką szli ku Gnieźnu apostołowie wiary, a stąd roznosili ją wszystkim pokoleniom i wiekom idącej w nowe życie Polski. A dziś w wyniku trudnych do przewidzenia przemian dziejowych, dzięki tej Polski wypełniły katedrę, budowaną przed wiekami polskimi dłońmi. Przemieszał nas Bóg, jak nowy zaczyn w dzieży. Widocznie ma być wypieczony nowy bochen chleba, którym ma się żywić odrodzona Polska. — Jest nad czym myśleć! A jednocześnie jest czemu wierzyć. Bo nie kapitulujemy dziejowy to sprawił. Jest potężna wymowa w tym fakcie idącej na zachód Polski.

Idzie tylko o to, byśmy swoją dziejową godzinę rozpoznali i wypełnili wszystkie zadania na tę godzinę podyktowane. Stąd odpowiedzialność nasza nie tylko za osobiste życie w tej ziemi, ale i za dziejowe zadanie Narodu. Od każdego z nas, od naszej wiary w przyszłość, od zdolności do poświęceń, od ducha ofiary, od wydajności naszej pracy — zależy, czy wypełnimy zadanie dziejowej godziny Polski nad Nysą.

Te myśli przekazaliśmy i tutejszemu kapitule katedry św. Jakuba i mirowi sere ludzkich. Są one wyrazem myślenia społeczeństwa katolickiego w Polsce i zasadą postępowania duchowieństwa i Episkopatu na Ziemiach Zachodnich.

Gniezno, 29 [illegible] 1951

ARTUR HUTNIKIEWICZ

O STEFANIE GRABIŃSKIM

Przed piętnastu laty, dnia 12 listopada 1936 roku, umierał na przedmieściu Lwowa Stefan Grabiński. Umierał w całkowitym osamotnieniu, pogrzebany w niepamięci już za życia, wśród głuchego milczenia i ciszy. Ta cisza i to milczenie, w których utonęły ostatnie jego lata, trwają nadal; generacja starsza zdołała już o nim zapomnieć, młodzi nie znają go zapewne wcale. A przecież ten ciekawy człowiek i oryginalny twórca miał w swoim życiu okres rozgłosu, a jego dzieło niezwykłe, wyjątkowe, egzotyczne niemal dzięki swej absolutnej nowości, stanowi klasę samo dla siebie i odrębny, samoistny rozdział w dziejach literatury polskiej. Zanim nauka zważy i oceni twórczość tego pisarza w rzeczowym studium monograficznym (studium takie znajduje się na warsztacie), w piętnastą rocznicę zgonu należy się Stefanowi Grabińskiemu przynajmniej skromne przypomnienie.

Najpierw, dla orientacji kilka dat biograficznych. Urodził się w r. 1887 w Kamionce Strumiłowej. Dzieciństwo przepędził w Łące pod Samborem, gdzie ojciec jego Dionizy był naczelnikiem sądu. Gdy miał lat dwanaście, po przedwczesnej śmierci ojca, rodzina Grabińskich przeniosła się do Lwowa. Odtąd już na zawsze losy pisarza związane będą z tym miastem. Tu skończył V gimnazjum, tzw. bernardyńskie, tu w latach 1905—1910 studiował polonistykę i filologię klasyczną i tu w ciągu następnych lat dwudziestu był nauczycielem szkół średnich. Życie Grabińskiego nie obfitowało w nadzwyczajne wydarzenia czy przygody. Było to typowe życie samotnika, przemijało niepostrzeżenie, z dala od zgiełku wielkich wydarzeń, wśród uciążliwej, męczącej pracy zawodowej, w ustawicznym pasowaniu się z nieuleczalną chorobą i wśród fantastycznych, nieprawdopodobnych przygód duchowych. Dwa tylko razy udało się Grabińskiemu odetchnąć powietrzem szerszego świata, raz w r. 1927, w czasie kilkutygodniowej podróży do Włoch, kiedy to zwiedził Rzym a dłużej zatrzymał się w Wenecji, i powtórnie w r. 1929, w czasie parodniowej już jedynie wycieczki nad Morze Czarne do Konstancy. I to już właściwie wszystko. Rychło po powrocie z Rumunii gwałtowny nawrót nękającej pisarza przez całe życie choroby powalił go na łoże, z którego nie miał się już nigdy dźwignąć. Przez siedem lat dogasał w Brzuchowicach pod Lwowem, w zupełnym zapomnieniu i milczeniu.

To życie samotne, ciche, odarte z wszelkich barw i uroków zewnętrznych, było jednak wypełnione jedną potężną, namiętną pasją — pasją tworzenia Grabiński rozpoczął pisać już w latach gimnazjalnych i uniwersyteckich. Gdy był jeszcze studentem, w r. 1909 wydał własnym nakładem skromniutki tomik opowiadań pt. „Z wyjątków. W pomrokach wiary", kryjąc się wstydliwie pod znamiennym, z młodopolska brzmiącym pseudonimem Stefan Żalny. Te pierwociny były bardzo słabe i słusznie poszły w niepamięć. Mimo braku jakiejkolwiek zachęty z zewnątrz Grabiński podjął w latach następnych upartą i niezmordowaną pracę nad sobą, by zadebiutować powtórnie w r. 1918 nowym tomikiem nowel „Na wzgórzu róż", tomikiem, który pierwszy liczy się w jego bibliografii. Karol Irzykowski i Wilam Horzyca utorowali mu drogę do czytelników i objawili światu literackiemu, ogłaszając w krakowskich „Maskach" i w warszawskim „Pro arte" przychylne recenzje o książce, która bez wątpienia była manifestacją mocnego i oryginalnego talentu. Na lata 1918—1922 przypada jedyny w życiu pisarza krótki okres rozgłosu, wziętości i sławy. Pozycję jego gruntuje i umacnia zwłaszcza tom fascynujących nowel kolejowych „Demon ruchu" (1919, 1922), w którym precyzja obserwacji i doskonałe opanowanie realiów życia kolejowego splata się z urzekającą poezją metafizycznych przeczuć. Każdy rok przynosi teraz nowe pozycje w dorobku pisarza: 1920 — tom nowel „Szalony pątnik", 1921 — „Niesamowitą opowieść", 1922 — „Księgę ognia". Grabiński wychodzi w tych latach poza nowelę, którą stanowiła dotąd dominujący w jego twórczości rodzaj, i próbuje sił na polu dramatu i powieści. W r. 1920 wystawia w Warszawie i w Krakowie dramat fantastyczny „Willa nad morzem" („Ciemne siły"), w 1921 w Krakowie trylogię dramatyczną „Zaduszki". Trzeci dramat „metapsychiczny", „Manowiec" („Larwy"), nie doczekał się realizacji ani nie był nigdzie drukowany. Rok 1924 przynosi pierwszą powieść: „Salamandrę".

Po tym krótkotrwałym wzniesieniu fala zainteresowania twórczością Grabińskiego opada, by się już nigdy nie wznieść ponownie. Grabiński nie posiadał umiejętności autoreklamy, był przekonany, że rzetelna sztuka nie wymaga jakichś specjalnych zabiegów propagandowych, ceniąc zaś sobie wysoce niezależność, trzymał się na uboczu, z dala od wszelkich koterii i kapliczek literackich. Była to taktyka dość ryzykowna w dobie zmerkantylizowania literatury i wobec absolutnej przewagi Warszawy na rynku literackim, tym więcej, że rodzaj uprawianej przez niego twórczości zwężał i tak, automatycznie niejako, zasięg rezonansu i popularności. Nie zabiegając o poparcie i koneksje, skazywał się na obojętność krytyków. Toteż utwory z lat następnych, powieści: „Cień Bafometa" (1926), „Klasztor i morze" (1928), „Wyspa Itongo" („Król Czandaura", 1931, 1936) i tom nowel „Namiętność" (1939) nie budzą w prasie literackiej odzewu równie żywego jak pierwsze publikacje pisarza. Spośród przyjaciół i szczerych wielbicieli jego talentu dotrzymywali Grabińskiemu wierności jedynie Irzykowski i najbliższa w owych latach powiernik myśli i pomysłów, Jerzy Eugeniusz Płomieński. Ich to inicjatywie i staraniom zawdzięczał pisarz nagrodę literacką miasta Lwowa, którą mu przyznano w r. 1931 w uznaniu dla twórczości oryginalnej i z uwagi na poważnie zagrożony stan jego zdrowia. Było to jedyne w owych latach pomyślne wydarzenie w życiu Grabińskiego. Nagroda ocaliła mu bezsprzecznie kilka lat życia, umożliwiając podjęcie intensywniejszej kuracji, i — co może ważniejsze — pokrzepiła moralnie pisarza, który na wyrazy uznania był nadzwyczaj wrażliwy i czuły, a zmierzch swej literackiej sławy przeżywał głęboko i boleśnie. Mimo ciężkiej niemocy Grabiński pracował do końca, pracował nad powieścią, która miała stanowić w jego twórczości punkt zwrotny ze względu na całkowitą eliminację pierwiastka fantastycznego. Powieści tej, noszącej tytuł „Motywy docenta Ponowy", Grabiński ukończyć się nie zdołał.

■

Grabińskiego zwykło się wiązać z Młodą Polską. Ta rzecz wymaga bliższych wyjaśnień i niejakiej korektury. Bez wątpienia Grabiński-twórca dojrzewał w okresie żywych jeszcze tradycji modernizmu. Jego literackie prymicje wykazują aż nadto wyraźne ślady oddziaływania młodopolskiej maniery stylistycznej. Sam pisarz nie wypierał się tych związków, w modernizmie widział płodny w pozytywne następstwa „bunt ducha". Ale nieporozumieniem jest widzieć w Grabińskim epigona. Ten termin ma w sobie coś pejoratywnego. Epigonizm, zjawisko schyłkowe, właściwe epokom przemijającym, owo galwanizowanie idei niegdyś żywych i porywających, które straciły jednak swoją moc i znaczenie, a załamane w twórczości talentów naśladowczych, miernych i ubogich świecą już tylko słabym odblaskiem wielkich pierwowzorów, epigonizm tak pojęty jest zjawiskiem całkowicie innorodnym w stosunku do naszkiców oryginalnej, płynącej z najgłębszych doświadczeń i przemyśleń osobistych twórczości Grabińskiego. Typ pisarstwa, reprezentowany przez niego, nie ma właściwie precedensów w literaturze polskiej. Jeśli co wiąże Grabińskiego z modernizmem polskim i europejskim, to jedynie najogólniejsze podobieństwo postawy wobec świata, wspólnota zainteresowań dla niektórych aspektów rzeczywistości przy całkowicie oryginalnym ich traktowaniu Jego osobowość psychiczna i artystyczna dojrzała i uformowała się ostatecznie w pierwszym dwudziestoleciu naszego wieku. Jest to okres wciąż jeszcze trwającego potężnego przypływu i stałego wznoszenia się fali spirytualizmu, obudzenia myśli i uczuć religijnych, gwałtownej reakcji przeciw minimalistyczno-pozytywistycznej filozofii poprzedniego okresu, to epoka bergsonizmu, schopenhaueryzmu, wzmożonego zainteresowania mistyką Wschodu, masowych ruchów pseudoreligijnych: teozofii, antropozofii i spirytyzmu. W tych różnorakich, a często jakościowo niewspółmiernych manifestacjach jednolitego w zasadzie prądu duchowego przejawiał się niepokój epoki przełomowej, wstrząsanej konwulsjami wojen, oczekującej nowych, jeszcze straszliwszych kataklizmów. Literatura i sztuka europejska nosi piętno tych niepokojów, wyraża nadzieje i obawy swego czasu. Twórczość Grabińskiego wyrasta bezpośrednio z owego podłoża europejskiego. Tkwiąc w swojej prowincjonalnej pustelni, Grabiński przybliżał sobie Europę poprzez książki. Znał ważniejsze języki nowożytne. To ułatwiało kontakty. Typowy introwertyk, marzyciel, mało aktywny życiowo, stwarzał sobie swój własny świat, w którym granice między rzeczywistem a wymarzonem zacierały się, nie istniały.

Niewątpliwe związki z nastrojem czasów nie tłumaczą jednak wszystkiego. Dzieło Grabińskiego jest niezrozumiałe bez uwzględnienia jego najbardziej osobistych, intymnych przesłanek genealogicznych. Autobiograficzne wyznania pisarza rozświetlają w niejakim stopniu tajemnicę tej niezwykłej twórczości. Jako dziecko, bardzo wątłe i delikatne, Grabiński rósł w atmosferze swoistej izolacji i odcięcia od świata pod troskliwą opieką kobiet: matki, babki i sióstr. W tej aurze tkliwości wrodzona skłonność do marzeń, tak znamienna dla schizotymicznych natur, znajdowała idealne warunki spotęgowanego rozwoju. Gdy okoliczności skazywały na bezczynność fizyczną, życie wewnętrzne już w dziecku pulsowało [illegible] dla Grabińskiego [illegible] W szkolnych latach [illegible] nej nęciły Grabińskiego [illegible] fizyczne i pluralistyczne [illegible]. To zgadzało się z jego [illegible] nym przeświadczeniem i najgłębszą wiarą w wielopostaciowość i trwałość istnienia.

Najwięcej jednakże materii tematycznej dostarczała pisarzowi fenomenologia życia psychicznego. Interesowały go szczegółowo wszelkie anomalie, odchylenia od normy, zjawiska dziwaczne i ekscentryczne oraz cała ta dziedzina tajemniczych napoły fenomenów, którą zajmuje się nowoczesna parapsychologia czyli, popularnie mówiąc, „wiedza tajemna", okultyzm i mediumizm. Grabiński posiadał w tej dziedzinie zdumiewającą erudycję. Ale śmieszną jest rzeczą mieć go za okultystę czy jakiegoś poszukiwacza łatwych, sensacyjnych efektów. Grabiński traktował sprawę z całkowitą powagą. Nie dla olśniewania oryginalnością pomysłów powracał w swych utworach uporczywie do owych zjawisk dziwnych i niemowitych, lecz dlatego, że dostrzegał czy dopatrywał się w nich znaków i symbolów, za pośrednictwem których sygnalizowała swoje istnienie ta inna rzeczywistość, widział w nich — jak zwykł mówić — protuberancje życia, poprzez które wygaduje się nickiedy „zazdrosne o swe tajemnice pandemonium bytu".

Grabiński był organizacją duchową na wskróś religijną. Bez wątpienia wiele jego pomysłów i koncepcji, w które zdawał się wierzyć, trudno pogodzić z ortodoksją katolicką. Ale jego postawa wobec świata była postawą człowieka najgłębiej wierzącego w metafizyczny sens życia. Czar katolickiej liturgii, piękno obrzędów, ich głęboka, symboliczna wymowa, urok pieśni kościelnej, sztuki, poezji religijnej, cisza eremów i klasztorów, to życie utajone, przemijające w milczeniu, z dala od zgiełku świata, a poświęcone całe kontemplacji rzeczy boskich — wszystko to nęciło jego wyobraźnię i zajmowało poczesne

(Dokończenie na str. 4).

ODEZWA EPISKOPATU POLSKI

W SPRAWIE KATOLICKIEGO UNIWERSYTETU LUBELSKIEGO

W dniu 4 listopada br. Katolicki Uniwersytet Lubelski rozpoczął 33 rok akademicki. W uroczystości tej wzięła udział Komisja Episkopatu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jednocześnie podajemy do wiadomości wszystkich akademickiej, że kierownictwo uczelni sprawować będzie nowy rektor, wybrany przez Senat, a zatwierdzony przez Episkopat i władze Rzeczypospolitej Polskiej.

Uczelnia lubelska przeszła w ciągu swego istnienia dość ciężką drogę. Zrodzona z ofiarnego czynu śp. K. Jaroszewskiego i śp. rektora Idziego Radziszewskiego, biskupów polskich i duchowieństwa, do dziś dnia żyje duchem tej ofiary i poświęcenia jej rektorów, profesorów i młodzieży katolickiej. Boć wszyscy pracują tu w niezwykle trudnych warunkach. Zwłaszcza obecnie, chociaż uniwersytet zaleczył rany zniszczenia wojennego, stoją przed nim nowe wielkie zadania. Ogromny napływ młodzieży akademickiej, przekraczający w br. trzy i pół tysiąca słuchaczy, młodzieży przeważnie ze wsi, często bardzo wybitnie domaga się rozbudowy i pomocy materialnej.

Uniwersytet Katolicki musi wybudować nowe domy akademickie, rozbudować zakłady naukowe, pracownie, biblioteki, niektóre gmachy przebudować, by pomieścić tłumy młodzieży przybywającej po wiedzę katolicką.

A co jest szczególną troską naszą — to gwałtowna potrzeba pomocy materialnej. Młodzież jest zubożała, często chorowita, niedożywiona. Trzeba stworzyć stypendia i pomoce naukowe dla wielu bardzo zdolnych i pracowitych akademików i akademiczek.

Pomimo tych braków uczelnia trwa, boć jest potrzebą Kościoła, młodzieży i społeczeństwa katolickiego. Co więcej, zyskuje sobie coraz bardziej na popularności. Duchowieństwo i społeczeństwo katolickie coraz czynniej popiera wysiłki Episkopatu i Senatu Uniwersyteckiego. Wzrost ofiar na tace kościelne i składek na Towarzystwo Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu — jest bardzo wymowny.

Tym spokojniej patrzymy w przyszłość, ufni, że otrzymamy od was, katolicy, coraz obfitsze ofiary w świątyniach, składki członkowskie, a nawet całe stypendia akademickie dla najuboższej młodzieży.

Złożyliśmy w wasze dłonie, katolicy, nasze troski, ufni w pomoc Bożą i waszą. Pragniemy zapewnić, że stać będziemy, jak dotąd na straży czystości nauki katolickiej, która w umysłach i woli dzieci waszych ma służyć Bogu i ojczyźnie.

Opatrzność Boża, która wspierała wasiłki nasze przez lat z górą trzydzieści i dziś nas nie opuści. Oddajemy uczelnię jej profesorów i młodzież Bożemu Sercu Jezusowemu, by kształtowało serca wszystkich według Serca Swego.

Lublin, dnia 4 listopada 1951

(—) Stefan Wyszyński, Arcybiskup, Prymas Polski

(—) Piotr Kałwa, Biskup Lubelski, Wielki Kanclerz KUL-u

(—) Eugeniusz Baziak, Arcybiskup

S. MARIA RENATA

JAK BŁOG. PIUS X ZOSTAŁ PAPIEŻEM

(Niedawna beatyfikacja papieża Piusa X wywołała szereg nowych prac o wielkim papieżu. W maju br. wyszła w Rzymie niezmiernie ciekawa praca p. Pierluigi Occelli pt. Il Beato Pio X, Papa". Na niej to głównie oparty jest niniejszy artykuł, chociaż jego autorka posługiwała się także pomocniczo pracą daleko starszą, pisaną jeszcze za życia Piusa X, przez Msgr. de Colleville, który był „kamerierem" Piusa X.)

Dnia 20 lipca 1903 r. zmarł papież Leon XIII, któremu „przepowiednia" Malachiasza dawała miano *Lumen de coelo* („Światłość z nieba"). Na łożu śmierci, 93-letni starzec, który był niepoślednim poetą, napisał po łacinie utwór pt.: *Nocturna ingemiscentis animae meditatio.* To „nocne rozmyślanie" wielkiego papieża zaczyna się od słów: *Fatalis ruit hora, Leo, jam tempus abire est* („Leonie, wybiła naznaczona ci godzina: czas już odejść").

Umierający papież rozmyśla nad swym długim życiem. Ogarnia go lęk na wspomnienie olbrzymiej odpowiedzialności najwyższego urzędu, sprawowanego przez ćwierć wieku z górą; drży przed surowym sądem, który go czeka. Wreszcie myśl kojąca niesie mu pociechę: *Christus adest miserans* — „Chrystus miłosierny wspiera"...

Fatalis ruit hora... Godzina przeznaczona wybiła również dla tego, który miał nastąpić po Joachimie Peccim na Stolicy Piotrowej.

Patriarcha wenecki nie przeczuwał takiego obrotu wypadków. Powołany do Rzymu na konklawe, wyjechał 26 lipca, z sekretarzem swym, monsignorem Bressan, i z wiernym kamerdynerem Janem Abbiategrasso; kazał się zawieźć na dworzec, nie swoją gondolą o czterech wioślach, którą znało całe miasto, lecz zwykłą czarną, o jednym gondolierze, — niby fiakrem. Mimo to na dworcu zebrały się tłumy. Stara żebraczka spod kościoła św. Marka, patrząc z miłością na kardynała, zawołała z podziwem: „Co za piękny to będzie Pius X!" Tłum cisnął się dokoła ukochanego patriarchy, wołając: *Ritorni, ritorni presto!* („Powracaj, powracaj prędko") „Żyw czy umarły — powrócę!" — odpowiedział kardynał. Nie miał już powrócić ani żyw, ani umarły.

Nazajutrz 27 lipca kardynał Sarto przybył do Rzymu i zamieszkał w Seminarium Lombardzkim w nowej dzielnicy Prati di Castello. Po południu udał się do bazyliki watykańskiej i modlił się gorąco na grobie Księcia Apostołów i na tymczasowym grobie Leona XIII, który miał spocząć później, wedle swego życzenia, w Bazylice Laterańskiej.

Przez 3 następne dni brał udział w dziewięciodniowych nabożeństwach żałobnych za duszę zmarłego papieża, które się odbywały w Kaplicy Sykstyńskiej (pierwszych sześć odbyło się już poprzednio w bazylice św. Piotra). Na 8-bocznym katafalku umieszczono cztery napisy głoszące wierszem łacińskim pochwałę świątobliwego życia Leona XIII i jego zasługi. W głębi kaplicy, pod groźnym Sądem Ostatecznym Michała Anioła, rozwieszono nad ołtarzem bezcenny arras Rafaela, przedstawiający wskrzeszenie Łazarza. Don Lorenzo Perosi dyrygował swoim chórem śpiewającym dwa jego żałobne utwory: *Dies irae* i *Libera*.

Wzdłuż ścian kaplicy, tuż pod freskami florenckich quattrocentistów ustawiono 64 trony dla kardynałów mających brać udział w wyborze nowego sternika nawy Piotrowej. Dwa tylko były puste: 90-letniego chorego kardynała Celesia z Palermo i kardynała Moran z Sydney, który nie zdążył jeszcze dopłynąć z Australii.

W dniu 30 lipca przypadł kardynałowi Sarto zaszczyt odśpiewania jednej z pięciu rytualnych absolucji przy katafalku, co było ukończeniem uroczystości pogrzebowych. (Samo złożenie zwłok do tymczasowego grobu u św. Piotra odbyło się już 25 lipca.) Nazajutrz, 31 lipca miało się rozpocząć konklawe.

Po południu kardynał Sarto przyjmował odwiedziny. Między innymi stawił się margrabia Crispolti, który mu rzekł: „Pragnę — i sądzę, że wolno wiernym pragnąć — aby wybrano jednego z kardynałów rezydujących w swoich diecezjach". Patriarcha wenecki zgodził się z tym zdaniem, bo — mówił — trzeba kogoś mającego osobiste doświadczenie i orientację w zawiłych zagadnieniach i znającego palące potrzeby dzisiejszego społeczeństwa. Na zakończenie zaś dodał: „Zamiast robić rozmaite przypuszczenia i wyrażać daremne życzenia, należy pragnąć tylko jednego: aby lekkim był krzyż papieskiej tiary, któremu Bóg zamierza go nałożyć!" Hrabinie Carpegna, rodem z Wenecji, która wyrażała pragnienie swoje i rodzinnego miasta: „Eminencjo, pragniemy wszyscy powitać cię jako papieża" — odpowiedział „Już i tak zbyt wielki zaszczyt mnie spotyka, że Bóg posługiwać się raczy takimi jak ja pośrednikami w wyborze nowego papieża!" Dobremu znajomemu powiedział z właściwym sobie humorem: „Dzisiaj rano, podczas gdy Św. Kolegium Kardynalskie kończyło nabożeństwo dziewięciodniowe, spojrzałem wokoło i pomyślałem: Z tych to szeregów wyjdzie ten nieszczęśnik!" Pewnemu kapłanowi weneckiemu, który mu na wyjezdnym przepowiadał tiarę, kardynał Sarto odpowiedział żartobliwie: „Nie przypuszczam, aby Duch święty popełnił taką pomyłkę".

Mimo wszystko jednak niewyraźny lęk owładnął nim, gdy po południu 31 lipca żegnał się z alumnami Seminarium Lombardzkiego, aby udać się na konklawe. Jeden z nich powiedział potem, że kardynał miał łzy w oczach, ale usiłował żartować mówiąc: „Teraz idziemy do więzienia!"

Większa część kardynałów przewidywała dłuższe trwanie konklawe. Toteż wielu z nich miało ze sobą spory bagaż. Kardynał Sarto wziął tylko skromną torbę z czarnego płótna i teczkę z papierami. Na wyjezdnym z Wenecji monsignore Bressan chciał zapakować więcej rzeczy, lecz patriarcha oparł się temu: „Jedziemy przecież na parę dni do Rzymu, — nie do Ameryki!"

Zanim zamknięto klauzurę, kardynał Lecot, arcybiskup Bordeaux, zwrócił się po francusku do swego sąsiada, nieznanego mu kardynała Sarto, z zapytaniem, jaką zajmuje stolicę biskupią; ten odpowiedział mu po łacinie, iż nie umie po francusku. Na to usłyszał kategoryczne: *Ergo non es papabilis!* („A więc nie możesz być papieżem!") *Verum est, Eminentissime Domine, non sum papabilis: Deo gratias!* — brzmiała pokorna odpowiedź („Prawda, eminencjo — nie mogę być papieżem. Chwała Bogu").

Kardynał Mathieu podał potem do paryskiej *Revue des deux Mondes* swoje wspomnienia z tych historycznych chwil pt.: *Les derniers jours de Léon XIII et le Conclave par un témoin*, które nadały szeroki rozgłos tajnym obradom Św. Kolegium i wywołały później ze strony Piusa X surowy nakaz zachowania w tajemnicy wszystkiego, co się tyczy wyboru papieża, pod karą utraty purpury.

Zgromadzenie kardynałów przed wyborem papieża. Ze starego sztychu.

Tymczasem przygotowywano wszystko do konklawe. Szereg sal poprzedzielano przepierzeniami na cele dla kardynałów i dla dwóch „konklawistów" (sekretarza i służącego), których miał każdy. Apartamenta te były zupełnie odcięte od świata zewnętrznego. Głosowania miały odbywać się w Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie nie przechowuje się Najśw. Sakramentu. Wszystkie trony kardynałów wraz z baldachimami były fioletowe, prócz jednego zielonego dla kardynała Oreglii, który nie był mianowany przez Leona XIII, ale jeszcze przez jego poprzednika. Te baldachimy są podniesione, póki trwa interregnum i władza najwyższa spoczywa na Św. Kolegium. Po dokonaniu wyboru zostają spuszczone, prócz tego, który należy do elekta.

Otwarcie — raczej zamknięcie — konklawe naznaczono już na wieczór 31 lipca. Po południu odbyło się zebranie przygotowawcze Św. Kolegium; odczytano konstytucje papieskie tyczące się elekcji; kardynałowie złożyli przysięgę wierności przepisom i udali się do Sykstyny, gdzie wedle starszeństwa zasiedli na tronach. Wraz z nimi weszło trzech wysokich urzędników nie-kardynałów: monsignore Merry del Val, sekretarz konklawe, monsignore Cagliano, gubernator Watykanu i książę Chigi, dziedziczny marszałek konklawe, który złożył osobną przysięgę, że będzie strzegł zewnętrznego bezpieczeństwa i klauzury zebrania. Następnie członkowie Św. Kolegium wrócili do swych cel, a w sąsiedniej Kaplicy Paulińskiej, msgr. Merry del Val przyjmował przysięgę od konklawistów, a także lekarzy, aptekarzy, chirurgów, balwierzy, kucharzy oraz służby — którzy mieli być zamknięci w obrębie konklawe.

O 8 wieczór rozległ się na korytarzach dzwonek i głośne oznajmienie: *Extra omnes!* (niech wyjdą wszyscy). Jednocześnie kardynał camerlengo (Oreglia), dziekan Św. Kolegium, poprzedzony sługami niosącymi zapalone pochodnie, obchodził z mistrzami ceremonii dwory papieskiego korytarze i pokoje, badając, czy nikt niepowołany nie pozostał w klauzurze i czy wszelka komunikacja ze światem zewnętrznym jest uniemożliwiona. Wreszcie wezwał marszałka konklawe i wręczył mu dwa klucze od zewnętrznych zamków jednych drzwi wchodowych; książę Chigi wyszedł i zamknął je na klucz od zewnątrz, podczas gdy kardynał Oreglia uczynił to samo od wewnątrz.

Conclave („pod kluczem") było rozpoczęte.

Nazajutrz, 1 sierpnia, odbyło się przed południem pierwsze głosowanie. Wedle zwyczaju po każdym głosowaniu pali się natychmiast kartki; jeżeli wybór nie jest dokonany, dodaje się garść mokrej słomy i dym unoszący się z dachu Kaplicy Sykstyńskiej jest czarny; jeżeli papież jest obrany — a potrzeba na to 2/3 głosów — podpala się suchą słomę i dym jest biały. Olbrzymie tłumy zgromadzone na placu św. Piotra oczekują za każdym głosowaniem na sfumatę.

Sześć kolejnych głosowań przeszło bez wyniku i tłum za każdym razem rozchodził się zawiedziony do domu. Dzięki kardynałowi Mathieu wiadomo dziś, że na pierwszym głosowaniu kardynał Rampolla, sekretarz stanu Leona XIII i najpoważniejszy kandydat do tiary, otrzymał od razu 24 głosy, kardynał Gotti, karmelita, prefekt Kongregacji Biskupów i Zakonników — 17, kardynał Sarto — 5. Reszta głosów rozbiła się na drobne cyfry.

Należy przypomnieć, że kardynał Rampolla był kandydatem, którego sobie życzyła Francja, a pośrednio też zaprzyjaźniona z nią wówczas Rosja. — Gotti zaś uchodził za kandydata miłego dla Niemiec i Austrii. Ten fakt miał swoje następstwa.

Od mniej więcej 200 lat istniał zwyczaj zwany „ekskluzywą", polegający na urzędowym zastrzeżeniu jakiegoś państwa przeciw wyborowi któregoś kardynała na papieża. Prawo „ekskluzywy" arogowali sobie: cesarz austriacki, król francuski i król hiszpański, — jako przedstawiciele największych kiedyś w Europie państw katolickich. Ostatni raz, tj w 1769 roku, na konklawe, które dało tiarę Klemensowi XIV, państwa te zastosowały ekskluzywę do 23 kardynałów! Od tego czasu zwyczaj ten poszedł w zapomnienie. Aż dopiero teraz cesarz austriacki Franciszek Józef przypomniał go sobie i postanowił założyć veto przeciw kandydaturze kardynała Rampolli. Powierzył tę sprawę kardynałowi Puzynie, biskupowi krakowskiemu. Gdy na trzecim głosowaniu w dniu 2 sierpnia Rampolla otrzymał 29 głosów i już niewiele mu brakowało do potrzebnych 42, stała się rzecz nieprzewidziana: kardynał Puzyna powstał i oświadczył: „Mam zaszczyt w imieniu Franciszka Józefa, cesarza Austrii i króla Węgier, pragnącego użyć dawnego przywileju, ogłosić jego veto przeciw wyborowi Jego Eminencji kardynała Mariana Rampolli del Tindaro!"

Na to kardynał-dziekan Oreglia odpowiedział stanowczo w imieniu Św. Kolegium, że konklawe nie może przyjąć tego oświadczenia i przejdzie nad tą sprawą do porządku dziennego.

Powstał z kolei kardynał Rampolla i z majestatyczną godnością rzekł: „Boleję z powodu tego ciężkiego naruszenia wolności Kościoła. Co do mnie osobiście, nic milszego ani chwalebniejszego nie mogło mnie spotkać" *(nihil iucundius, nihil gloriosius accidere poterat).*

Na popołudniowym, czwartym głosowaniu kard. Rampolla otrzymał 30 głosów.

Kardynałowie zaczęli się prywatnie naradzać, czy nie będzie lepiej wybrać jednego z zupełnie neutralnych kardynałów Włochów, których kandydatury nie popiera żadne obce państwo. Patriarcha wenecki miał wszystkie dane: osobistą świątobliwość, dar rządzenia, jasny sąd, głęboką wiedzę, umiejętność obcowania z ludźmi; nie będzie *un Papa politico*, lecz *un Papa religioso*, jakiego świat potrzebuje. Wprawdzie mało jest znany w Rzymie, ale lud wenecki za nim przepada i jego 9-letnie rządy w stolicy lagun zbawienne zostawiły tam ślady. Tak rozumowano.

W pierwszym głosowaniu karynał Sarto otrzymał 5 głosów; w drugim 10, w trzecim 21, w czwartym po zgłoszeniu ekskluzywy 24, w piątym 27, w szóstym 35, w siódmym (4 sierpnia) więcej niż potrzebne minimum, tj. 50 — prawie 4/5 głosów. Ilość głosów na kardynała Rampollę po veto i proteście, po chwilowym wzniesieniu się do 30, zaczęła spadać: *la stella Rampolliana tramontava* („gwiazda Rampolliańska zachodziła") jak się wyrażały dzienniki rzymskie. Na ostatnim skrutynium miał już tylko 10 głosów, a Gotti 2; wszystkie inne były za kardynałem Sarto.

Patriarcha wenecki, skoro spostrzegł, że głosy padają coraz liczniej na niego, zaczął się bronić usilnie przed wyborem. Amerykański kardynał Gibbon opowiada, jak kard. Sarto te wyniki głosowania przyjmował: „Po każdym głosowaniu, w którym rosły stopniowo głosy za jego wyborem, kardynał Sarto zwracał się do swoich kolegów, błagając ich ze łzami, by odstąpili od swego zamiaru; wyliczał wszystkie swoje braki, tłumacząc, jak utrudniałyby one piastowanie tak odpowiedzialnego urzędu; głos mu drżał a łzy płynęły obficie z oczu; używał całej swej wymowy, aby odwieść [illegible] od tiary, — ale wzruszające jego pokora, zamiast przekonać wyborców o jego niezdolności, utwierdzała ich coraz bardziej w przekonaniu, iż on właśnie jest najodpowiedniejszym kandydatem. Poznawaliśmy coraz bardziej tę piękną duszę. I ja należałem do tych, którzy w nocy poprzedzającej ostatnie głosowanie poszli do jego celi, by przełamać jego rozpaczliwy opór". Uprzejmych lecz przynaglających słów użył kilkakrotnie msgr. Merry del Val, sekretarz konklawe; energiczniejszych kardynałowie Ferrata, Satolli, Gotti i Agliardi; wszystko rozbijało się o pokorne odmowy Józefa Sarto.

Wnętrze Kaplicy Sykstyńskiej przygotowane do konklawe

Oto urywki z tych rozmów, zachowane w pamięci ich uczestników:

— Nie mogę przyjąć. Sama myśl o papiestwie przyprawia mnie o śmiertelną trwogę... Obiecałem, że wrócę do Wenecji żyw czy umarły.

— Wracaj do Wenecji, Eminencjo, jeżeli tak pragniesz — rzekł na to kardynał Ferrata — ale wiedz, że duszą twoją będzie dręczona wyrzutami sumienia [illegible] opór przeciw [illegible].

— Odpowiedzialność przed Bogiem jest straszliwa...

— Straszniejsza jeszcze będzie odpowiedzialność twoja za odmowę.

— Jeżeli mi włożycie tiarę na

Kartka wyborcza przy głosowaniu na papieża

głowę, umrę prędko; zdrowie moje nie wytrzyma tego ciężaru.

— Przypomnij sobie słowa Ewangelii: „Pożyteczno wam jest, aby jeden człowiek umarł za lud, a nie wszystek naród zginął".

Kardynał Vanutelli starał się dodać mu odwagi, powtarzając usilnie:

— Przyjmij, przyjmij — taka wola Boża.

Kaplica Paolina stała się Ogrójcem Gethsemani dla udręczonej duszy patriarchy weneckiego. Spędzał tam długie godziny, wpatrzony w tabernakulum, błagając ze łzami, aby Pan oddalił od niego ten kielich. Tam zachodził do niego 38-letni sekretarz konklawe, zachęcając go.

— Nie, nie! — Nie myślcie o mnie! — Powiedz to kardynałowi dziekanowi... Nie mogę, nie mogę!

— Odwagi, Eminencjo! — szeptał klęczący przy nim przyszły kardynał sekretarz stanu. Odwagi! Bóg cię wspomoże!

Nadszedł wreszcie dzień 4 sierpnia, dzień św. Dominika, patriarchy Zakonu Kaznodziejskiego. Jeden z wyborców szepnął do kardynała patriarchy Lizbony: *In die patriarchae pro patriarcham oportet votare!* („W dzień patriarchy należy na patriarchę głosować".)

Przy tym siódmym skrutynium padło na patriarchę weneckiego 8 głosów więcej niż było potrzeba. Sprawdzono vota — wybór był kanoniczny.

Kardynałem Sarto owładnęło wielkie wzruszenie. Wnet jednak opanował się. Na oficjalne zapytanie kardynała dziekana, czy przyjmuje wybór, odrzekł pewnym już głosem: *Non mea, sed Tua voluntas fiat: accepto in crucem* („Nie moja lecz Twoja wola niech się stanie! Przyjmuję jako krzyż"). Na zapytanie, jakie imię chce przybrać, odpowiedział: „Ponieważ papieże, którzy najwięcej cierpieli za Kościół w ostatnim stuleciu, nosili imię Piusa, — obieram to imię". Natychmiast zniżyły się wszystkie baldachimy, z wyjątkiem jednego, a Pius X udzielił członkom Św. Kolegium swego pierwszego papieskiego błogosławieństwa. Protonotariusz apostolski spisał zaraz akt oficjalny wyboru, podczas gdy elekta zaprowadzono do zakrystii i Sykstyny, gdzie go przybrano w szaty papieskie. Gdy wrócił, zasiadł na tronie, a kardynałowie kolejno klękali przed nim całując go w rękę z pierścieniem Rybaka. Potem wszyscy „konklawiści" zostali dopuszczeni do oddania hołdu nowemu papieżowi. Na tym zakończyła się tzw. *oboedientia*.

*

Tymczasem na placu św. Piotra zebrane tłumy wyczekiwały niecierpliwie. Biały dym „sfumaty" oznajmił już, że nowy papież jest wybrany, ale kto?

Drzwi loggii nad przedsionkiem bazyliki otworzyły się niebawem i służba watykańska rozpostarła wielki dywan z herbami papieskimi na kamiennej balustradzie ganku; o godz. 11,55 kardynał Macchi zjawił się na balkonie, poprzedzony krzyżem i dwoma ceremoniarzami. Ogromny okrzyk tłumu powitał kardynała, który ręką dał znak milczenia i wśród nagłej ciszy donośnym głosem wypowiedział tradycyjną formułę: *Annuntio vobis gaudium magnum! Habemus Papam, Eminentissimum ac Reverendissimum Dominum cardinalem Josephum Sarto, qui sibi nomen imposuit Pii X.*

Burza okrzyków i oklasków przyjęła tę wiadomość. Wszystkie dzwony 400 kościołów Rzymu zaczęły bić radośnie, a ponad ich potężnym spiżowym dźwiękiem brzmiały entuzjastyczne wiwaty: *Evviva il Papa! Viva Pio X!* Wtem rozeszła się wieść, że nowy papież udzieli osobiście pierwszego błogosławieństwa apostolskiego wewnątrz bazyliki. Trzydziestotysięczny tłum rzucił się do kościoła i wypełnił ogromną świątynię. Pius X błogosławił ze wzruszeniem nie już rybakom i gondolierom weneckim, lecz Miastu i Światu — *urbi et orbi*.

S. MARIA RENATA
Niepokalanka

Redakcja
„Tygodnika Powszechnego" prosi p. TADEUSZA BIELICKIEGO
o podanie adresu, celem przesłania mu odpowiedzi na jego artykuł pt. „O filozofii, fachowcach..."

PODZWONNE ARTUROWI CHOJECKIEMU

W osamotnieniu zupełnym, w Domu Helclów w Krakowie, zmarł 21 listopada br. Artur Chojecki, uczony i poeta. Nieliczne grono przyjaciół ze świata literackiego i naukowego odprowadziło go na wieczny spoczynek na cmentarz na Salwatorze. Wspominano losy człowieka, jego prostolinijność, dobroć, niezłomność charakteru, bezkompromisowość, zgoła nieprzeciętne walory umysłu i twórczego pióra. Nad mogiłą miano odczytać ostatni jego utwór, który wyraża jego postawę duchową, lepiej i więcej mówi o człowieku, niż to zdoła pomieścić spisany bieg jego życia. Utwór nosi tytuł „Poznanie" — i brzmi tak:

Jakże mam pojąć wieczność, w której czas nie płynie,
Tutaj, gdzie wszystko wschodzi, przechodzi i ginie?

Jakże mam pojąć światłość bez miary i końca,
Kiedy oczy mrużymy przed blaskami słońca?

Jakże mam pojąć prawdę, co wszystko wyjaśni,
Gdy po ziemi chodzimy wśród fałszów i baśni?

Jakże mam pojąć miłość, co wszystko ogarnie,
Gdy w tym życiu kochamy i mało i marnie?

Jakże mam pojąć dobro i piękno bez skazy,
Gdyśmy duchem i ciałem nieciosane głazy?

A jednak w sercach naszych żyje ufność błoga,
Że pojmiemy w wieczności niepojętość Boga!

Do Krakowa, gdzie znalazł ostatni spoczynek, przybył Artur Chojecki dopiero po powstaniu, z Warszawy, w której trzydzieści lat mieszkał. Pochodził z kresów, urodził się w Żytomierzu 25 czerwca 1880. Był synem Tadeusza i Marii z Iwanowskich. Ojciec jego trzymał dzierżawy na Ukrainie i Podlasiu, nie wiodło mu się jednak i w końcu osiadł w Warszawie. Matka zmuszona była uczyć dzieci po dworach, syn zaś mieszkał u babki w Żytomierzu, gdzie w 1898 skończył ze złotym medalem gimnazjum klasyczne i udał się na wydział chemiczny do świeżo otwartej Politechniki Warszawskiej. Chemia, którą ukończył nie zadowalała go jednak, nęciła natomiast filozofia i językoznawstwo. Toteż młody inżynier-technolog trzuca cukrownię, gdzie odbywał praktykę i zapisuje się w 1905 na Uniwersytet Jagielloński, wchodzi w żywą atmosferę humanistyczną i literacką, poświęca się głównie studiom lingwistycznym i filozoficznym, a po pięciu latach doktoryzuje się na podstawie pracy „Zarys psychologii uwagi". Specjalność swą pogłębia w Genewie, gdzie dostaje się do pracowni słynnego Claparède'a i wykonuje dwie prace, które ogłasza w *„Archives de Psychologie"* (1911 i 1912). W Genewie jest prezesem studenckiej Bratniej Pomocy, zbliża się do przebywającego tam wówczas Edwarda Abramowskiego, który wywiera wpływ na tok jego prac psychologicznych, poznaje Ignacego Paderewskiego. Wyjeżdża następnie do Paryża (1911), gdzie słucha wykładów Bergsona, Janeta. Piérona i bierze udział w życiu kolonii polskiej, bywa często u Władysława Mickiewicza. Powraca w końcu do Warszawy, aby od jesieni 1912 zacząć orkę w licznych prywatnych gimnazjach. Nie porzuca jednak badań naukowych, pracuje w Instytucie Psychologicznym, miewa odczyty i stale wykłady w Tow. Kursów Naukowych, później Wolnej Wszechnicy Polskiej, zbliża się do redakcji „Przeglądu Filozoficznego", Weryhy i Ochorowicza, ogłasza rozprawę „O wpływie woli na wahania uwagi", wreszcie jako zastępca Abramowskiego obejmuje wykłady psychologii na świeżo wznowionym w 1915 Uniwersytecie Warszawskim. W 1918 przyjmuje propozycję objęcia katedry psychologii w Uniwersytecie Katolickim w Lublinie, gdzie wyjeżdża i jako docent rozpoczyna wykłady. Praca pedagogiczna męczy go jednak i również nie zadowala, toteż porzuca doskonale rozpoczętą karierę naukową, wraca do Warszawy i wstępuje do Ministerstwa Spraw Zagranicznych (1919—1927).

Na tę nową zmianę życiowej decyzji nie pozostała, być może, bez wpływu jeszcze jedna nie zrealizowana ambicja: sięgnięcia po laury literackie. Może też zaważył cechujący go sceptycyzm w stosunku do wiedzy. W wierszu pt. „Nauki", tak nastrój swój określał:

Trawa szepce: wtul się we mnie twarzą,
Słuchaj pilnie o czym zioła gwarzą.
Ucz się razem z ziołami lichemi,
Jak to wszelka mądrość płynie z ziemi...

Drzewa szumią: ucz się od nas trwania,
Ucz się burze znosić bez szemrania,
Że głęboko w ziemię wróść potrzeba,
Aby głową móc sięgać do nieba...

Może wreszcie odezwał się atawizm rodzinny, boć jego dziad stryjeczny, głośny swego czasu autor „Akhadara". Edmund Chojecki, miał jeszcze bujniejszą drogę życiową i różnorodniejszych imał się zajęć.

Prace i poczynania literackie Artura Chojeckiego potoczyły się w kilku kierunkach: uprawiał publicystykę literacko-krytyczną po francusku na łamach założonego w 1925 w Warszawie dziennika *„Le Messager Polonais"*; powrócił następnie do pasjonujących go wciąż zagadnień poprawności językowej i prowadził w pismach codziennych popularne „Kąciki językowe"; ogłaszał utwory oryginalne oraz zajął się poważną pracą przekładową.

W wydanych dwu zbiorkach: „Wiersze" (1933) i „Miesiące" (1936), ściśle trzymał się tradycyjnej poetyki, której nigdy nie odstąpił i lapidarnie tak ją sformułował:

Wiersz musi śpiewać, musi grać,
mieć rym, sens i melodię.
Innej poezji nie chcę znać,
Zarówno oraz, jak hodiel

Natrafia się w tych wierszach na pogłosy „Księgi ubogich", na echa kantyczkowe, dźwięczące zupełnie wyraźnie w ślicznie wydanych po wojnie „Owocach bożego sadu" (1948). Czasem przypomni się nawet ks. Baka, to znów zabrzmi ton literacko głębszy:

Ach łąką się rozzielenić,
Rozmodrzyć w niebios błękicie,
Wieczorną zorzą zrumienić,
Roztopić mgłą o świcie!...

Być wiatrem, falą i skałą,
Trwać w zmianach wiek za wiekiem!
— Za wiele to i za mało
Być tylko samym człowiekiem.

W pierwszym zbiorku pomieścił też wiersze pisane po francusku. Są też piękne przekłady Heinego, Balmonta i liryk francuskich. Ukoronowaniem tych poetyckich przekładów był po wojnie już ogłoszony w „Tygodniku Powszechnym" (nr 189) „Hymn do Boga" Dierżawina, uznany przez K. W. Zawodzińskiego za kongenialny. Spośród przekładów naukowych wymienić przede wszystkim trzeba obszerny „Podręcznik psychologii" Titchenera, przyswojony w 1929, oraz dwutomowy słynny „Katechizm niewierzącego" Sertillanges'a (1939), którego nowe znacznie poprawione wydanie przygotował tłumacz przed śmiercią. Po wojnie dzięki Chojeckiemu poznali czytelnicy polscy dwa głośne dzieła Chestertona: „Św. Franciszek z Assyżu" (1948) i „Św. Tomasz z Akwinu" (1949), już wyczerpane i domagające się nowej edycji.

Również w okresie powojennym powstały popularne, bardzo pożyteczne broszury: pogadanka „Język polski, jego poprawność i jego piękno" (1946), oraz „Henryk Sienkiewicz, życie i dzieła" (1946), szkic wydany w setną rocznicę urodzin ulubionego autora. W czasopismach pojawiały się przekłady wierszy angielskich (up. Chestertona i Kiplinga, w poznańskim „Życiu Literackim" 1945, nr 9/10), i rosyjskich (Puszkina, w „Nauce i Sztuce" 1945. i „Arkonie" 1948 oraz Lermontowa w „Tygodniku Powszechnym").

W najciemniejszym okresie okupacji, w 1943, z namowy Stanisława Michalskiego, zaczął Artur Chojecki pisać w Warszawie swoje wspomnienia. Doprowadził je niestety tylko do 1918 roku, a rękopisowi (ocalałemu na szczęście z pożogi powstańczej) nadał tytuł: „Żywot średniego człowieka". W tym samookreśleniu nie było ani przesadnej pokory, ani też dumy umyślnie się poniżającej. Żegnając go z głębokim żalem na zawsze, myśleliśmy, jakżeż ten mądry człowiek i prawy Polak wysoko cenił kulturę polską, skoro w ten sposób wyznaczał swoją w niej pozycję!

P. G.

O STEFANIE GRABIŃSKIM

(Dokończenie ze str. 2)

miejsce w jego twórczości. Jeśli przypomina kogo pod tym względem, to przede wszystkim Huysmansa. Jak autor „Katedry" i dziejów Durtala, posiadał rzetelną, wyjątkową sprawę tych znajomość. W tym upajaniu się pięknem ceremoniału liturgicznego było zapewne nieco estetyzmu, ale było i coś więcej niż tylko estetyzm. Różny w tym od większości modernistów, poszukiwaczy „nowych dreszczów", Grabiński wnikał poza powierzchnię zjawisk w ich głębszą treść, starał się odczytywać znaczenie symolów, rozumieć ich subtelną wymowę.

W dziedzinie środków artystycznego wyrazu twórczość jego reprezentuje klasę, która w hierarchii literackich wartości liczy się bez wątpienia. Z sugestii młodopolskich, które tak ujemnie zaciążyły na jego pierwszym debiucie, otrząsnął się rychło, choć i w utworach późniejszych tu i ówdzie ślady pewnej skłonności do patosu i stylistycznego banału można odkrywać. Ale w swych najlepszych osiągnięciach twórczych prezentował sztukę nieprzeciętnej rangi, dopracował się własnego stylu, który posiada wyraźną, odrębną fizjonomię. Znać w nim wysiłek pisarza w kierunku osiągania jak najsilniejszej ekspresji przy jednoczesnej oszczędności i lapidarności wyrażenia. Ta dążność do ujmowania bezkształtnej plazmy tworzywa w karby i rygory zdyscyplinowanej sztuki przejawia się szczególnie w dziedzinie kompozycji. Kroczył tu Grabiński śladami mistrza swego i uwielbianego arcywzoru Edgara Allana Poego. Były to organizacje psychiczne bardzo podobne. U obu mistycyzm i wrodzony zmysł nieskończoności łączyły się z racjonalistyczną, matematyczno-analityczną metodą tworzenia. Grabiński w wyborze tematu kierował się w dużej mierze intuicją, miał ambicje wyprzedzania odkryć naukowych, ale opracowywał skrystalizowane już w wyobraźni pomysły z racjonalistyczną precyzją. Lubił teoretyzować na temat sztuki pisarskiej, pisał rozprawy o fantastyce, o oryginalności w literaturze; jak ongiś Poe dał słynną autoanalizę swego „Kruka", tak i Grabiński starał się odtworzyć kolejne stadia procesu twórczego na przykładzie jednej z nowel z cyklu „Demon ruchu". Mniej szczęśliwy w powieściach i dramatach, mistrzowstwo osiągał w utworach nowelistycznych. Był zwolennikiem zwartej, precyzyjnej kompozycji i mocnych finałów. W zakresie noweli stworzył kilkanaście arcydzieł, które śmiało stanąć by mogły obok najświetniejszych okazów tego gatunku w literaturze światowej.

Celował szczególnie w sztuce wywoływania nastrojów. Miał w tym zakresie oryginalne upodobania. Lubił piękno późnej jesieni, ciszę ustronnych alei cmentarnych, szelest złotych i purpurowych liści pod stopami zabłąkanego przechodnia, kochał kruchy, melancholijny wdzięk rzeczy przemijających. A jednocześnie dostrzegał w otaczającej rzeczywistości jej dziwność i niesamowitość. Stąd upodobanie w miejscach samotnych, w opustoszałych domostwach, w których „straszy" i stąd rozmiłowanie w barwach stłumionych, w pastelowej kolorystyce zmierzchu i w mrokach głuchej, dzwoniącej ciszą nocy. Noc była dla niego porą tajemniczych misteriów, wierzył że można nawiązywać wtedy kontakty z zaświatem, lubił tę śródnocną godzinę tajemnic, kiedy na stole świeca migoce wątłym płomykiem, z mrocznych kątów, zakamarków, z ciężkich opon i kotar wyłaniają się dziwaczne cienie, a wyobraźnia i zmysły, wyczulone na szmery, dźwięki i szelesty, wsłuchują się w tę ciszę niesamowitą i czekają, czy nie da mocniejszego znaku o sobie, czy nie zapuka to coś, niewyrażalne, groźne, zagadkowe, co czai się tam, za oknem, w nieprzeniknionych głębiach nocy. Karol Irzykowski zalecał czytać opowieści Grabińskiego „późnym wieczorem zimowym, przy drwach płonących na kominku, gdzieś na wsi, gdy na dworze zawierucha mokrym śniegiem dmie, a wilki gdzieś wyją. Zamknąć radio i słuchać, czy wiatr okna nie otworzy i nie nawionie do izby czegoś nieokreślonego". W tych zaleceniach, których nie należy brać dosłownie, jest jednak bez wątpienia wiele słuszności. Lektura Grabińskiego wymaga odpowiedniej „oprawy". Trzeba się niejako „nastawić" psychicznie, poddać czarowi, co emanuje z tych utworów niezwykłych, odurzających mocną, zawrotną poezją nastrojów, i trzeba przede wszystkim w ciągu tej jednej przynajmniej godziny lektury wierzyć z autorem w istnienie tych cudów, dziwów, zjawisk groźnych i niepokojących, które wyczarowywał z otchłani niebytu wytężoną pracą twórczej wyobraźni Stefan Grabiński „odgadywacz zaświatów", „szalony pątnik" po bezdrożach tajemnic.

ARTUR HUTNIKIEWICZ

† p.
JULIA Z KWILECKICH
Ludwikowa Fuglewicz
artystka-malarka
urodzona w r. 1877 w Oporowie zmarła w Krakowie, dn. 4 grudnia 1951 opatrzona św. Sakramentami. Pogrzeb odbył się dn. 7 grudnia 1951, na cmentarzu Rakowickim.
MSZA ŚW.
za duszę Zmarłej zostanie odprawiona w kościele św. Anny w Krakowie w niedzielę dn. 16 grudnia br. o godz. 12.15
RODZINA

SŁAWOMIR BŁAUT

DRUGA KSIĄŻKA FILIPOWICZA

„Dobra robota autorska — oto co najbardziej przekonywa do prozy Filipowicza" pisał jeden z krytyków (Stefan Lichański TP nr 163), recenzując tom opowiadań pt. „Krajobraz niewzruszony", którym przed czterema laty zadebiutował Kornel Filipowicz. Po lekturze drugiej książki tego autora, tym razem powieści „Księżyc nad Nidą"[*]), nasuwa się pytanie czy zacytowany sąd, bezwzględnie słuszny w odniesieniu do debiutu, znajduje i tu swe potwierdzenie.

„Krajobraz niewzruszony" był debiutem niezwykłym: ukazał on pisarza o niemal pełnej dojrzałości artystycznej oraz świadomej i konsekwentnej postawie ideowej, nie będąc zresztą pod tym względem w naszej literaturze powojennej zjawiskiem odosobnionym (Zukrowski, w pewnym sensie Borowski). Wystąpienie Filipowicza przyjęte zostało bardzo przychylnie przez krytykę; tak częsta w beletrystyce pierwszych lat powojennych tematyka i problematyka związana z rzeczywistością okupacyjną i więzienno-obozową ujęta została w sposób indywidualny, daleki od jakichś konwencji. Świeżość spojrzenia, dyskrecja i umiar pisarski — tak rzadkie u nas walory — ustrzegły Filipowicza od łatwej banalności i taniego efekciarstwa.

„Księżyc nad Nidą", chociaż wydany dopiero w roku ubiegłym, powstawał prawie równolegle z opowiadaniami z „Krajobrazu niewzruszonego" (ukończony został jesienią 1947 r.), toteż za wcześnie byłoby tu doszukiwać się wyrazu jakiejś ewolucji ideowo-artystycznej. Nie widzimy tu Filipowicza „dzisiejszego", lecz tego sprzed czterech lat.

W powieści swej powraca Filipowicz do tematyki okupacyjnej. Akcja, pomijając pewne sięgające głębiej w przeszłość regresje wspomnieniowe bohaterów, rozgrywa się w ciągu wiosny i lata r. 1944. Zagadnieniem centralnym powieści jest walka polskiej wsi z niemieckim okupantem. Filipowicz ukazuje zróżnicowanie orientacji ideowo-politycznych i nieraz biegunowo przeciwne kierunki postępowania poszczególnych organizacji; zajmuje się też wewnętrznymi tarciami pomiędzy nimi i pokazuje działalność oddziałów B. Ch. w jednej z wsi kieleckich.

Czołowe postaci powieści jak Bukowski, Zawada, Cieśla, czy nawet major „Rak", są wyrazicielami nastrojów tzw. „dołów" organizacyjnych, sprzeciwiających się linii „zbrojnej neutralności, biernego oporu i oczekiwania z bronią u nogi". Postawę ich wyraża zdanie (nb. błędnie zbudowane), które pozwolę sobie zacytować: „Cieśla nie miał zbyt wyraźnych przekonań politycznych, nie pojmował jednak innego rodzaju walki z okupantem — jak bezkompromisową negację zbrodniczej rzeczywistości, jaką narzucili".

Filipowicz porusza też szereg innych spraw, że wymienię przykładowo zagadnienie kolaboracji czy tajnego nauczania. To bogactwo problematyki jest jednak tylko pozorne. Uderzającą cechą „Księżyca nad Nidą", zwłaszcza w zestawieniu z „Krajobrazem niewzruszonym", jest zubożenie intelektualne — autor zahacza o szereg ważkich problemów, ale traktuje je bardzo powierzchownie, nie wnikając w ich istotę. Wiąże się z tym pewna zmiana stylu: cechuje go nadal precyzja i dokładność, ale znika prawie całkowicie ładunek refleksji, co, może ułatwiając percepcję książki, trąci mechanizmą symplifikacją osłabiającą jej artystyczną i myślową wymowę. Opisy przyrody, których Filipowicz stara się raczej unikać, mają charakter bezamiętnej, ograniczającej się do rejestracji zasadniczych realiów, a pozbawionej jakiegoś zabarwienia emocjonalnego relacji. Wyjątek stanowią powtarzające się kilkakrotnie niemal identyczne opisy Nidy, ze stałym rekwizytem w postaci księżyca. Nie sprawiają one wrażenia banału, lecz są użyte świadomie i celowo: niosą w sobie pewien ładunek nastrojowy, mają jakieś półsymboliczne znaczenie.

Filipowicz zdaje się mało przywiązywać wagi do charakterystyki zewnętrznej postaci, jest przy tym jak zresztą zawsze oszczędny i powściągliwy; postaciom jego brak pogłębienia psychologicznego.

Podkreślić należy też duże wady konstrukcyjne powieści. Trudno tu się dopatrzyć jakiejś zasady kompozycyjnej, która zespalałaby poszczególne elementy w jedną całość. Stąd powieść rozpada się na szereg luźno powiązanych fragmentów nabierających nieraz charakteru samodzielnych opowiadań czy nowel (np. rozdział przedstawiający pobyt Bukowskiego w obozie koncentracyjnym jest opowiadaniem ramowym; ramę stanowi początek i koniec listu pisanego do żony).

Załamanie linii kompozycyjnej będące jedną z przyczyn słabości książki jest wynikiem kolejnego wprowadzenia dwu głównych bohaterów (podobny błąd popełnił Dobraczyński w „Najeźdźcach"). Początkowo centralną postacią jest Stefan Bukowski, nauczyciel i dowódca plutonu B. Ch. Od chwili aresztowania go przez Gestapo funkcje głównego bohatera pełni 20-letni chłopak Józef Cieśla, uczeń i podwładny swego poprzednika. I choć Bukowskiego widzimy jeszcze dwukrotnie: w więzieniu i w obozie, ma to już zmaczenie drugoplanowe. Poważną usterką „Księżyca nad Nidą" jest brak zakończenia. Nie żądamy od autora, by kończył powieść wyczerpująco informującym o dalszych losach postaci epilogiem ani też lapatologiczną pointą. W powieści Filipowicza wątki fabularne urywają się nagle, zarysowane problemy pozostają nierozwiązane, pozostaje czytelnikowi wrażenie niepełności, niedopowiedzenie właściwie do niczego budzi sprzeciw, a to chyba nie leżało w zamierzeniach autora. I wcale nas nie pocieszą to, że dalsze losy bohaterów poznamy z „Bliskiego zeszytu", który ma być dalszym ciągiem „Księżyca nad Nidą".

Książka Filipowicza zawiera kilka świetnych, przekonująco i sugestywnie napisanych epizodów, potwierdzających, że ich autor jest przede wszystkim nowelistą. Właściwości pisarskie Filipowicza-nowelisty, które dały rzetelne i trwałe wyniki w opowiadaniach, w zastosowaniu do powieści zawiodły.

SŁAWOMIR BŁAUT

[*]) Kornel Filipowicz: KSIĘŻYC NAD NIDĄ. „Czytelnik" 1951, str. 211.

Autorów, pragnących, by redakcja oceniła ich utwory, prosimy o podawanie nazwisk i adresów. Na łamach „Tygodnika" ocen nie udzielamy.

Redakcja

Z TEATRÓW

„TALENTY I WIELBICIELE" W KRAKOWIE

Aleksander Ostrowski (1823—1886), klasyk rosyjskiej dramaturgii, jest mało znany w Polsce (jego dwie sztuki — „Intratną posadę" i „Burzę" wystawił Tadeusz Pawlikowski w Krakowie). A jest to świetny pisarz dramatyczny, rasowy człowiek teatru, a jednocześnie człowiek, który walczył, chciał naprawić zło, które dostrzegał, torować nowe drogi. A umiał patrzeć. Jego postaci są rysowane śmiałą ręką, w kilku zasadniczych konturach, bez rozpraszania się na niceistotne szczegóły, zwarte i symptomatyczne. Raczej typy niż charaktery, lecz jednocześnie ludzie żywi i bogaci — pisarz umiał dojrzeć i pokazać głębsze warstwy ich sylwetek duchowych. Ludzie Ostrowskiego są „ciepli", właśnie „ludzcy", a jednocześnie prości i zrozumiali. Zrozumiali dlatego, że w każdym z nich znajdujemy jakiś rys, jakąś tonację, krótą nostrą w sobie — więc są nam bliscy, zaprzyjaźniamy się z nimi szybko. Czujemy, że dla pisarza nie teza jest ważna, lecz człowiek.

Ostrowski był znakomitym technikiem dramatycznym — po pierwszym akcie widz wie, że pisarz obrace się

Foto Nowicki

Tadeusz Białkowski jako Martyn Prokofijicz Narokow

po scenie z największą swobodą — rzekłbyś — od niechcenia, jakby po swoim własnym pokoju, w którym zna każdy szczegół. Z jakąż naturalnością wprowadza na scenę postaci, jak doskonale umie wybrnąć z najbardziej niewdzięcznej sytuacji (np. w akcie IV „Talentów i wielbicieli", tak trudna technicznie scena uczty pożegnalnej w bufecie zrobiona jest niezmiernie lekko — a jakże rzadko podobne sceny dobrze się udają). Dialog aczkolwiek na gust naszej współczesnej, nerwowej, wiecznie śpieszącej epoki — czasem zbyt rozwlekły — jest wyśmienicie budowany, sytuacje sceniczne proste, ale bez dziur — każda kwestia ma znaczenie, coś wnosi, posuwa akcję naprzód lub uplastycznia postaci sceniczne.

Ta doskonała dramaturgiczna robota sprawia, że sztuki Ostrowskiego są wdzięcznym materiałem zarówno dla aktora, jak reżysera. Bo każda rola „siedzi" i trudno ją zepsuć. „Talenty i wielbiciele", komedia opisująca życie aktorów w małym prowincjonalnym miasteczku, upokarzającą ich zależność od „wielbicieli", często konieczność wysługiwania się „możnym tego świata", byle móc grać (a pracę aktorską Ostrowski cenił wysoko jako wzniosłą służbę pięknu i społeczeństwu), stanowi

Foto Nowicki

„Talenty i wielbiciele" Ostrowskiego. Dekoracja B. Kamykowskiego do aktu II

podobnie jak inne sztuki Ostrowskiego wdzięczne pole do popisu aktorskiego. Teatr Słowackiego możliwości tej nie zmarnował. Role były wyeksponowane umiejętnie, oparte na kontrastowaniu postaci (Marta Stebnicka sztywna nieco na początku i mało przekonująca w akcie I, miała doskonałe partie w dalszych aktach. Jak np. pożegnanie z Mierinowem, albo scena kończąca akt III, gdy widz przez jej egzaltację widzi dobrze, że decyzja już zapadła, że aktorka pojedzie z Wielikatowem. Dobrą partnerką Stebnickiej była Hanna Smólska. Helena Chaniecka (mimo, że czasem szarżowała) z rozmachem stworzyła postać matki, nerkowiek tu i ówdzie widziało się niekonsekwencje w charakterze stworzonej postaci (a może jej „dominantą" ma być po prostu głupota?). Tadeusz Białkowski potrafił przekonać widza do niemal dziecinnej naiwności starego, siwiutkiego znajdenta, oddanego bez reszty sztuce i pięknu, zakochanego po sztubacku w młodej dziewczynie — wierzyliśmy mu i wierzyliśmy, że warto być takim. Eugeniusz Fulde ma wyrobiony styl gry, jedzie trochę trickami, ale jego postaci mają tę wybitną zaletę, iż widz czuje, że aktor nie wygrał ich do końca, że coś chowa, że każe się czegoś domyślać — a w ten sposób trzyma nas ciągle w napięciu, ciągle czekamy jakiejś niespodzianki, mamy niejako własny udział w budowaniu postaci. Ambroży Klimczak nie ma jeszcze potrzebnej swobody, podobnie jak Stanisław Zaczyk, grający Mielaszowa. Zaczyk grał zbyt „na zewnątrz", zbyt dla widowni, czasami zbyt rezonersko (np. nie czuło się entuzjazmu płynącego z głębi przekonania, gdy „uczył życia" Negrinę albo gdy skoczył, by ją ratować w rzekomej katastrofie kolejowej; natomiast ostatni wybuch oburzenia był szczery, acz można by go pogłębić). Wacław Nowakowski, Mieczysław Jabłoński, Roman Wójtowicz, Antoni Słocński grali poprawnie — choć niewątpliwie mogliby więcej z siebie wydobyć. I tu przechodzę do reżyserii.

Przedstawienie było jakoś trochę niedocieśnięte, po prostu chciałoby się widzieć w nim więcej nerwu, życia. Zdarzały się nawet dziury. „puste miejsca" tak zawsze męczące i przeskadzające jednolitości wrażenia. Sceny doskonale sąsiadowały ze scenami niepełnymi, nie pogłębionymi. Nie zawsze jest łatwo powiedzieć gdzie zawinił aktor, gdzie zaś reżyser. Ale chwilami chciałoby się zdopingować grających, zapalić ich, zagrzać — albo zmusić do pogłębienia i refleksji. Nie znaczy to, że nie znać było koncepcji reżyserskiej, lecz czuło się jakiś niedosyt — jakby przedstawienie nie było skończone.

Scenografia Bolesława Kamykowskiego umiejętnie podkreślała tło akcji (zwłaszcza ciekawe rozwiązanie II aktu). Na specjalną pochwałę zasługują ubiory damskie Bronisławy Koreybo oraz kapelusze Władysławy Durowskiej.

EVA

„ODEZWA NA MURZE" W WARSZAWIE

Anna Świrszczyńska przedstawiła publiczności warszawskiej swą nową sztukę pt. „Odezwa na murze". Jest to dość sceroko i ambitnie zakreślone malowidło sceniczne, umiejscowione historycznie w 1885 roku, która to epoka pociągnęła pisarkę „swą dramatycznością i pacosem moralnym" — jak to Świrszczyńska zaznacza w słowie odautorskim do programu. „Emocjonalne podejście autorki do tematu" — zdanie to biorę z tego samego tekstu, co uprzednie — sprawia, że obiektywizm i ścisłość, tak dzielowe jak i artystyczna, nie zawsze są elementem czołowym sztuki Świrszczyńskiej, co zresztą wcale nie jest konieczne w tym klimacie twórczości i przejęcia się tematem, jaki emanuje z całości przedstawienia. Świrszczyńska z pasją wypunktowuje zasadnicze i ważkie dla swego sumienia autorskiego momenty i w tym leży duża jej zasługa jako pisarki; inna rzecz, że ta prowadzi ją chwilami na pozycje schematyzmu i każe budować zbyt pośpiesznie niektóre postacie i sytuacje zubożając je tym samym o prawdę artystyczną i życiową. W każdym razie wyczuje mi się, że dyscyplina twórcza metody realizmu socjalistycznego znalazła w sztuce Świrszczyńskiej udany, w miarę możliwości pełny wyraz; nie ma tu żadnych rażących błędów i grzechów w stosunku do socrealistycznych koncepcji artystycznych i ideowych, a to już jest wiele i stanowi krok naprzód w pracy nad stworzeniem nowego repertuaru teatralnego.

Akcja sztuki nie jest skomplikowana: wszystko obraca się dokoła strajku organizowanego w fabryce, w jednym z prowincjonalnych miast Kongresówki; strajk ten ma być łącznym protestem przeciwko nieludzkim warunkom pracy, jak i przeciw przygotowującemu się w Warszawie procesowi Waryńskiego i proletariatczyków. W tryby tej akcji Świrszczyńska wplata wiele postaci pierwszo- i drugoplanowych; z niektórymi daje sobie radę dobrze, wychodzą one spod jej pióra udatnie zarysowane, wielowymiarowe, pełne, jest w nich jakieś ciepło autorskiej fantazji, która potrafi obdarzyć je mieniącym się kolorem psychologicznych odruchów, drgnień i prawd, umie je bogato wewnętrznie rozbudować i uzasadnić. Inna rzecz, że akurat dwie najlepiej postawione postacie znalazły dwóch najlepszych na scenie Narodowego wykonawców (Fijewski jako szpicel Ignac i Kurnakowicz — rosyjski rewolucjonista Iwenow); długo się jednak można sprzeczać o to, czy dobrze napisana rola nie stanowi podstawy dobrej kreacji autorskiej i czy najlepszy nawet aktor może czegokolwiek dokonać, kiedy ma tekst do bani. Ja stawiam na harmonię, odekwatność, równorzędność tekstu i interpretacji; jeśli taki wypadek zachodzi, wtedy dopiero otrzymujemy prawdziwą kreację, co sprawdza się całkiem niezle w omawianym przedstawieniu.

Z pojedynczymi postaciami Świrszczyńska radzi sobie zupełnie dobrze; gorzej jest, kiedy koło napędowe akcji uruchamiają tłum na scenie; w takich momentach konwencja wylazi ze sztuki, jak włosie z kanapy. W czasie ocen zbiorowych, nasuwało mi się uporczywe wspomnienie „Germinalu" Zoli i nie mogłem znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego na kartach książki tego naturalisty tłum wychodzi tak przekonująco, egituje czytelnika za sobą i rewolucjonizuje jednocześnie, a w scenach Świrszczyńskiej, wypracowanych dzięki gartunkowi literackiemu o wspaniałą dynamikę słowa i gestu, tłum jest martwy, umowny, wyzbyty prawdy i życia, chwilami zenująco nieporadny. Być może, że jedyną odpowiedzią na tę kwestię jest metoda pisarska, która każe dzielić ludzi na sceny ściśle według czarno-białej palety; pozaczególne postacie, mimo swej zasadniczej jednokolorowości, mogą się jeszcze udać w rysunku, tłum — będący zawsze i niezmiennie szary, niezdecydowany, rozdarty sprzecznymi tendencjami, działający irracjonalnie i popędowo (co nie znaczy, że nie można nad nim jednolicie zapanować) — otóż tłum nigdy w takim malunku nie zyska cech prawdopodobieństwa. W dodatku sceny zbiorowe są najbardziej czułe na nieuchronny rozdźwięk pomiędzy dramatyczną sytuacją a następującą po niej deklaracją. Jest u Świrszczyńskiej kilka sytuacji prawdziwych, podsądających swą własną, silną i wiążącą wymowę; ich prawdę zabija późniejszy deklaratywny tasiemiec, niszczący bezlitośnie każdy nastrój i każde osiągnięcie.

Obok wymienionych wyżej doskonałych: Kurnakowicza i Fijewskiego, ładnie oparta choć trudną i niepewną postać Zeldi Ewa Bonacka, Chmielowski, jako fabrykant Miller, zręcznie oscylował pomiędzy łajdactwem, demonicznością, głupotą i akcentami humorystycznymi, które niepotrzebnie narzucał mu trochę tekst a trochę reżyseria. Zabawny Raczmański jako notariusz żandarmerii w krótkim epizodzie.

W pierwszej połowie przedstawienia na scenie jest niezwykle ciemno, co jest właściwie uzasadnione tylko w pierwszej odsłonie. Zresztą jedynie w tej właśnie odsłonie dekoracja jest udanym i współdziałającym elementem scenograficznym w przedstawieniu. Jest to most na przedmieściu fabrycznym w nocy — w obrazie tym scenograf (Romuald Nowicki) pokusił się o jakąś plastyczny skrót, o syntezę nastroju i udało mu się to całkiem dobrze. W innych odsłonach nie wyszedł poza poprawne ukształtowanie przestrzenne miejsca akcji przewidziane tekstem.

LEOPOLD TYRMAND

JACEK WOŹNIAKOWSKI

„WIT STWOSZ"

Pisano już tak dużo i tak mądrze o mariackim ołtarzu, że nawet wtedy, gdy omawia się nie samo dzieło Stwosza, a jedynie książkę o tym dziele, pióro waha się nieśmiało nad papierem.

Ocena „Wita Stwosza" [1]) jest doprawdy niełatwa; książki takie bywają przede wszystkim o tyle dobre, o ile dobrze informują o swoim przedmiocie; a w tym wypadku przedmiot, otwierając przed wydawcą ogromne bogactwo różnych możliwości, stawia mu zarazem najwyższe wymagania.

Publikacja Państwowego Instytutu Wydawniczego godnie odpowiedziała tym wymaganiom. Trudno jest chyba znaleźć dla niej mocniejszą pochwałę.

Obwoluta „Wita Stwosza" głosi, że książka „ukazuje się jako pierwsze ogniwo serii „Mistrzów", która... dążyć będzie do ukazania wielkich tradycji realistycznych naszej sztuki". Zgodny z tym dążeniem jest układ dzieła. 142 tablice jednobarwne i 20 tablic barwnych ułożono w następujące działy: ołtarz i jego elementy, świat duchów, człowiek i jego świat, rośliny i zwierzęta. Dział „człowiek i jego świat" uporządkowano w taki sposób: człowiek, ubiór i uzbrojenie, przedmioty i sprzęty, architektura i krajobraz. Ten spis rzeczy mógłby się wydawać na pierwszy rzut oka trochę naiwny: oczekiwać by można zarzutu, że nie ma sensu czysto tematyczna prezentacja wielkiego faktu artystycznego, że to dobre dla historii obyczaju, ale nie dla historii sztuki. Otóż w wypadku „Wita Stwosza" zarzut taki byłby moim zdaniem niesłuszny. Po pierwsze dlatego, że ów układ bynajmniej nie przeszkadza świetnej wymowie artystycznej mariackiego ołtarza na stronicach książki — o czym niżej. Po drugie zaś dlatego, że realistyczna pasja Stwosza jest właśnie podstawowym składnikiem doskonałości artystycznej jego dzieła. Śledzenie, jak wnikliwa obserwacja świata przełamuje się w różnych elementach snycerskiej roboty, jak drobiazgowa sumienność i „wierność" w ujęciu szczegółu prowadzi do monumentalnej artystyczno-ideowej syntezy, to zupełnie niezwykłe przeżycie, które dzięki omawianej książce znakomicie porządkujemy sobie i pogłębiamy — gdy wyodrębnia ona dla nas z gęstwy tłumnych (zresztą rytmicznie i przejrzyście komponowanych) scen — już to szereg twarzy, niesłychanie bogato zróżnicowanych w wyrazie, którego oddaniu służy bezbłędne rozumienie kształtu, już to szereg spracowanych rąk i nóg, rzeźbionych z jakimś przenikliwym i jasnowidzącym współczuciem, już to zdumiewająca roznaitość szat, ciętych w spadziste fałdy, łamanych kanciasto, skręcających się łagodnymi zwojami czy rozwianych w ruchliwe i pełne dekoracyjnego rozmachu arabeski.

Owo zbliżenie się do Stwoszowego arcydzieła ułatwia nam nie tylko układ publikacji, ale i jej tzw. „szata zewnętrzna" i — przede wszystkim — jakość jej fotografii.

Najpierw słów kilka o „szacie zewnętrznej". Dosyć rozpowszechniona jest opinia, wedle której takie sprawy jak dobór czcionki, gatunek i barwa papieru, szerokość marginesów itd. itp. — to są igraszki fachowców, mniej więcej obojętne dla zwykłego śmiertelnika. Nic bardziej fałszywego. Fakt, że sobie ktoś nie zdaje sprawy, jakie to czynniki zewnętrzne pozwalają intymnie i głęboko wniknąć w przedmiot danej książki — nie znaczy, aby te czynniki były błahe. Dzieło o sztuce powinno jako całość być w swoim rodzaju dziełem sztuki — jeśli tak nie jest, odczuwamy rozdźwięk między jego wyglądem i jego przedmiotem, — ponadto zaś nieudolna lub niedbała prezentacja najlepszych choćby fotografii potrafi przeszkadzać im tak, jak zła rama przeszkadza dobremu obrazowi. Pod tym kątem widzenia „Wit Stwosz" jest publikacją po prostu wzorową. Nie wchodzę tu w szczegóły, które warto by omówić szerzej w prasie fachowej — ale wystarczy zwrócić uwagę choćby na takie pozorne drobiazgi, jak podpisy pod tablicami, jak zestawienie tablic leżących obok siebie — by stwierdzić, do jakiego stopnia rzetelna praca wydawcy pomaga czytelnikowi w obcowaniu z przedmiotem książki. Paradoksalnie — praca ta polega w dużej mierze na tym, żeby się kryć: przypomina się *per analogiam* powiedzenie Rodina: „Dobry jest taki styl, który każe zapomnieć o sobie, by całą uwagę czytelnika skoncentrować na opisywanym przez autora tonacie, na wyrażonym przezeń wzruszeniu".

W publikacji PIW-u koncentrujemy się na rzeźbie Stwosza, ukazanej w świetnych fotografiach Stanisława Kolowcy. Nie wiem, dlaczego jego nazwisko relegowano na koniec książki; wszakże suma umiejętności i pracy fotografa stanowi fundament tego typu dzieł, co „Wit Stwosz". Fotografie Kolowcy pozostają w zgodzie z ogólną koncepcją książki: ukazują nam sztukę Stwosza z maksimum rzeczowości i obiektywizmu, a jednocześnie z doskonałym wyczuciem jej sensu artystycznego. Fotografowanie rzeźby nastręcza pełno niebezpiecznych pokus: jakże pięknie można zagrać światłem i cieniem, pod jak efektownym kątem ustawić aparat, by zasugerować niezwykłość ujęć formalnych lub nadać rzeźbie ekspresjonistyczną siłę wyrazu. Bywa to pouczające, ale częściej bywa zwodnicze. Kolowca ustrzegł się tego rodzaju sztuczek — zresztą chroni przed nimi sam układ książki, co uważam za wielką jego zaletę. Światło i cień w fotografiach Kolowcy nie grają roli „charakterystycznej" — służą jedynie do wydobycia plastyczności, do ściślejszego określenia formy przedstawionego motywu. Fotografie te są ponadto doskonale komponowane i przy całej swojej rzeczowości bogate i różnorodne. Reprodukowano je na tablicach jednobarwnych w ciepłym, sepiowym tonie. Tablice kolorowe — reprodukcje kolorowych zdjęć Kolowcy — są niewątpliwie pierwszym tego rodzaju ewenementem w historii polskiej książki, tak jak w ogóle „Wit Stwosz" nie ma równej sobie pozycji wśród naszych wydawnictw artystycznych. Nie znam dostatecznie współczesnych publikacji zagranicznych, ale nie sądzę, aby w dziedzinie ukazywania polichromowanej rzeźby istniało na świecie wiele książek, które by

[1]) WIT STWOSZ — OŁTARZ KRAKOWSKI, Piw, 1951. Komitet redakcyjny: ks. S. Dettloff, T. Dobrowolski, J. E. Dutkiewicz, K. Estreicher, M. Friedberg, R. Glücksman, M. Słonecki, J. Szablowski. Kolegium redakcyjne: J. E. Dutkiewicz, R. Glücksman, J. Szablowski. Zdjęcia fotograficzne wykonał St. Kołowca. Wstęp napisali: T. Dobrowolski i J. E. Dutkiewicz. 142 tablice jednobarwne, 20 tablic kolorowych. Cena 300 zł.

Głowa apostoła z głównej grupy ołtarzowej

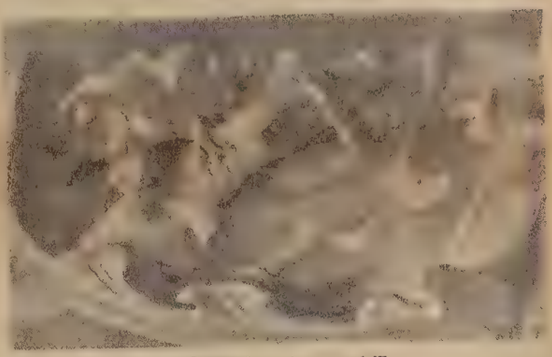

Jaszczurka z fryzu predelli

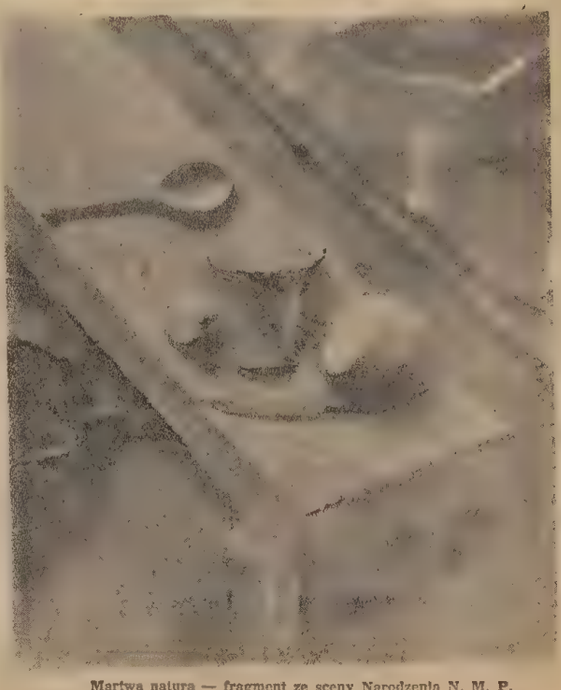

Martwa natura — fragment ze sceny Narodzenia N. M. P.

ZAMEK W MORAW.CY?

Zamek. Fragment tła płaskorzeźby, przedstawiającej złożenie Chrystusa do grobu.

Jeden z naszych czytelników, dr Antoni Bobak, wysunął w liście do redakcji hipotezę, że jest to obraz autentycznie istniejącej w czasach Wita Stwosza budowli, mianowicie zamku Tęczyńskich w Morawicy. Morawica była — jak pisze dr Bobak — kolebką rodu Toporczyków, którzy w wieku XIV wzięli nazwisko od zamku w Tęczynie. „Za panowania Ludwika Węgierskiego i królowej Jadwigi, właścicielem Morawicy był Jasko z Tęczyna, egzekutor testamentu królowej. Prawdopodobnie Jasko z Tęczyna, wszedłszy tuż po jego śmierci jego spadkobiercy, podarował w r. 1401 część Zamku na Morawicy na kościół parafialny, dołączając do niego kaplicę zamkową. Świadczy o tym wmurowana tablica pamiątkowa znajdująca się w kościele morawickim. Morawica jeżdżała przy głównym frakcie z Oświęcimia do Krakowa. W r. 1512 Zygmunt Stary wiózł w Zamku morawickim pierwszą swoją żonę, Barbarę Zapolya; po jej śmierci królowa Bona, jadąc do Krakowa na ślub z Zygmuntem Starym w r. 1518, spędza noc na Zamku w Morawicy. Dokładny opis kościoła w Morawicy, złączonego z Zamkiem, podaje biskup Kazimierski, sufragan kardynała Jerzego Radziwiłła, z okazji wizytacji parafii w r. 1598. „Kościół budowany z kamienia z dwóch stron ujęty murem na sposób wieżki, dach spaczysty pokryty gontem, w kościele trzy ołtarze, obok kaplica, złączona z kościołem, z jednym ołtarzem". Po wygaśnięciu męskiej linii Tęczyńskich, ostatnia z rodu Izabella Opalińska aktem donacyjnym, zarejestrowanym w Nowym Korczynie w r. 1666, podarowała parafii morawickiej na pomieszczenie plebanii skrzydło zamkowe. Plebania ta dotąd istnieje. W połowie zeszłego wieku uległa przebudowaniu. Zamek w Tęczynie został zniszczony przez Szwedów i prawdopodobnie Zamek w Morawicy spotkał ten sam los; w r. 1745 nie tylko Zamek lecz również i kościół popadł w ruinę. Ówczesny właściciel Morawicy, August Czartoryski, wojewoda ruski, polecił zburzyć Zamek i kościół, i w miejscu Zamku wybudował kościół według planów Franciszka Placidi (w r. 1745). Z dawnego Zamku pozostało tylko jedno skrzydło, mieszczące dotąd plebanię oraz dzwonnica, stojąca obok kościoła z przyziemiem, pozostałym po dawnej bramie. Jeżeli porównamy wygląd Zamku na malowidle Stwosza z danymi historycznymi, stwierdzić musimy, że sytuacja kościoła i jego widok zgadza się z opisami. Długosza (w *Liber Beneficiorum*) i biskupa Kazimierskiego, Lewe skrzydło Zamku, to do dzisiaj istniejąca plebania. Reszta baszty stojącej obok plebanii, to dzisiejsza dzwonnica. Pomiewać w dziele Stwosza widzimy drobiazgową dokładność w szczegółach ubrań, nacryń, zbroi itd., sądzić zatem można, że i obraz Zamku jest realistycznie ujętym widokiem Zamku w Morawicy. Co skłoniło Stwosza do umieszczenia widoku tego właśnie Zamku? Prawdopodobnie dwa motywy. Pierwszy to motyw artystyczny: uderzające piękno Zamku, który albo Stwosz, albo któryś z jego współpracowników, widział na miejscu. Drugi motyw, to chęć uczczenia właściciela Zamku Jana Tęczyńskiego, który w okresie pracy Stwosza był kasztelanem krakowskim".

mogły z „Witem Stwoszem" współzawodniczyć. Nie wszystkie tablice barwne jednakowo się udały; niektóre są trochę zbyt gładkie, zbyt intensywnie „kolorkowe" — powiedzmy V, VIII, XIII; ale inne, np. I, II, XI. XVII, to prawdziwe arcydzieła; istotne różnice tonu i charakterystyczne cechy faktury wyszły w nich znakomicie.

Przedmowa, napisana dobrze i rozumnie, daje informacje o Stwoszu i jego dziele, a także szeroko podmalowuje społeczne, ekonomiczne i kulturalne tło jego działalności. Miałoby się ochotę w kilku punktach z nią dyskutować (zarówno z tym co w niej jest, jak i z tym czego w niej nie ma); ale w każdym razie jest z czym dyskutować.

Jeżeli następne książki z serii „Mistrzów" (zapowiadają się Matejko i Gierymski) będą równie dobre, jak „Wit Stwosz", to imię redaktorów tej serii trzeba będzie zapisać olśniewająco białą kredą w komnie polskich wydawnictw artystycznych.

JACEK WOŹNIAKOWSKI

Na ekranie

BOHATEROWIE MANDŻURII

Najdziwniejszym przeżyciem jakiego dostarcza ten chiński film jest pomieszanie obcości z czymś bardzo bliskim. Sądzę, że większość Europejczyków nie zna żywej współczesnej rzeczywistości chińskiej, o której się wprawdzie z gazet, ale która nie miała jeszcze czasu wytworzyć swych plastycznych, pojęciowych symboli. Oczywiście nikt nie myśli na serio, że Chiny to wciąż jeszcze parawany z laki, jedwabne szaty mandarynów, bajeczne smoki i dekadencko filozoficznych wieczorami przy blasku księżyca. Istnieją jednak szablony wyobrażeń, dla tego też Chiny fabryk, strajków, bezbarwnych, europejskich stroi wywołują mimo wszystko pewien szok.

Odnajdujemy w „Bohaterach Mandżurii" atmosferę walki, jakże podobną do tej, przez którą przeszliśmy sami, i tu na odmianę wszystko jest jasne. Aż dziw, jak mało różnią się japońscy żandarmi od gestapowców, jak identyczne są metody jednych i drugich.

Mknące ciemną ulicą policyjne „buicy", masowe aresztowania, rewizje, tortury — wszystko to jest nam znane aż nazbyt dobrze. Nie bez zdziwienia przekonujemy się, że najhaniebniejsza choroba ludzkości rozwija się tam, na Wschodzie, w pełni swych typowych symptomów, zanim jeszcze zdołaliśmy jej doświadczyć na własnej skórze. Pod tym względem film „Bohaterowie Mandżurii" jest pouczającą lekcją politycznego i społecznego uniwersalizmu: ukazuje zawsze jednakową twarz imperialistycznego niebezpieczeństwa.

Jeżeli chodzi o wykonanie, film „Bohaterowie Mandżurii" nie jest bez zarzutu. Posiada on liczne dłużyzny i — o ile można się zorientować z tekstu, będącego bądź co bądź tłumaczeniem z drugiej ręki! — sporo psychologicznych uproszczeń. Pozytywne postaci dramatu, przy całej żywości, jaką nadaje im dobra gra, są nieco monotonne w swej niestrudzonej szlachetności. Nie zawsze można się zorientować czy wynika to istotnie z założeń scenariusza.

Zdjęciowo „Bohaterowie Mandżurii" stanowią jak gdyby kompromis między dwiema tradycjami kinematograficznymi. Z jednej strony *trick* i plastyczna kondensacja, osiągana przez nakładanie na siebie obrazów, przypominają „gagi" bardziej ambitnych filmów amerykańskich, z drugiej ujęcia statyczne o epickiej prostocie montażu zdradzają silny wpływ radzieckiego realizmu. Ten drugi wpływ przeważa zresztą silnie.

Mimo to „Bohaterowie Mandżurii" przemawiają mocnym, dramatycznym wyrazem i stanowią niewątpliwie przeżycie o dużym walorze artystycznym.

M

Przegląd prasy

O PRAWDZIWE OBLICZE MAŁEJ ŚW. TERESY

Czytelnicy „Tygodnika Powszechnego" pamiętają zapewne piękny artykuł Jana Dobraczyńskiego o książce Van der Meerscha, w której nakreślił nowy portret św. Teresy od Dzieciątka Jezus, wywołując wielką polemikę i niejeden sprzeciw. Z pewnością więc zainteresują się i tymi uwagami, jakie na temat tej monografii czyni o. J. Majkowski w wakacyjnym numerze „Przeglądu Powszechnego", w bogatym i obszernie udokumentowanym artykule. Autor zgadza się na to, że *książkę Van der Meerscha czyta się jednym tchem, że dawno już nie pisano o świętych z taką miłością*, ale nie tai przy tym, że pod piórem pisarza biografia zamienia się w powieść (co podnosił już Dobraczyński), że każe nam on *przechodzić nad przepaścią swych ryzykownych konstrukcji, że niezwykle swobodnie odczytuje nieznane mu bliżej pismo autorzy i mistyki katolickiej*. Poznanie tych błędów i nieporozumień jest z pewnością rzeczą bardzo pouczającą, pokazuje nam bowiem, jakim wpływom ulega współcześnie mentalność katolickiej inteligencji zachodnio-europejskiej.

Z pewnością słuszna była tendencja Van der Meerscha, żeby odsentymentalizować postać małej świętej, uwolnić ją z nalotów czułostkowej nieudolnej hagiografii. Na to jest powszechna między jego krytykami zgoda. Zaznaczę tutaj od siebie niedostrzeżony przez dotychczasowych recenzentów fakt, że polska publicystyka uprzedziła pod tym względem flamandzkiego pisarza. Jeszcze blisko dwadzieścia lat temu, w swym doskonałym, choć mało znanym studium, przeprowadził u nas na łamach „Sodalisa" analogiczny rewizjonizm ks. Feliks Hortyński, który uwydatniając zdumiewające męstwo świętej, szczególnie unikając przy tym tych niebezpieczeństw, jakie zagroziły Van der Meerschowi. Pokazanie bohaterskiego oblicza walczącej świętej było bezsprzecznie zamiarem słusznym, skoro od samego początku istniały na tym polu nieporozumienia. „Słowo Powszechne" w numerze 260 wydrukowało interesujący artykuł o. Nocha, znakomitego znawcy św. Teresy, który wykazuje, że nawet niektóre współtowarzyszki św. Teresy nie doceniały tego heroizmu świętej, przypuszczając, że jej zalety były po prostu wrodzone — rozumowanie nie obce najwyżej hagiografom dawnych czasów. O. Nocha cytuje wyjęte z procesu kanonizacyjnego powiedzenie jednej z zakonnic: *Cóż można powiedzieć o osobie, która była przez całe życie pełna i nie zdobyła swej cnoty jak my, za cenę walk i cierpień? Ona jest słodka i dobra, ale taka jest jej natura*. Tymczasem wiemy z zeznań samej świętej coś akurat przeciwnego: *Nie mam natury łatwej — oświadczała Teresa jednej siostrze — tego może nie widać, ale ja to czuję. I mogę siostrę upewnić, że mam bardzo często walczyć i często cierpiałam. Nie było dla mnie jednego dnia bez cierpienia. Nikt to o mnie może twierdzić, skoro tego nie widział.* Niestety biograf św. Teresy nie ograniczył się do tego zagadnienia i ujął życie Teresy jako dramat, którego rozwiązanie *naprawdę tragiczne łączy się z modnym od czasów Van der Meerscha pojęciem „świętości — niepowodzenia". Wszystko w naszym życiu wewnętrznym ma według jego przekonań prowadzić do katastrofy, z której ucieczką jest „droga dziecięctwa", polegająca na znoszeniu swej poznanej nędzy.* Nie będziemy tutaj poruszać tych punktów, w których wcale wyraźnie argumentacja o. Majkowskiego pokrywa się z tezami Dobraczyńskiego, choć oba artykuły powstawały całkiem niezależnie od siebie. I tak zgodna jest przeprowadzona przez obu autorów krytyka tego przesadnie pesymistycznego obrazu klasztoru w Lisieux, niefortunnie skreślonego przez biografa, idącego tutaj za jednostronnymi relacjami. Zdaniem o. Majkowskiego, który powołuje się tutaj na bardzo dobrą, a późniejszą, niż Van der Meersha biografię św. Teresy pióra I. Görres *Karmel... w Lisieux, przedstawiał w rzeczywistości przeciętny, prowincjonalny klasztor, gdzie starano się za wszelką cenę służyć Bogu doskonale w myśl przyjętych arcytycznych wskazówek, chociaż gubiono się czasami w małostkowych przeżyciach zewnętrznych i wewnętrznych. Świat kultury, „świat duchowości", w jaki wszła Teresa, nie był niższy niż gdzie indziej, chociaż trudno go idealizować.*

Tak Dobraczyński jak i o. Majkowski stwierdzają, że największym mankamentem książki Van der Meerscha jest mylne przedstawienie tzw. „małej drogi", tj. systemu ascetycznego św. Teresy. Różnię się jednak od siebie naświetleniem motywów tego błędu. Jeśli Dobraczyński przyczynę jego widzi w pewnych związkach pisarza z egzystencjalizmem, to o. Majkowski upatruje je raczej w uleganiu ideologii protestantyzmu. Składowym bowiem elementem świętości u Van der Meerscha jest według o. Majkowskiego *li tylko poznanie swej własnej słabości, która — mimo heroicznych walk, jakie człowiek święty winien włożyć w osiągnięcie doskonałości — nigdy przezwyciężona być nie może. Bóg wymaga od nas jedynie tylko wysiłków, o których z góry wiemy, że są bezowocne.* Na tę Sokratesową drogę poznania samego siebie kładzie pisarz szczególny nacisk, jak o tym świadczą choćby takie cytaty, jak: *jej prawdziwą drogą była walka bezustanna, aby poznać samą siebie, aby siebie samej nie okłamywać.* (Święta) *walczyła mniej o to, by się przezwyciężać, niż o to, by się poznać. Stosując sokratyczną tezę świętości* — replikuje na to o. Majkowski — *autor ...mówi konsekwentnie o niezmiernym wysiłku introspekcyjnym u świętej karmelitanki i przypisuje jej to, na co ona nigdy prawie nie zwracała większej uwagi. Ona co o mistyce mówi i uczynkach miłości.* Dobraczyński w swym artykule zaznaczył, że rozłączenie świętości i doskonałości było szczególnym błędem Van der Meerscha. O. Majakowski wyjaśnia na czym to polega. Oto Van der Meersch zakłada jako rzekomy pewnik, że *Bóg nie żąda od nas niczego, żąda tylko naszego wysiłku i uznania naszej słabości* i twierdzenie to *posuwa aż do absurdalnego poglądu, przypisując św Teresie przekonanie, że Stwórca nie chce od nas niczego, co by świadczyło o najmniejszym postępie w zwycięstwie nad złem* i w następstwie tego sądzi, że w Teresie przetrwał grzech. *I to jest* — oświadcza krytyk — *niedopuszczalne. Cóż bowiem oznaczają słowa: Teresa zrozumiała, że świętość dostosowuje się do wszelkiej nędzy i wszelkiej podłości naszego serca! Świętość jest zaofiarowana wszystkim, nawet najbardziej przewrotnym, nawet nieuleczalnie upadłym. Byle tylko uznali swą niemoc. I byle wówczas chcieli bez oczekiwania zapłaty.*

Za element podstawowy świętości uważa autor konieczność *obnażania w nas zła i uznania naszej niemocy, by ją uleczyć*, wpadając tutaj już niedwuznacznie w ton teologii protestanckiej. Znamienne dowodzi tego poniższe zdanie: *W ten sposób w człowieku upadłym, cudzołożnikiem, zboczeńcem. W czym* — zapytuje o. Majakowski — *Van der Meersch ma rację? To prawda, że dogłębne poznanie siebie odrywa w życiu katolickiej ascezy niesłychanie ważną rolę. Ono bowiem — co słusznie Van der Meersch podkreśla — chroni człowieka przed zakłamaniem. Ale jest to stadium wstępne. Nie więcej. Kto by chciał z Van der Meerschem czynić tylko z odkrycia przepastnych ścieżek swych [illegible] i grzechów ideał chrześcijańskiej [illegible], znajdzie się bliżej Sokratesa niż Chrystusa. A nawet — mówiąc jeszcze ściślej — ten nigdy nie [illegible] leżeć do szkoły Ewangelii.* I pomimo nie da się pogodzić z katolicką dogmatem zdanie, biografia, [illegible] (moralnie) nieuleczalni, że [illegible] nie wymaga doskonałości tylko u [illegible]ku. Pius XI ujmuje krótko znaczniczą myśl ascezy i mistyki teresiańskiej: „Świadoma swej własnej słabości oddała się ufnie i przekonała Tobie Opatrzności, aby polegała [illegible] nie na jej pomocy — mimo [illegible] trudności osiągnąć do [illegible] świętość życia, do której postanowiła dążyć przez pełne i ochocze oddanie się woli".— Lapidarnie formułuje autor w ten sposób różnicę między faktyczną drogą Teresy a wyobrażeniem o niej Van der Meerscha: *kochała więc czynnie! Tymczasem Van der Meersch zdaje się nie rozumieć innej miłości, jak tylko protestancką miłość bez uczynków.* W zakończeniu nie waha się — idąc za Lefèvrem — posunąć do zarzut, że *Teresę wystawił na modłę bohaterek Prousta, Freuda, Mauriaca, Sartre'a czy Camusa.*

Nie wolno nam jednak zapominać — o czym wyraźnie wzmiankuje o. Majkowski — że autor z zajętego stanowiska się wycofał. W artykule z 11 lutego 1948 wyznaje: *żywię przekonanie, że istnieją nędze moralne nie do uleczenia i tylko połączenie dwu elementów: woli człowieka i łaski Bożej może je usunąć i mówi o ustawicznym triumfie świętości nad kuszeniami.*

J. M. S.

Z DNIA

W warszawskiej „Zachęcie" odbyła się staraniem Ministerstwa Kultury i Sztuki w porozumieniu ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków, pierwsza ogólnopolska nawada poświęcona ideologicznym i artystycznym problemom współczesnego plakatu polskiego. Narada, w której czynny udział wzięli m.-in. Sokorski, wysunęła postulat realizmu socjalistycznego w plakacie, w oparciu o współczesne wzory radzieckie, chińskie i czeskie.

*

10 rocznica śmierci Tadeusza Boya-Żeleńskiego zamordowanego we Lwowie przez hitlerowców uczczona została przez Penclub Polski oraz przez Związek Literatów Polskich w Warszawie. Na zebraniu literackim Penclubu z udziałem min. Dybowskiego, przemawiał m. in. Arnold Szyfman. Program wieczoru zorganizowany przez Związek Literatów obejmował obszerny referat Jana Kotta oraz [illegible] Ireny Krzywickiej i Antoniego Słonimskiego.

■

Hilary D. C. Pepler, jedna z najciekawszych postaci katolicyzmu angielskiego, zmarł 20 września br. w Ditchling (Sussex), przeżywszy lat 73. Urodzony w 1878 r. w rodzinie kwakierskiej, nawraca się na katolicyzm w r. 1916. Poeta, dramaturg, dziennikarz, wydawca, drukarz, działacz społeczny, należący do kręgu ludzi skupiających się koło Chestertona i Hilarego Belloca. Jest „dystrybuszą", marzy o odrodzeniu i ratowaniu zagrożonego industrializacją rzemiosła. Wespół ze swym przyjacielem — rzeźbiarzem, grafikiem i typografem Ericiem Gillem zakłada w Ditchling [illegible] spółdzielnię rzemieślniczą wydawniczo-drukarską i tam na ręcznej prasie, na ręcznie czerpanym papierze drukuje szereg cennych książek. Do bliskich przyjaciół jego należą: głośny malarz i grafik Frank Brangwyn, poeci katoliccy Wilfried i Alicja Meynell; w młodości spotyka wielkiego poetę katolickiego Francisa Thompsona. Dzieło pisarskie Peplera obejmuje tematy bardzo różnorodne. Dwie książki o sądownictwie dla nieletnich, utwory satyryczne, liczne utwory poetyckie, dramaty o Pilacie i o św. Dominiku. Pierwszy z nich — dramat pasyjny — był grany wielokrotnie. Głębokie zainteresowania teatralne Peplera dały szereg studiów. Był entuzjastą i promotorem teatru mimicznego, bez tekstu. Był też autorem licznych „utworów" mimicznych, m. in. wykonywanej wielokrotnie w Anglii i innych krajach „Drogi krzyżowej" mimicznej. W Ditchling zorganizował teatr lalek, z którym brał udział w międzynarodowym festiwalu marionetek w Liège w 1930. Więzy głębokiej przyjaźni łączyły go z zakonem dominikańskim, którego to zakonu był tercjarzem, podobnie jak jego przyjaciel, wielki artysta Eric Gill.

■

Louis Piérard, wybitny pisarz i poeta belgijski, zmarł nagle w Paryżu z listopada br. przeżywszy lat 65. Dziennikarz i podróżnik, krytyk teatralny i historyk sztuki, był zarazem politykiem: od roku 1919 aż do śmierci był posłem do parlamentu belgijskiego z ramienia Belgijskiej Partii Socjalistycznej. Był autorem szeregu dzieł: o Van Goghu, o Manecie, o współczesnym malarstwie belgijskim. Założyciel belgijskiego Penclubu, od 1948 r. był członkiem Belgijskiej Akademii Literatury. Organizował liczne wystawy artystyczne. Francję uważał za swoją drugą ojczyznę i dużą część swego życia spędził w tym kraju.

■

Wydarzenie artystyczne Krakowa stanowi od dawna oczekiwana premiera w Teatrze Rapsodycznym, pierwsza w nowym budynku teatru mianowicie „Aktorzy w Elsynorze". Montaż fragmentów sztuk Szekspirowskich: „Hamleta", „Henryka IV", „Wesołych kumoszek z Windsoru", „Romea i Julii" oraz „Makbet", Autorem nowego pięknego poetyckiego przekładu fragmentów Szekspira jak też i słowa wiążącego jest L. H. Morstin. Wyreżyserował widowisko dyr. Mieczysław Kotlarczyk, który gra rolę Hamleta. Piękne dekoracje są dziełem stałego scenografa Teatru Rapsodycznego Tadeusza Ostaszewskiego. Koncepcja przedstawienia jak i jego realizacja wzbudzają w Krakowie duże zainteresowanie. Przedstawienie stanowi niewątpliwie nowy etap w rozwoju wartościowej placówki artystycznej, jaką jest krakowski Teatr Rapsodyczny.

■

W Starym Teatrze w Krakowie odbyła się premiera głośnej komedii włoskiego klasyka Carla Goldoniego „Mirandolina" („Oberżystka") w reżyserii Ireny Babel, w nowym przekładzie Zofii Juchimeckiej, w dekoracjach i kostiumach Andrzeja Stopki, z ilustracją muzyczną opartą na włoskich motywach ludowych z XVIII wieku. Sztuka została napisana w XVIII wieku, a akcja jej toczy się również w XVIII wieku we Florencji.

■

Grupa polskich artystów dramatycznych i ludzi teatru wyjechała do Moskwy w celu zapoznania się z życiem teatralnym Związku Radzieckiego. W skład grupy wchodzą: dyrektor Centr. Zarz. Teatrów, Oper i Filharmonii Jerzy Pański, reżyserzy: Maryna Broniewska, Lidia Zamkow, Bohdan Korzeniewski i Janusz Warmiński, oraz aktorzy: Halina Mikołajska, Zdzisław Mrożewski i Jan Świderski.

*

Przebywający ostatnio w Związku Radzieckim zespół polskich artystów, w skład którego m. in. wchodzili: E. Bandrowska-Turska, W. Szpilman i W. Kędra, dał łącznie w Moskwie i Leningradzie 12 koncertów.

■

W wystawianej na scenie Teatru Wielkiego w Moskwie „Halce" Moniuszki, wystąpił gościnnie w roli Jontka polski artysta Bogdan Paprocki.

■

W Paryżu ukazał się (Gallimard) nowy tom pośmiertny pióra głośnej konwertytki „w stronę" katolicyzmu, Simone Weil. Nosi on tytuł „La condition ouvrière" (Dola robotnicza) i obejmuje kilka studiów płynących z gorącego współczucia dla losu proletariatu robotniczego i chęci odmiany tego losu. Najcenniejsza część tomu to dziennik prowadzony przez Simone Weil w czasie jej pracy w fabryce. Chcąc nie tyle nawet poznać co przeżyć los robotnicy, Simone Weil bierze w 1934 r. roczny urlop z uniwersytetu, na którym miała już poważne stanowisko, angażuje się do fabryki jako prosta robotnica i przez rok dzieli w pełni ów los robotniczy wraz ze wszystkimi upokorzeniami, brzemieniem, głodem. Powstały stąd „dziennik" stanowi gwałtowne oskarżenie ustroju kapitalistycznego z pozycji bardzo zbliżonych do chrześcijaństwa.

■

W związku z finałem Festiwalu Muzyki Polskiej przybyli do Warszawy dwaj kompozytorzy z Chińskiej Republiki Ludowej: Chang-Fe i Chang-Lu, oraz węgierski kompozytor Pal Kadosa, dziekan Akademii Muzycznej w Budapeszcie.

■

Wyświetleniem filmu „Miasto nieposłuszne" w Pradze, otwarty został czechosłowacki festiwal filmów polskich. Festiwal trwał będzie tydzień, do 14 grudnia br. Z okazji festiwalu bawi w Czechosłowacji delegacja Filmu Polskiego, w składzie: Danuta Szaflarska, Bohdan Hamera i R. Brudziński.

■

Olga Lepieszyńska, wybitny biolog radziecki, członek Akademii Nauk ZSRR, słynna badaczka „życia bezkomórkowego", obchodziła ostatnio 80-lecie urodzin.

■

Barbara Hesse-Bukowska, pianistka, laureatka II nagrody na ostatnim konkursie chopinowskim wyjechała na występy gościnne do Rumunii.

„NAJWYBITNIEJSZY"

W 87 nrze „Nowej Kultury" Antoni Słonimski zamieszcza krótki artykulik poświęcony Boyowi-Żeleńskiemu. W nim czytamy:

Dość powiedzieć, że był najświetniejszym poetą satyrycznym, najlepszym tłumaczem, najznakomitszym krytykiem teatralnym, najwybitniejszym historykiem literatury i najgłośniejszym felietonistą swoich czasów.

Czy nie za dużo superlatywów jak na jeden panegiryk? Boy był niewątpliwie wybitnym człowiekiem — jego śmierć była bolesną stratą dla kultury polskiej. Nie powinno się jednak lekceważyć proporcji: z partyzanta nie można zrobić hetmana. Twierdzenie, że Boy był „najwybitniejszym historykiem literatury" jest nieomal humorystyczne. Naturalnie — wszystko zależy od tego, kogo uważamy za historyka literatury. W każdym razie z pewnością więcej niż Boy zdziałali dla nauki tacy badacze jak np. Borowy, Brückner czy Kołaczkowski.

Zdaje się, że to Irzykowski powiedział w „Benjaminku": jakże każda prawda podminowana jest swoim zaprzeczeniem!

gaw.

NUTY

Podróże (jak wiadomo) kształcą: pojechałem do Poznania, byłem tam na koncercie i przeglądając program poznańskiej filharmonii, wydany na „Dni Mozarta" — uświadomiłem sobie nagle, czego brakuje nam ogromnie w krakowskich programach koncertowych. Brakuje nut. Objaśnienia wykonywanych utworów — owszem — są: pierwszy temat, reprymenda, coda, to, tamto, wszystko pięknie — ale bez nut. Tymczasem w programie poznańskim wśród tekstu widnieją tu i ówdzie pięciolinie a na nich najprościej wypisane główne motywy poszczególnych tematów wykonywanych utworów. Miło i pożytecznie sylabizować sobie te motywy przed koncertem, odnajdywać je potem jak starych znajomych w gąszczu sonaty czy symfonii — i jakaż pomoc po koncercie: każdy chyba zna męczącą niemożność przypomnienia sobie słyszanego utworu; ale od czego program? Nuty poddają nam początek— muzyka stopniowo ożywa w pamięci i już koncert nam się „w duszy gra". Więc do skrzynki pomysłów filharmonii krakowskiej wrzucam pomysł poznański: prosimy o nuty w programach.

Jedno jedna rzecz podobała mi się w poznańskim programie: dobór anegdot, trafnie ilustrujących historyczny kontekst twórczości Mozarta. Np. taka anegdota:

Wydawca Hofmeister zwrócił się kiedyś do Mozarta: — Zacznij komponować bardziej popularnie, w przeciwnym wypadku niczego tobie nie wydrukuję ani nie zapłacę. — Na to Mozart: — Trudno. Będę więc głodował, ale sprzedać się nie dam.

Doskonały obrazek historyczny.

Ork.

O IDEE III CZĘŚCI „DZIADÓW"

Prof. Żółkiewski już kilka razy dawał na łamach „Życia Literackiego" całkiem swoiste syntezy polskiej literatury romantycznej, ze szczególnym uwzględnieniem naszych wieszczów. Ostatnio (w nrze 270) poświęcił osobny artykuł charakterystyce romantyzmu polskiego. Pewne zbyt ekscentryczne sądy, autora tchnący teraz zagłodzeniu. Spokojniej np. można uznać to, co obecnie mówi Żółkiewski na temat IV części „Dziadów" niż bardzo osobliwe jego wywody na ten temat, publikowane kilka miesięcy temu. Ale i teraz spotykamy się z sądami, które nie tylko nie mieszczą się w dotychczasowych sądach historii literatury — a co oczywiście nie myślę autorowi robić zarzutu —, ale są w ogóle dla czytelnika znającego tekst romantyków, całkiem nieprawdopodobne. Oto np. pisze Żółkiewski o tym, że w tych czasach, *postępowych romantyków znajdujemy rozprawę z samowtórnictwem i oderwaniem szlachectwa rewolucjonizmu od narodu.* Nie zamierzam kwestionować tej tezy, chociaż tendencje powyższe przewijają się raczej wyjątkowo w niektórych jedynie dziełach owych autorów. Ale jakże ją uzasadnia Żółkiewski! Proszę tylko posłuchać: *To przede wszystkim przynosi III część „Dziadów" Mickiewicza i „Kordian" Słowackiego. Mickiewicz dwu drogom życiowym: samotnego prometeizmu i biernego mniszego zdawania się na siły nadprzyrodzone przeciwstawia drogę realną spiskowców, przyszłych żołnierzy powstania i siłę ludu, na którą ci żołnierze liczą. Artystycznie znajduje to wyraz w kontraście scen pełnych wspaniałego realizmu, scen poświęconych spiskowcom, żołnierzom i piętnowaniu feudalnego środowiska oraz scen mrocznej i często groteskowej fantastyki, poświęconych dramatowi fałszywych postaw wobec życia.* Że Mickiewicz potępił w „Dziadach" drogę samotnego prometeizmu, na to była dawno powszechna zgoda, ale gdzie u licha wyczytał Żółkiewski w tym utworze krytykę *biernego mniszego zdawania się na siły nadprzyrodzone?* (— to określenie może być chyba tylko aluzją do stanowiska Ks. Piotra). Gdzie znalazł krytyk w „Dziadach" przeciwstawienie czynu powstańczego koncepcji religijnego gwarancjonizmu, zarysowanej w „Widzeniu Ks. Piotra"? Zaznaczam tu dla uniknięcia nieporozumień, że nie myślę wcale kruszyć kopii w obronie mesjanizmu Mickiewiczowskiego. Tej koncepcji katolicyzm nie chce bynajmniej brać na własny rachunek. Ale idzie mi po prostu o zgodność z tekstem. Bo cokolwiek byśmy sądzili o słuszności mesjanistycznego stanowiska księdza Piotra, jedno wszelako jest pewne: nie ma w „Dziadach" ani jednego miejsca, które by dowodziło, że należy tę postawę rozumieć jako *bierne zdawanie się na siły nadprzyrodzone*, które wykluczałoby walkę orężną. Nie dosyć na tym. Niedługo po III części „Dziadów" powstaje „Pan Tadeusz" z głównym bohaterem patriotą-zakonnikiem, inspiratorem powstańczego czynu. Czy więc naprawdę prof. Żółkiewski wierzy, że postawę Ks. Piotra uważał Mickiewicz w „Dziadach" za fałszywą, że świat nadprzyrodzony był dla niego tylko *mroczną groteskową fantastyką?* Są to zaiste rewelacyjne tezy, ale czy godzi je tak zawieszać w powietrzu i wymagać od nas, abyśmy się godzili *jurare in verba magistri?*

Na marginesie jedna jeszcze, choć innego typu sprawa. W większym gronie filomatów widzi Żółkiewski spiskowców, przyszłych żołnierzy powstania(?). Rzecz oczywiście do dyskusji. Może by jednak podjął krytyk w tej sprawie polemikę z J. N. Millerem, który omawiając na łamach „Wiedzy i Życia" postawę filomatów, zapędził się na dokładnie przeciwny biegun?

J. M. S.

SZATKOWE PARADOKSY

Mój znajomy chciał wysłać niewielką paczkę. Udał się więc na miasto (mieszka w Warszawie), aby kupić trochę sznurka. Chodził kilka godzin po wszelkich możliwych sklepach i wrócił do domu z niczym, błagając znajomych o pożyczenie, by w ten sposób wybrnąć z kłopotu. Sznurka nie dostał, ale czy dlatego, że go nie ma? Wprost przeciwnie, dlatego, że jest go za dużo. Że jest go za dużo w kłębkach, które sprzedają sklepy MHD (najmniejszy z nich waży 65 gramów, a kosztuje około 30 złotych). Nic też dziwnego, że amatorów jest niewielu — przeciętny zjadacz chleba woli 30 zł. wydać na coś bardziej atrakcyjnego niż sznurek, który może mu się wprawdzie kiedyś przydać, ale tymczasem zajmuje miejsce, którego w mieszkaniu nie ma za wiele.

ol. por.

BEZ OGRÓDEK

Łopatą do głowy

Jak i owak

Na początek przytoczę pewną starą anegdotkę. — Powiedz mi, jak się mówi: bez czy przez? — Można i tak i tak. — Jakto?! — Ano tak. Można przecież powiedzieć: „Pan Antoni umiera przez kobiety", można również powiedzieć: „Pan Antoni umiera bez kobiety". No nie?

Istnieje podobna anegdotka bardziej współczesnego pochodzenia (więc już właściwie nie anegdotka lecz kawał) na temat nosa i teorii względności, lecz ze względu na powagę (śmiertelną) miejsca opowiedzieć ją należy w wersji złagodzonej. A: — Panie, co to takiego ta teoria względności? B: — To taka teoria, że każda rzecz może być jednocześnie i taka i nie taka, czyli owaka. A: — Jakto?! B: — Zwyczajnie. Jeżeli na przykład pan mi wsadzi nos do ucha, to jest i tak i owak, bo ja mam nos w uchu i pan ma nos w uchu. (W oryginale nie chodziło o ucho — ale to nie ważne.)

W jakim celu przytoczyłem dwie powyższe anegdotki, a raczej anegdotkę i kawał? W tym celu, aby uzmysłowić czytelnikom psychikę niżej podpisanego, a także jego sposób widzenia spraw i rzeczy. Widzę wszystko podwójnie, a czasem potrójnie i poczwórnie, lub nawet popiątnie, poszóstnie i posiódemnie, niekiedy pośemnie, podziewiątnie i podziesiątnie, jeśli już nie pojedenastnie, podwunastnie i — co raczej niekorzystne — potrzynastnie. Słowem — wielokrotnie. I znów przypomina się kawał. Do baru, gdzie mocno zaprószony jegomość drzemie nad kieliszkiem, wchodzi dwóch ogromnie do siebie podobnych braci-bliźniaków. Obudzony pijak wytrzeszcza na nich zdumione oczy. — Niech się pan nie pesz... — powiada doń jeden z braci — my jesteśmy bliźniętami. — Jakto? — sepleni osłupiały alkoholik: — panów czterech?!

Ale przestańmy ze starymi kawałami. Gałczyński twierdzi, że „słowa jesień mają, tak jak ludzka dusza" („mówi Horacjusz. Ojciec lubił Horacjusza"). Kawały też mają swoją jesień — nie budząc więc już staruszków z swymi brodami — przejdźmy do rzeczy.

Rzecz polega na tym, że jest jej dwie i jeszcze trochę, a więc kilka(naście). Nie wierzę w jedną rzecz, lecz patrzę na każdą rzecz antynomicznie, dualistycznie, trialistycznie i czterolistycznie (czy wierzycie w czterolistną koniczynę?) oraz antagonistycznie (nie znaczy to w tym wypadku: niechętnie, lecz dopatrując się, w myśl wyluszczonej powyżej teorii względności, wewnętrznego rozdwojenia, roztrojenia, rozczworzenia, rozszczurzenia itd.). Kiedy ktoś na pytanie: — Ilu was jest?, odpowiada: — Raz! — nie wierzę mu ani w ząb. Wraz z Chwistkiem wierzę w wielość rzeczywistości a także w wielość jedności czyli jedność wielości; przecież znane powiedzenie: cheesz w zęby? skierować można i do człowieka, który ma jeden ząb, a więc ząb i zęby to jedno, tak jak „drzwi" oznaczają zarówno połowę drzwi jak jedne drzwi, dwoje drzwi, czworo drzwi, ośmioro drzwi i tak dalej (pora kończyć o tym, bo niejaki Ali z „Tygodnika Powszechnego" zgromi mnie gniewnie a majestatycznie, tak jak zgromił (patrz „Słowa z gutaperki" nr 349) pewnego nieboraka (na komara z szablą) za niewinną a zabawną igraszkę słów: ile ma lat? — *il est malade.* Jakiż poważny ten „Tygodnik" i ten Ali — aż dziwię się, że z pełnym poczuciem odpowiedzialności za słowo wymyślając ludziom od „głupawych kalamburów", przybrał sobie taki kalamburzasto-snobistyczny pseudonim (Ali — pal, czyli: A — lipa!); jak powaga, panowie, to powaga, nobles — obliż!).

Otóż do rzeczy! Gdy mnie ktoś zapyta, jaki mam pogląd na jakąś kwestię, odpowiadam: taki i zarazem owaki, ewentualnie jeszcze jaki i w ogóle wieloraki. Widzę rzecz kilkakrotnie choć jednocześnie, niczym w paru lustrach. Gdy widzimy lustrzane odbicie czterech panów, przeglądających się w lustrze, z których każdy trzyma w każdym ręku po dwa lustra, to ile odbić lustr widzicie? (nb. jak wygląda odbicie lustra w lustrze?). Nie wiecie! Za też nie wiem, ale za to uzmysłowiłem Wam waszą i moją czyli naszą niewiedzę, rozczworzyłem, rozpiętnastniłem czy zgoła rozsiedemdziesięciomiesięciostniłem Waszą uwagę na te wszystkie lustra. A o to właśnie mi chodzi!

Powiecie, że to absurd, bzdura, a co najwyżej „trick" zdegenerowanego i nadgniłego (od głowy) *quasi* sztukmistrza. Nie kochani. Każda rzeczywistość ma w sobie zadatki na wielokrotną sprzeczność: patrzymy przecież na nią oczami, a oczy są jak lustro, w którym wszystko odbija się odwrotną stroną. Zaraz dam Wam przykład dwoistej sprzeczności, jaką popełniliście już w czasie czytania niniejszego felietonu. Gładko przełknęliście zdanie o dwóch bliźniakach podobnych do siebie, nie widząc w nim żadnego nonsensu. A co, najmilsi, powiecie na takie, analogiczne przecież w założeniu, zdanie: — Patrz, jakie te kelnerki do siebie podobne; a zwłaszcza ta, co nam podaje!

Taką gwoździkową metodą pisany był również mój felieton jubileuszowy pod tytułem: „222". Już sam tytuł zawierał zaszyfrowaną wskazówkę, iż w felietonie zawierają się (zawierał — zawierają) co najmniej dwa sensy, dwa znaczenia. Tytuł ten bowiem czytać należało nie jako 222, lecz jako: 2! 2?! 2!!!, czyli nie jako dwieście dwadzieścia dwa, lecz jako: dwa! dwa?! dwa!!!

Niestety wyraźną tę wskazówkę zlekceważyli dwaj (!! — *nomen omen*) felietoniści „Dziś i Jutra", którzy replikowali na ten felieton (felietoniści — felieton). A raczej — pardon madam! (mordą padam — jak mówi Ali; była też taka piosenka Panufnika: „Ach pardon, och pardon, żegnam Panią, poszła won!"), a raczej powtarzam, dwaj replikowali lecz jeden z nich nie zrozumiał. Pierwszy bowiem, sygnowany jako Przyjaciel, postąpił sobie z chwalebną dwoistością: zrozumiał sens podwójny, lecz udał, że nie rozumie i polemizował z pojedynczym. Drugi natomiast — Bogumił Kolec, zrozumiał tylko pojedynczy — polemizował więc podobnie jak poprzedni, z pojedynczym, lecz z jednością w duszy, gdy pierwszy rozdwoił się jak język węża.

Dlaczego, panie Kolec?! Mieni się Pan uczniem Irzykowskiego, a ten nakazywał pisać o jednym i tym samym utworze dwukrotnie: chwaląco i ganiąco. A przecież sama nazwa „Dziś i Jutro" nasuwa skojarzenia zwielokrotnione jak w lustrze. Jutro dzisiejsze jutro jest jutrzejszym dziś a dzisiejsze dziś to jutrzejsze wczoraj, pojutrze popojutrze jest jutrem a jutrzejsze jutro jest pojutrzejszym dziś, popojutrze... Albo ów cytowany przez Irzykowskiego w „Walce o treść" („Zdobnictwo w poezji. Rzecz o metaforze") napis w szynku: „Dziś za gotówkę, jutro na kredyt", napis aktualny na co dzień, bo co dzień jutro jest jutrem, a jutrzejsze dziś to jutro właśnie dziś. Jaka szkoda, panie Kolec, że pan nie myśli antynomicznie!

I to mnie boli, to mnie gniewa,
to mnie nęka
jak mówi stara rumba.

Kisiel

Ps. Polemizuję z panem dwa razy: pierwszy i ostatni.

TYDZIEŃ PRASY POLSKIEJ

FILOZOFIA, PSYCHOLOGIA, SOCJOLOGIA: Jerzy Adamski: Filozof Duderot, Nowa Kultura 48

LITERATURA: Jerzy Andrzej Górski: O literaturze katolickiej raz jeszcze, Dziś i Jutro 46, Alfred Gerard: Nie dokończona Fatalistka" Tomasza Manna, jw, Roman Zimand: O dziełach krytyczny h Melvil Kercza'skiej, Nowa Kultura 46; Kazimierz Wyka: „Spotkanie z Salomeą" (M. Jest.anol, jw.

TEATR: Irena Schillerowa: Wyniki dyskusji o puszkina K. S. Schiller wskazuje, Teatr 9—10; Festiwal polskich sztuk współczesnych: artykuły T. Komnickiego, M. Rusinka, I. Babel, W. Błeganickiego, I. Kamieńskiej, J. Kaliszewskiego, G. Buszyńskiego, J. A. Szczepańskiego, jw; August Grodzicki: Uwagi o dwóch inscenizacjach Leona Schillera, jw; Stanisław Dąbrowski: Kreidlerz Kamieńskiej o sobie, jw.

PRZYRODA I TECHNIKA: Maciej Czarnowski: Po co tworzy się zadrzewienia w Związku Radzieckim, Problemy 11; Henryk Senkowski: Niezwykłe jezioro w Związku Radzieckim, jw.

REPORTAŻE I SPRAWOZDANIA: Aleksander Rogalski: Katholikentag 1949—1950, Dziś i Jutro 46; Ignacy Rutkiewicz: Ludzie „źle myślący" (nowa środowisko katolickie we Francji), jw; Józef Łucki: Moskwa zmienia sylwetę, Problemy 11.

PLASTYKA: Kazimierz Rakowski: [illegible] chańska, Problemy 11.

KSIĄŻKI NADESŁANE

TEKSTY KLASYKÓW

Molier: MIZANTROP. Przeł. i opr. Tadeusz Boy-Żeleński. Wyd. III. Biblioteka Narodowa nr 2. Seria II. Wyd. Zakł. Narod. im. Ossolińskich. Wrocław. Str. 110.

Carlo Goldoni: SPRYTNA WDÓWKA — ZAKOCHANI. Komedie w 3 aktach. Przeł. Zofia Jachimecka. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Mieczysław Brahmer. Biblioteka Narodowa, nr 64. Seria II. Wyd. Zakł. Narod. im. Ossolińskich. Wrocław. Str. 322.

J. I. Kraszewski: BRUHL. Opowiadanie historyczne. Opr. Józef Feldman. Wyd. II. Biblioteka Narodowa, nr 114. Seria I. Wyd. Zakł. Narod. im. Ossolińskich. Wrocław. Str. 369.

Juliusz Cezar: O WOJNIE DOMOWEJ. Przeł. i opr. Jan Parandowski. Okł. proj. J. S. Makarewiczówna. Nakł. aut. wyd.-ośw. „Czytelnik". 1951. Str. 143.

Józef Ignacy Kraszewski: STAROŚCINA BEŁSKA. Opowiadanie historyczne 1770—1774. Okł. proj. A. Heidrich. Nakł. aut. wyd.-ośw. „Czytelnik", 1951. Str. [illegible]

Józef Ignacy Kraszewski: SZALONA. Powieść. Wstępem poprzedził Z. Matzner. Okł. proj. A. Heidrich. Nakł. aut. wyd.-ośw. „Czytelnik", 1951. Str. 340.

Henryk Sienkiewicz: DRAMATY. Seria Dzieła. Wyd. zbiorowe pod red. J. Krzyżanowskiego. T. XXXIX. Nakł. Państw. Inst. Wyd. Warszawa 1951. Str. 158.

Henryk Sienkiewicz: WIERSZE I INNE DROBNE UTWORY. Seria: Dzieła. Wyd. zbiorowe pod red. J. Krzyżanowskiego. T. XL. Nakł. Państw. Inst. Wyd. Warszawa 1951. Str. 171.

Henryk Sienkiewicz: LISTY Z PODRÓŻY I WYCIECZEK. Seria: Dzieła. Wyd. Zbiorowe pod red. J. Krzyżanowskiego. T. XLIV. Nakł. Państw. Inst. Wyd. Warszawa 1950. Str. 272.

HISTORIA, BIOGRAFIE

L. Gronowski: POLACY WE FRANCUSKIM RUCHU OPORU. Okł. proj. R. Sidorowski. Wyd. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1950. Str. 51.

N. Arieusiew: WYZWOLENIE WĘGIER PRZEZ ARMIĘ RADZIECKĄ. Przeł. W. Zaczkiewicz. Wyd. „Prasa Wojskowa". Warszawa 1950. Str. 87.

Henryk Stamirski: JÓZEF SZUJSKI I JEGO KONTAKTY Z SĄDECCZYZNĄ. Odbitka z Rocznika Sądeckiego. T. II. Nowy Sącz 1949. Str. 46.

Kazimierz Tymieniecki: ZIEMIE POLSKIE W STAROŻYTNOŚCI, LUDY I KULTURY NADAWIŚLIŃSKIE. Pozn. Tow. Przyj. Nauk. Wydział historyczny i nauk społecznych. Nakł. Tow. Przyj. Nauk 1951. Str. 834.

Kazimierz Opałek: ZNACZENIE I ROZWÓJ NAUKI W [illegible] WILKU. Dział historyczny „Wiedzy Powszechnej". Wyd. Państwowe Naukowe. Nakł. aut. wyd.-ośw. „Czytelnik" 1951. Str. 51.

N. Garnicz: BITWA POD BORODINO. Przeł. J. Rozenberg. Okł. proj. J. Wagnerowa. Wyd. Min. Obrony Narod. Str. 43.

Witold Łukaszewicz: STANISŁAW GABRIEL WORCELL. Okł. proj. R. Sidorowski. Wyd. Min. Obrony Narod. Warszawa 1951. Str. 31.

KSIĄŻKI I BROSZURY AKTUALNE

John Peel: WYBRAŁEM POKÓJ. Przeł. A. Szumowski. Okł. proj. Anna Hoffmann-Ordon. Wyd. „Prasa Wojskowa". Str. 24.

M. Rubanow: IDEOLOGIA AMERYKAŃSKIEGO MILITARYZMU. Przeł. I. Nowacki. Okł. proj. R. Sidorowski. Wyd. „Prasa Wojskowa". Str. 69.

B. Rozanow: „WALL STREET. Przeł. M. Berlingerowa. Okł. proj. A. Hoffmann. Wyd. „Prasa Wojskowa". Str. 113.

Anna Rochester: POCZĄTKI KAPITALIZMU AMERYKAŃSKIEGO. Przeł. J. Mycielski i H. Szaniawski. Okł. proj. M. Rusin. Nakł. aut. wyd. ośw. „Czytelnik". Str. 120.

Wydawcy i autorzy, pragnący, by książki ich były omawiane w „TYGODNIKU POWSZECHNYM", proszeni są o nadsyłanie swych wydawnictw do redakcji, o ile możności w dwóch egzemplarzach. Wszystkie te wydawnictwa będą przed recenzją odnotowane w specjalnej rubryce „Książki nadesłane".

Prenumeratę miesięczną 3 zł. lub kwartalną 9 zł przesyłać na adres: — P.P.K. „Ruch" — „Tygodnik Powszechny", Kraków, ul. Lubicz 42, konto P.K.O. IV-9684-110. Ogłoszenia w cenie 4,50 zł za 1 mm wysokości, 1 szpalta szerokości przelewy wpłaty nie dotyczące prenumerat. przyjmuje Administracja „Tyg Powsz.", konto P K O IV 198 113. Wydawca Kuria Metropolitalna Krakowska. — Redaktor: Jerzy Turowicz — Adres Redakcji i Administracji: Wiślna 12, tel. Redakcji 576 40 Administracji: 212 72. Redakcja przyjmuje tylko od 11 30-13 Administracja od 9 do 13. — Krakowska Drukarnia Prasowa, Przedsiębiorstwo Państwowe, Kraków, ul. Wielopole 1. M—2—20847

Odcinek dla odbiorcy

zł 500,-

Adresat P.
Piotr Chojecki
Kraków, Helclowa 4

Nadawca
J. Misiewicz
W-wa, Cicha 3-8

Dzień nadania

Wypłacono przelano na rach. P.K.O.

dnia

Nr

podpis

Miejsce
na korespondencję

Kochany Dzia-
dziusiu, przepra-
szam za skromną
wiadomość w formie
pocztówki małej
z Krymu.
Czy jesteś jeszcze
potrzebne, czy
się zarywasz?
Jadąc do Krymu
mogę przywieźć
więcej czego ci
potrzeba, tylko
napisz. Wyjadę ok
6-go października.
Całuję i
ściskam Ireneusz

KARTKA POCZTO...

NADAWCA:

Wielmożny Pan

Piotr Szczepanczyk

Kraków

...

Czcigodny Panie,

Czy zechciałby Jan napisać mi wszystko
o p. Chojeckim i jego obecnym stanie zdrow
[illegible] dosyć [illegible]
wieq z [illegible] oraz dwie kopertki bez
listów, a na kop[illegible] kilka słów pisanych
w tajemnicy przez p. Chojeckiego o dal
[illegible] Równocześnie nadsyła
wspólna nasza p. Grabowska obrazek
[illegible] [illegible] z namalowanym a [illegible]
i [illegible] [illegible]
[illegible] Kraj [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible]

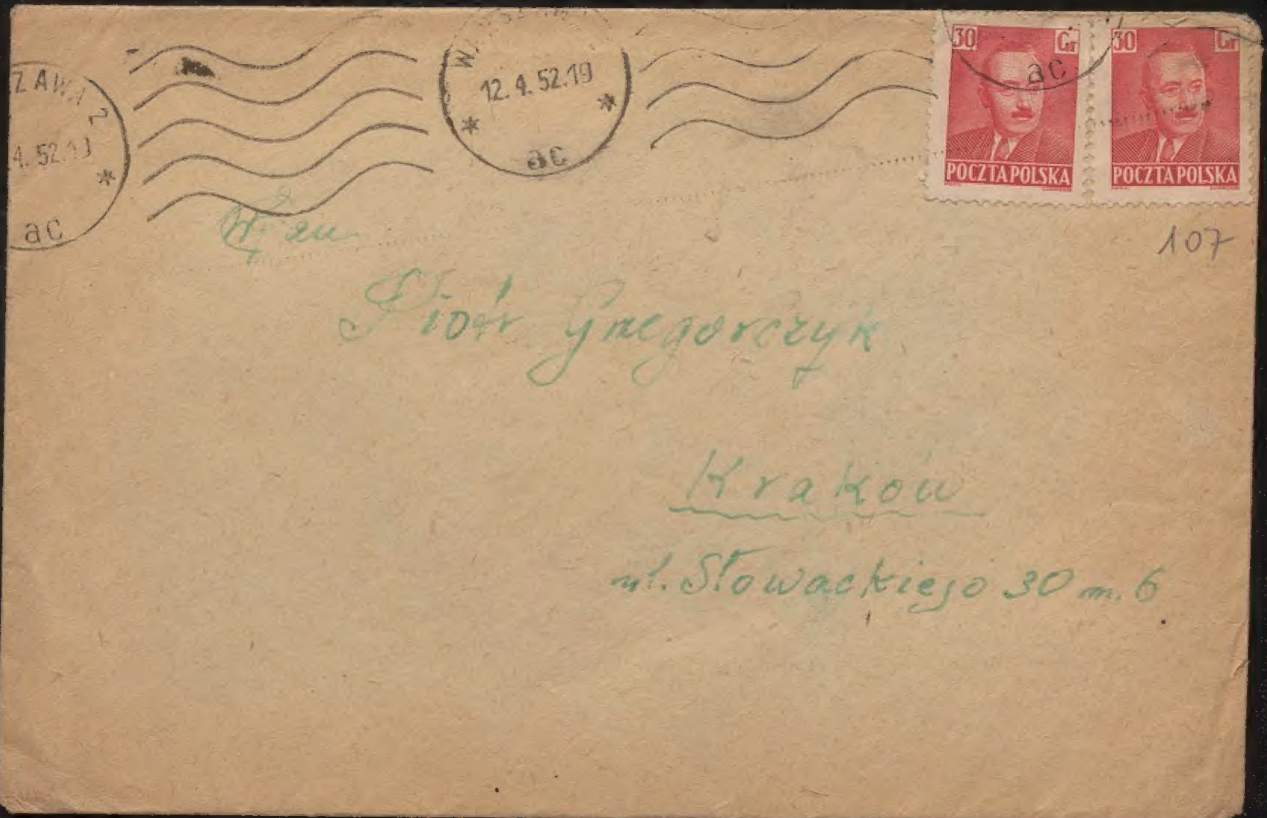
12.4.52.19
ac
30 Gr
POCZTA POLSKA
30 Gr
POCZTA POLSKA
107
Piotr Gnegorczyk
Kraków
ul. Słowackiego 30 m. 6

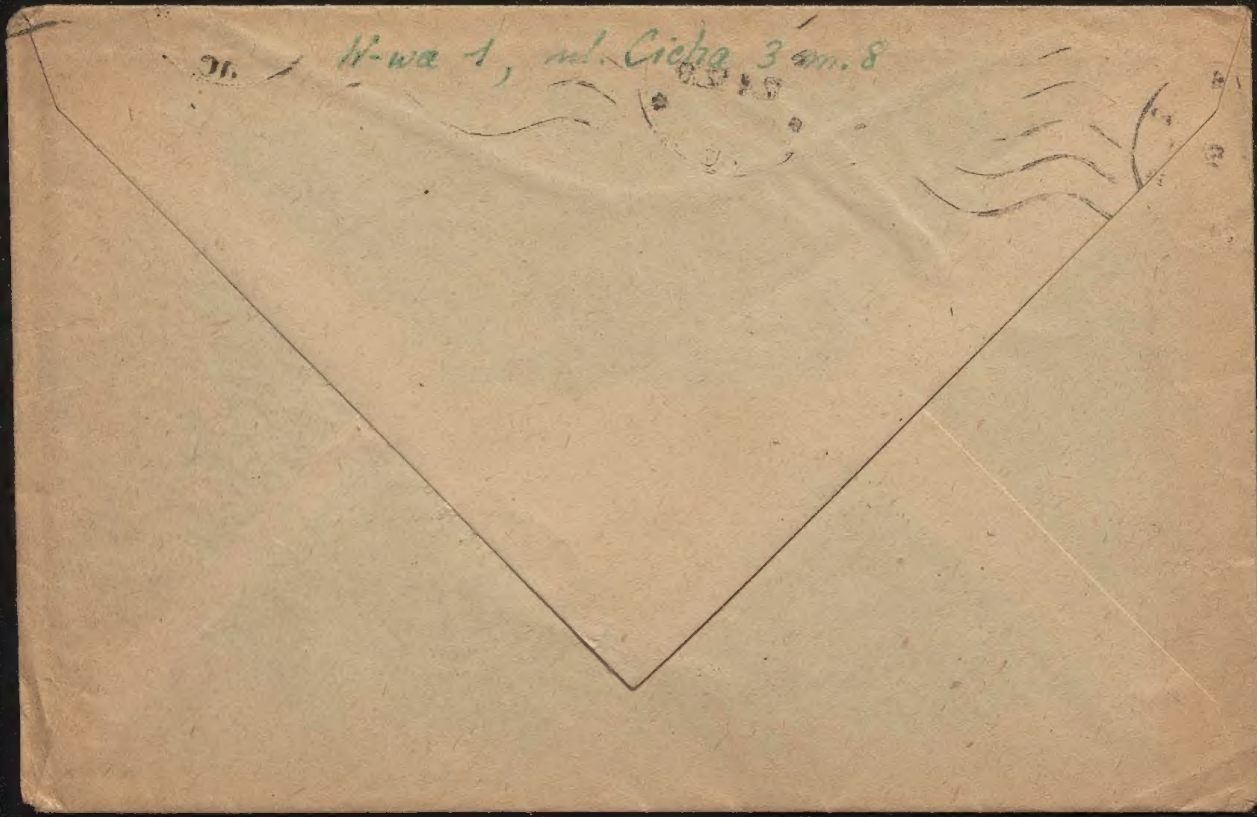
W-wa 1, ul. Cicha 3 m. 8

1. IX. 1913 r.

Szanowny i Drogi Panie Doktorze,

Śpieszę serdecznie za przesłanie mi dowodu prawdziwej pamięci przyjaciół ś. p. Artura Chojeckiego i jakiejś zachowam, by mu ofiarować, na co dał zasłużył, ten ostatni pomnicek na jego mogile.

Wiem, że nie przywiązywał on swoim sporób żadnej wagi do dyplomów, ale i na jemu pomnik z tych dowodów lubi zachęcą ze przyjaciół.

Żałuję Pana zapewne zdeterminowany dam mego ostatniego listu - zostałam bowiem zdystansowana jako czynnik społecznie niebezpiecznym dla kultury swoistej; wyrzucano mi to ostatecznie pod wpływem nerwowym, z zapadłam po rozłące płaczem na ulicy... i przechorowałam całą jesień - mianowicie ten miesiąc, nie wiedząc odpowiedzi co mi jest. To był bardzo ciężki okres, bo matka moja dowiedziała odebrała moje małżeństwo i moje niedomaganie. O przystąpieniu do jakiejkolwiek pracy zarobkowej nie może być nadal mowy, ze względu właśnie na Matkę, która jeszcze ciężko przeżywa w łóżku, dam jestem właściwie rekonwalescentką po złamaniu

gorliczym, o czym wcale nie wiedziałam
Straciłam dużo na wadze, wyglądam, przy
drobnej słomianej figurze i dużym nowaniu
chorej nie łatwo jest to odzyskać —
Gorzej finansowej ale nie
straciłam zupełnie, żyję tylko z renty, która
wynosi aż 1800 zł. Mama ma dwa razy
więcej, może się z rana wyżywić
wartościowszymi pożywieniami w reszcie
dniu obiad itp —
Acula jeszcze przysyłają pomiędzy rok
uzyskała aż 30 % należności ale pracy
w obecnym momencie kelnerskiego, sądzę,
że interesują mnie ogólnie ter- 30% nie do
Pszczyna.
Wobec tego zbliżającej się wiosny myślę
to na upragniony zastrzyk energii, której bardzo
zaraz wdzięczam za swoją pracę na terenie
min - kultury i sztuki... które jeszcze się odzyskam

Pamiętam jak nie mam mięsnej na tyle
tygodniu powszednego, gdzie się mam
wychodzi. Przeżywamy ciężkie chwile
w związku z wydarzeniami które nie kazą
na siebie czekać.

Mam nadzieję, że wszystkie nie spotkała
żadna przykrość
Dużo cyrax najbardziej serdecznym
uściskom Pań pozdrowienia.

Irena Miziewicz